

18X

MIRTALA

ON 20 1911

MIRTA LA

ELIZA ORZESZKOWA



MIRTALA

POWIEŚĆ

WYDANIE NOWE



INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1903

1-5 /



POWIEŚĆ

WYDAWCA

4097

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Pod niezmaconym szafirem nieba, w ulewie złotych światel słonecznych, zielony gaj Egeryi głębokie i nieruchome cienie słał na pola, z których część dla podwójnie świętego miejsca usunęła wszelkie ludzkie siedliska i wrzawy. Podwójnie świętem było dla Rzymian miejsce to; bo w cienistych jego głębiach, pod rozłożystemi gałęzmi odwiecznych buków, dębów i platanów, wznosił się śnieżny posąg jednego z najśłodszych bóstw wiecznego miasta i płynął strumień, szmerem swym opowiadający wiekom i pokoleniom o długich, samotnych rozmowach wielkiego Numy z uwielbianą i mądrą jego Nimfą. Niegdyś, przed ośmiu setkami lat, wielki król-prawodawca, trwożny o losy narodu-dziecka, przybywał w samotne to miejsce, i skołataną pierś rzeźwiąc cieniem i ciszą, ku szafirom niebieskim podnosił wzrok, błagający o wróżby, natchnienia, rady. Wtedy z szafirów niebieskich spływała Egerya, olśniewająca, a przecież łaskawa, i długo potem w gęstwinie buków, dębów i platanów szemrały

westchnienia miłości i tajemnicze szepty; piękna niebianka kładła dłoń swą na królewskim sercu i uciszała drżące w niem burze, a z pocałunku jej ust nieśmiertelnych lały się w głowę jego wspaniałe myśli o wierzeniach i ustawach, które stać się miały podstawą przyszłej wielkości ludu rzymskiego i wiecznej chwały pierwszego jego prawodawcy. Wszystko minęło. Imię Numy Pompiliusza czas zmienił w echo, coraz słabiej brzmiące w uszach i sercach odległych pokoleń; to, co stanowił on, skryło się w cieniu gmachów nowych; nieuczony już tylko gmin przechował wiarę w niebiańskość i nieśmiertelność Egeryi. Lecz gaj starożytny, strzeżony, pielęgnowany, trwał i w pamięci ludzi utrwał dwa piękne i rzadkie zjawiska, jakimi byli: niewiasta, zlewająca na męża dobroczynne natchnienia, i król, troszczący się o dobro poddanego mu ludu.

Ogromny Rzym cesarski huczał i wrzał w pobliżu, nie tak przecież blisko, aby na skrajach gaju i w jego głębinach uroczysta cisza panować nie mogła. Dość rzadko przerywały ją kroki pobożnych pielgrzymów, przybywających tu, aby pokorny hold złożyć oltarzowi bogini, albo wody zaczerpnąć ze świętego źródła. Świątynie Rzymu liczne były i z upływem czasu coraz liczniejsze; współubiegały się z niemi coraz liczniejsze też i wspanialsze miejsca zabaw i przechadzek. Dnie całe mijały często, a żadna stopa ludzka nie dotknęła bujnych i ukwieconych traw świętego gaju, żaden głos modlitewny

nie złączył się ze szmerem strumienia, wiekuiście wijącego srebrną swą wstęgę u stóp śnieżnego posągu bogini.

Przecież u jednego ze skrajów gaju, tam, gdzie zbiegały się wiodące ku niemu, ozdobne, bukszpanami osadzone i bazaltem usłane ścieżki, codziennie, od wczesnego poranku do późnego wieczora, przesiadywał człowiek, widocznie nad ścieżkami temi straż trzymający. Stróżowanie to ujawniało się w ruchomej zagrodzie, przezroczystej, złożonym bronzem zdobnej, a wejście do świętego gaju tamującej dopóty, dopóki pobożny pielgrzym nie włożył drobnego pieniążka w dłoń stróżującego tu człowieka, a on zapory tej przed nim nie usunął. Drobne pieniążki były podatkiem, płaconym państwu przez tych, którzy gaj święty nawiedzać pragnęli, człowiek zaś, u zbiegu ścieżek czuwający, poborcą skromnej tej daniny.

Rzymski poborca ten, ani z ubioru, ani z rysów twarzy na Rzymianina nie wyglądał, i dość było jednego nań rzutu oka, aby w nim poznać przybysza ze Wschodu. Od szyi chudej, zwiędłej i żółtej, do stóp, których podeszwy tylko ukryte były w grubych sandałach, cienką i przygarbioną postać jego przyoblekała luźna brunatna suknia z grubej materyi, w stanie ściśnięta żółtawym, od zużycia wystrzępionym pasem. Na głowie miał on gruby, żółtawej barwy zawój, którego twarde gzymsy ocieniały twarz pięćdziesiątletnią, żółtą, zwiędłą,

chudą, z długim, garbatym nosem i długą, odposiwienia popielatą, w kędziory wijącą się brodą. Z pod zawoju, wzdłuż policzków spływały też długie, popielate kędziory włosów, a z obu stron garbatego nosa, pod czarnemi zjeżonemi brwiami, oczy wielkie, jak noc najgłębsza czarne, paliły się ogniem gorącym i patrzyły w przestrzeń z wiekuistym, jakby nieskończonym smutkiem. Namiętnemu smutkowi oczu tych odpowiadał wyraz ust cienkich, które w gęstwinie siwiejącego zarostu nieustannie, nieustannie wiły zadumane lub gorzkie uśmiechy, albo do pustego pola, do szafirów niebieskich, do nieruchomych buków i dębów, do kipiącej stolicy, przemawiały niedosłyszalnymi szeptami. Na poręczy złoconej balustrady siedząc, cieniem gaju od skwaru słońca okryty, z bosemi stopy w płytkich sandałach, kołyszącymi się nad ziemią, w chudych, zczerniałych palcach przebierający strzępie swego pasa, z płomiennym wzrokiem i zgarbionym grzbietem, człowiek ten zdawał się być żywym obrazem znękania ciała i wiecznej, na dnie piersi wrzącej burzy ducha. Był to Żyd. —

Jakim sposobem cudzoziemiec ten stał się tu poborcą świętego podatku? Wszyscy współcześni z łatwością odpowiedzieć na to mogli. Rzym roił się cudzoziemcami, a pośród nich znajdowała się ilość znaczna tak bogatych i pilnym przemysłem bogactwa swe zwiększających ludzi, jakim był Monobaz, Żyd także, w którego banku, otwierającym

się na pole Marsowe, świetna młodzież rzymska znaczne zaciągała pożyczki; w którego dłonie piękne ręce niejednej patrycyuszki składały, w zamian za garść sestercyi, drogocenne zastawy; który nie-miłosierną lichwą gniótl pnący się ku świetnościom patrycyatu stan średni; któremu nakoniec panujący obecnie Cezar oddał w dzierżawę niejedną gałąź państwowych dochodów. Panującym obecnie Cezarem był Wespazyan, chciwie zgromadzający i skrzętnie szcędzący grosz publiczny, zbrodniczo i marnie przez lat tyle trwoniony w szalonych orgiach Nerona i strasznych burzach wojen domowych. Stary żołdak, w mowie i obyczaju gruby, z sercem o dobro publiczne dbałem, nie wahał się podnosić pieniądz z najbrudniejszych rąk, ani brać go z rąk najwątpliwszych. Nie czyniły mu też wstrętu pieniądze, brane z lichwiarskich źródeł Monobaza, które zresztą były białemi i w drogocenne pierścienie przybranemi rękoma. Białe te i drogocennie przystrojone ręce nie mogły same otrzymywać z rąk pielgrzymów podatku, należnego gajowi Egeryi. Zastępowały je w czynności tej wychudłe, drżące, zczerniałe palce Menochima. Dlaczego Menochim oddawał się czynności tej, przynoszącej mu w korzyści suchy chleb nędzarza, a nawet pilnie, w imię plemiennej wspólności, starał się o nią u Monobaza? Kto wie? Być może, iż w sposób inny na byt powszedni zarabiać nie pozwalały mu te przepaściste zadumy, które odbijały się w jego oczach

i nawskróś zoranej twarzy? Być może, iż nieustannym jego medytacyom dobrze było w tem miejscu bezludnem i cichem? Być może, iż zieleń gaju nieco spokoju wlewała mu w płonące źrenice, a świergot ptactwa i srebrne dzwonienie strumienia ponure pieśni jego duszy przerywały niekiedy słodką nutą pociechy, nadziei.

Na złoconej balustradzie, zgarbiony, stopami ziemi nie dotykając, siedział przez długie godziny i patrzył na miasto olbrzymie, kąpiące w słonecznym blasku niepokalaną białość swych marmurów, złote kopuły świątyń, wdzięczne łuki bram tryumfalnych, strzeliste szczyty pałaców i grobowców; patrzył i zdawało się, że widokowi temu nigdy napatrzeć się dosyć nie mógł. Nie uwielbienie przecież bogactw i piękności tylu malowało się w oczach i uśmiechach jego. Malowało się w nich często osłupiałe jakby zdziwienie. Zaczynał z kimś bardzo cicho rozmawiać. Zapytywał: — Odsłoń powieki moje i okaż mi, dlaczego cieszą się i tryumfują nieprawi, lecz silni? Otwórz rozum mój i naucz mię, jakimi są drogi Twoje, bo ich zrozumieć nie mogę. Czy sprawiedliwy żyje po to, aby cierpiał? czy sprawiedliwości uczysz go dlatego, aby nieprawość serce mu szarpała? Czy lud jeden na to zamieszkuje ziemię, aby miażdżyły go stopy innego? I któż przed tobą prawy? Rabusiowi-ż to, czy rabowanemu miłość swą okazujesz? Oto pierwszy w dziedzictwie swoim rozkoszy, bogactw i dłu-

giego żywota używa, a drugi pada na skrwawionej niwie lub na ziemi wygnania tęskno spogląda w stronę, gdzie gruzy Syonu...

Z usianego iskrami powietrza żadna nie przybywała odpowiedź; tylko wrzawa wielkiego miasta, wzdymając się na chwilę, przesyłała tu echo radośnego, hucznego akordu, a złocone szczyty gmachów, rozgorzałe w słońcu, buchały ku niebu płomiennym hymnem siły i tryumfu. Spojrzenie Menochima zmieniało kierunek i w innej stronie spotykało się z widokiem drogi Appijskiej, która, z pod pysznych łuków kapueńskiej bramy wybiegając, szeroka, w nieścignionej okiem dali przepadająca, zdawała się być ramieniem olbrzyma, wyciągającym się dla objęcia połowy świata. Przez dnie całe panował tam hałaśliwy natłok ludzi i zwierząt. Menochim z oddali dostrzegał sunące po wielkiej drodze wozy ładowne towarami, przez osły i muły ciągnięte, i inne jeszcze, lekkie, ozdobne, unoszone przez bystre konie o chyżych nogach i rozwianych grzywach. Pomiedzy wozami widział przewijające się postacie jeźdźców, z pysznymi rumakami zrosnione jakby we wdzięczną i dzielną całość, albo na ramionach niewolników niesione lektyki, połyskujące kosztownymi ozdobami, z których wnętrza wychylała się czasem utrefiona głowa kobieca lub powiewała purpura, zdobiąca szatę senatorską. Czasem też drogę zalegał oddział pieszego lub konnego wojska, a wtedy w metalowych tarczach, pance-

rzach, szyszakach słońce rozżarzało oślepiające pożary, tętent stóp ludzkich i zwierzęcych biegł po bazaltowych płytach grzmiotem przeciągłym, w powietrzu rozsypywały się miliony krótkich, metalicznych dźwięków, a towarzyszyły im ogromne krzyki, tysiącem piersi śpiewane zwrotki rycerskiej i tryumfującej pieśni. Wszystko tam było ruchem, wrzawą, blaskiem, śpiewem, śmiechem, potęgą. Menochim kurczowo ściśnięte ręce podnosił ku niebu, a z piersi jego wydobywał się już tym razem nie szept, ale krzyk chrypliwy i krótki:

— A Jerozolima w gruzach leży!

Czasem na ramię jego opadała dłoń ciężka, a gruby głos, w pół wesoło, w pół szydersko, wołał:

— Czegóż tak wpatrzył w niebo baranie ślepie swoje, ty, Judejczyku, brudasie, żebraku z końca świata? Czy nie widzisz, że chcemy wejść do świętego gaju? Dlaczegoż nie wyciągniesz chciwej łapy swej, abyśmy w nią asy nasze złożyć mogli?

Menochim budził się z zamyślenia i spostrzegł dwu czy trzech ludzi, owiniętych w togi brunatne, z twarzami osłoniętymi cieniem kapeluszy o szerokich brzegach. Z ubioru i zachowania się poznać można było, że ludzie ci nie należeli wcale do bogatych i potężnych. Byli to plebejusze, rzemieślnicy może, albo pasożyci, żyjący z jałmużny, udzielonej im przez możnych lub państwo. Nic to! przybysza, syna ziemi podbitej, której stolicę i świątynię przed dwoma zaledwie laty w gruzy obalił mężny Tytus,

i oni nawet lżyć mieli prawo. Nie byliż zwycięzcami? I nie był-że to człowiek, różniący się od nich ubiorem, obyczajem, językiem, wiarą? Wracając z gaju, nagabywali go pytaniem:

— Możesz głodny? Mamy tu oto kawał pieczonej świni i chętnie przysmakiem tym podzielimy się z tobą.

Żyd milczał, patrząc w ziemię.

Ktoś inny, wyglądający na jednego z trefnisiów, których pełne były domy możnych, obiegł go raz prośbami:

— Najmilszy! czy nie mógłbyś zaprowadzić mnie do swej bóżnicy i pokazać tę głowę ośłą, której wy, Żydzi, nabożną cześć składacie? Radbym bardzo zobaczyć ją i opowiedzieć, com widział, dostojnemu Kryspinusowi; od dni bowiem kilku jest on w złym humorze i, jeśli go czem nie ubawię, gotów mię od stołu swego usunąć.

Ten nie żartował, prosił na prawdę i nawet rzewnie, a dla poparcia prośby tej pociągał Menochima za ucho tak, jak to w chwilach czułości czyniła żona Kryspinusa z ulubionym swym pieskiem. Żyd nie zaprzeczał niczemu, milczał jak grób, w ziemię patrzył i tylko drżącą ręką usuwał zwolna dłoń, coraz mocniej cisnącą jego ucho.

Inni bywali gniewliwsi i srożsi.

— O! wy, przybysze — mówili — patrzeć tylko, jak ze skór, zdartych z naszych grzbietów, zaczniecie sobie wyrabiać pantofle! Gdybyś ty, psie przeklęty,

podatku tego z nas nie wyciskał, Cezar zniósłby go już pewnie i asy pozostałyby w naszych sakiewkach.

Menochim głuchym głosem odpowiadał:

— Nie moje to są pieniądze, które od was biore. Jestem sługą Monobaza i wiernie oddaję mu wszystko, co mi tu dajecie.

— Niech bóstwa podziemne pochłoną pana twego, Monobaza, który z biednego synowca mego, Muncyusza, ostatnią już kroplę krwi wycisnął i kupił sobie za nią pierścień z rubinami! Przy pierwszych igrzyskach głośno w cyrku prosić będziemy Cezara, aby was wszystkich z Rzymu wypędzić rozkazał.

Menochim brał wielką księgę, którą przed wzrokiem przechodniów pilnie ukrywał w wysokich trawach, i powoli przesuwając poczynął oczy po wierszach, napełniających żółte karty pergaminu. Wzrok jego posuwał się z prawej strony w lewą, a głoski, napełniające książkę, nie były ani łacińskie, ani greckie, lecz przedstawiały te kręte i zmieszane wzory, które znamionują pisma wschodnie. Niedługo przecież oddawał się czytaniu: bądź, że miśtyczna jego natura nie była zdolną do długiego zespolenia się z myślą cudzą, bądź że czytane wyrazy rozżarzały mu w piersi płomień natchnienia, zsuwał się szybko ze szczytu złoconej baryery, spiesznymi krokami do buku przypadał, z nabożnym szacunkiem składał księgę na uprzednim miejscu,

a potem, zwieszony znowu na twardem siedzeniu swem, wyjmował z pod sukni drewniane tabliczki i ostrym stylem pisać zaczynał na oblekającej je cienkiej warstwie wosku. Pisał prędko, z lewa w prawo, tak jak i czytał. Policzki jego zachodziły krwistym rumieńcem, krople potu spływały z pod zawoju i często łączyły się na twarzy z obfitemi łzami. Człowiek ten poetą być musiał, jednym z tych, których bezbrzeżna niedola ojczyzny na ognistym wozie cierpienia niosła ku szczytom mistycznych, namiętych natchnień.

Raz, kiedy oddawał się tym pisarskim zajęciom, ścieżką pomiędzy bukszpanami zbliżał się ku niemu człowiek wysoki, młody jeszcze, owinięty płaszczem, którego kapiszon okrywał mu głowę od słonecznego skwaru. W cieniu kapiszona widać było twarz ściągniętą i łagodną, a w rysach swych noszącą piętno pochodzenia wschodniego niemniej wyraźne, jak to, które odznaczało twarz Menochima. Człowiek ten o parę kroków zatrzymał się i przyjaznym okiem wpatrywać się zaczął w piszącego poborcę. Nie chciał mu może przerywać zajęcia, ale gdy końca doczekać się nie mógł, przystąpił bliżej jeszcze i półgłosem parę razy zawołał:

— Menochim! Menochim!

Z palców piszącego wypadł styl. Tabliczkę swą ruchem przestrichu za suknią ukrył i na przybyłego podniósł oczy ogniem zapału błyszczące i nieco strwożone.

— Nie poznajesz mnie, Menochimie? — zaczął przybyły. — Jestem Justus, sekretarz możnego Agryppy. Bywałem w domu twoim gościem częstym, gdy w nim przebywał jeszcze przybrany syn twój, Jonatan.

Menochim wstrząsnął głową z zadowoleniem widocznym.

— Wybacz mi, Justusie, że nie poznałem cię odrazu. Oczy moje starzeć zaczynają...

— Nie — z uśmiechem odparł Justus — ale zajmowała cię robota, której się oddawałeś. Piszesz...

— Ja! ja! — krzyknął prawie Menochim — czyżbym mógł? czyżbym potrafił? nie, to były tylko rachunki, które sporządzałem dla pana mego, Monobaza!

— Ukrywasz się... — zaśmiał się Justus. — Bądź spokojnym, o tajemnice twe dopytywać się nie będę. Nie darmo od lat kilku zostaję przy boku Agryppy i królewskiej siostry jego, Bereniki. Tam tajemnic tyle, co gwiazd na niebie. Nauczyłem się je szanować; alboż ja sam żadnej własnej tajemnicy w piersiach nie noszę? W czasach naszych któż nie nosi w sobie tajemnic, swoich lub cudzych? Twarze inne, serca inne, myśl mowie zaprzecza. Nie pytam cię więc, Menochimie, ani co, ani dlaczego czynisz. Przyszedłem do ciebie w interesie ważnym.

— Słucham cię — uprzejmie odpowiedział Menochim.

Justus mówić zaczął:

— Rzec jest prosta, nie wiem tylko, czy taką wyda się tobie. Oto, przyjaciel pana mego, Agryppy, Józef Flawiusz... nie potrzebuję ci mówić, kim on jest... pragnie wziąć do boku swego jednego więcej sekretarza, któryby pod kierunkiem jego pisał i przepisywał wielkie, rozpoczęte przezeń dzieła. Wiesz, że cokolwiek o Józefie powiedzianem być może, kocha on zawsze naród swój, i otoczenie jego składa się tylko z braci naszych. Polecił mi on i teraz wyszukać Izraelitę, umiejącego pisać po grecku. Zadanie to dość trudne. Pomyślałem o tobie. Czy chcesz przyjąć korzystną i zaszczytną posadę u boku uczonego rodaka naszego, przyjaciela Agryppy i Bereniki, ulubieńca Cezara i syna jego Tytusa?

Menochim słuchał z uwagą, ze spuszczonei powiekami, i wtedy dopiero, gdy Justus umilkł, odpowiedział:

— Dziękuję ci, Justusie, za pamięć twą o mnie, ale przybocznym Józefa Flawiusza nie zostanę za nic.

Justus nie okazał zdziwienia i spokojnym głosem przemówił znowu:

— Płaca, do urzędu tego przywiązana, znaczną jest. Mieszkanie w pałacu Agryppy, miejsce przy

stole jego i dwadzieścia tysięcy sestercyi rocznie... pomyśl.

— Za nic — krótko i spokojnie powtórzył Menochim.

— Na miejscu tem zostając, tysiąc przysług oddawać mógłbyś biednym braciom naszym...

— Za nic, Justusie!

— Masz dziecię przybrane, Mirtalę... której młodości potrzeba świeższego, niż na Zatybrzańskim przedmieściu, powietrza...

— Za nic, Justusie!

— Starość, Menochimie, zbliża się ku tobie wielkimi krokami. Gdy niemoc przykuje cię do łoża boleści, gdy zmęczone ręce twe żadnej już pracy jąć się nie będą mogły, w Agryppie i Józefie znajdziesz hojnych dobroczyńców i opiekunów troskliwych...

— Za nic, Justusie!

Justus milczał chwilę, namyślał się, a potem tak cicho, jak gdyby lękał się, aby go nawet dęby i buki świętego gaju nie usłyszały, zapytał jeszcze:

— A jeśli... a jeśli Jonatan, to ukochane dziecię twoje, ten rycerz bohaterski, ten biedny wygnaniec, którego teraz palą zapewne skwary afrykańskie i tysiakkroć sroźsze od nich rozpaczę, jeśli on... wróci? Czem osłonisz go przed niebezpieczeństwem? Kogo wezwiesz dla niego na obronę? Agryppa i Flawiusz skutecznie bronić go mogą: jedno skinienie białego palca Bereniki usunie szyję jego

z pod topora, albo ciało jego wydrze płomieniom stosu...

Menochim zadrzał od stóp do głowy, wzniezione jego ramiona zatrzepotały w powietrzu, jak skrzydła zranionego ptaka, a z piersi wydarł się krzyk przeciągły:

— Justusie, Justusie! po co mię kusisz? Jonatan mój... To prawda! Jego szyja skazana pod topór... a może, jak Goryasza, rzucają go w płomienie stosu i gawiedź rzymska szaleć będzie z radości na widok mąk i śmierci jednego z ostatnich obrońców Syonu... O Justusie, coś ty mi powiedział! Zakłamię mnie na szyję najmilszego dziecka mojej duszy, tego, którego niemowlęciem wyrwałem, wykupiłem z niewoli Edomu! Tak, Justusie, Agryppa obronić go może, Flawiusz zasłonić go może, Berenika... o!

Nie siedział już na ostrzu baryery, lecz rozciągnięty pod stopami buku, z dłońmi załamanymi nad głową, czoło zanurzał w wysokiej trawie. Z piersi jego wychodziły wciąż zmieszane krzyki:

— Jonatan! Jonatan mój! rycerz bohaterski! Tułacz nieszczęsny... czem ja go osłonię? Kogo wezwę dla niego na obronę! O, Ty! gdzież miłosierdzie Twoje?

Justus, milcząc, ze współczuciem patrzył na paroksyzm rozpacz, wstrząsający ciałem i duszą rodaka. Żrenice nawet jego zwilgotniały nieco i kształtne usta zacisnęły się z wyrazem niemego, do milczenia snadź przyzwyczajonego bólu. Powoli Me-

nochim uspokajać się zdawał. Z twarzą przyciśniętą do ziemi myślał. Sporo czasu upłynęło, zanim z ciężkością powstał, i palające oczy swe z pod zawoju w twarzy Justusa utkwivszy, powtórzył znowu:

— Za nic!

Justus pochylił głowę.

— Spodziewałem się twojej odmowy, miałem jednak nadzieję, że przedstawienia moje...

— Jakież są one, Justusie? — drżącym jeszcze, lecz uspokajającym się głosem zapytał Menochim. — Ubóstwo? albow nie najwłaściwszem jest ono synowi obalonego grodu? Mirtala? Albow jej także nie wyrwałem, jak Jonatana, z niewoli edomskiej? Niech dzieli czarny chleb mój i wraz ze mną odycha powietrzem nieszczęścia. Jonatan? On pierwszy, on najbardziej odradzałby mi dzielić bogactwa i rozkosze tych, którzy zaparli się, odstąpili sprawę ojczystej i świętej.

Ostatnie wyrazy wymówił z błyskiem nienawiści w oczach. Justus po chwili milczenia odparł:

— Zbyt surowym jesteś, Menochimie, i sądy twoje mają szybkość, którą nadaje im ogień twego serca. Ani Agryppa, ani Józef, ani nawet Berenika zaprzańcami nie są. Uroczyście i jawnie obchodzą oni wszystkie święta nasze, hojnie wspomagają pieniędzmi nieszczęśliwych braci...

— Ale serca ich, Justusie, serca, serca — przerwał Menochim i tysiąc wzgardliwych uśmiechów wstrząsnęło zmarszczkami jego twarzy. — Serca,

Justusie — powtarzał — które przyłgnęły do grzechów i zbytków Edomu; dłonie ich, Justusie, które codziennie serdecznymi uściskami łączą się z dłońmi naszych wrogów! Józef Flawiusz przy stole Wespazjana! Berenika w objęciu Tytusa, tego samego Tytusa... O, Ty, gdzie sprawiedliwość Twoja?... który żużel pożaru rzucił na naszą świątynię! Agryppa chodzi w szacie senatora rzymskiego z sześciu liktorami, którzy żebrzących braci jego, jak psy, spędzają mu z drogi. Cha! cha! cha! I ty, Justusie, mówić śmiesz, że oni zaprzańcami nie są! Święta nasze obchodzą! Sabaty święcą! „Miłości potrzebuję, nie ofiar!“ mówił Pan ustami Proroka. Ubogich datkami obdarzają! A w pałacu Agryppy złoto ze ścian kapie! A ileż kosztuje pierścień drogocenny, który na palec Bereniki włożył pogromca jej ojczyzny? A jakaż jest cena podarków, które Józef Flawiusz otrzymał od Poppei, rozpustnej żony straszego Nerona? Niech sami żrą i piją bogactwa w ten sposób zdobyte! Moje usta ich nie dotkną...

Justus w pozornym spokoju wysłuchał namiętnej tej mowy, lecz w cieniu kapiszona czoło jego zaszło rumieńcem.

— Cóż więc mniemasz o mnie, Menochimie? — zapytał zcicha — o mnie, który mieszkam w ich złoconych ścianach i jem przy ich wspaniałym stole?

Menochim w zamyśleniu pochylił głowę; po chwili zaczął zcicha:

— Kocham cię, Justusie, boś był najlepszym przyjacielem Jonatana mego, bo znam duszę twoją i wiem, że mieszkają w niej: miłość i wierność. Głód wysuszał ci kości, schroniłeś się przed nim pod dach Agryppy. Łagodnym byłeś zawsze, zwolennikiem słodkiej nauki Hillela, która od nienawiści odwodzi i krwią się brzydzi... Ach! jam kiedyś był Hillelistą! Serce miałem gołębie, a piłem tylko słodki miód przyjaźni i zgody. Ale, Justusie, żaden pieprz nie pali tak podniebienia i żadne wino taką burzą nie kipi w głowie, jak doznane krzywdy! I patrz, Justusie, oto są jeszcze szkody, które pognębiciel sprawia pognębnionemu: twoja czysta dusza brudzić się musi w służbie u niezbożnych, moje słodkie serce zapłynęło jadem!

Długo milczeli obaj. Justus po długiej chwili cicho przemówił jeszcze:

— Czy nie masz nowych wieści o Jonatanie?

— Żyje — odpowiedział krótko Menochim.

— Niech będzie Pan pochwalonym! On to wydzierał go dotąd z rąk prześladowców. Żegnam cię, Menochimie.

— Pokój niech będzie z tobą, Justusie.

Justus odszedł, lecz po kilku krokach wrócił.

— Jeżeliby... — zaczął — jeżeliby Jonatan... do domu twego przybył, daj mi o tem wiedzieć. Może będę mógł stać się mu w czem użytecznym... Pozwól, abym przynajmniej w miarę możliwości przyjaźń moją wam okazywał.

Menochim twierdząco skinał głową. Nie przyjął więc korzystnej posady u boku bogatego rodaka swego i, tak jak pierwej, przychodził tu codziennie o wschodzie słońca, aby aż do zmroku stróżować nad wejściem do świętego gaju. Miejsce, na którym siadywał, nie było wygodne, a jednak znajdowali się tacy, którzy mu go zazdrościli. Jednym z zazdrozczących był Silas, Syryjczyk, w brudno-czerwonej tunice, skórzanym pasem przepasanej, z bosemi stopami, głową wpół łysą a wpół ryżą i z chytrą, złośliwą, cyniczną twarzą. Był on z profesyi lektykaryuszem, czyli najemnikiem do noszenia lektyk. Ale znaczną część życia spędziwszy w niewoli, świeżo przez testament pana swojego wyzwolony, pragnął żyć na wolności bezczynnie i hulaszczco. Noszenie lektyk było pracą zbyt ciężką dla ciała jego, wyniszczonego najprzód przez chłosty, których niegojące się nigdy ślady na plecach swych nosił, potem przez rozpustę, w którą, raz wyzwolony, rzucił się z pijaną radością. Wolałby o wiele bezczynnie przesiadywać dnie całe w rozkosznym cieniu gaju Egeryi. Nie siedziałby tak, jak Menochim, na twardej baryerze, ale rozciągałby się miękko na bujnym podścielisku trawy. Nagie stopy jego wygrzewałyby się na słońcu, a zwinne ręce umiałyby część otrzymywanych tu asów do własnej wsuwać sakiewki; przyprowadzałby tu z sobą paru towarzyszy i gwarzyliby wesoło, grając w rzucanie monet, w cetno i lichu, albo nawet w kości, i popi-

jając wino trypolińskie, na które staćby było poręczą świętego podatku, a które, choć cienkiem jest i pośledniem, błogo rozlewałoby się po gardłach bosych wyzwolenców. Gdyby nie ten przeklęty Żyd, co tu przed kilku laty i jakby na wieki zasiadł, za pośrednictwem jednego ze sług Monobaza, który mu był przyjaznym, dopiąłby niezawodnie celu swoich marzeń. To też Menochim w chwilach, gdy najbardziej zanurzonym był w czytaniu lub pisaniu, wzdrygał się czasem nagle, zeskakiwał z baryery i z przestrachem oglądał się dokoła. Przyczyną przestrachu jego był świst przeraźliwy, nieludzki, do gwizdu drapieżnego ptaka podobny, który nagle rozlegał się nad samem jego uchem. Rozglądał się i nie spostrzegał nic, lecz za ledwie z przestrachu swego ochłonąć mógł i znowu do rozmyślań swoich lub natchnień powrócić, o nogę jego uderzał kamień, tak wprawną ciśnięty ręką, że dolegliwie raził mu stopę i płytki sandał na ziemię zrzucił. Jednocześnie spostrzegał giętką postać w brudnoczerwonej bluzie, która, rzucając w powietrzu bosemi stopy, kryła się pomiędzy drzewa, a z pomiędzy gałęzi drzew wychylała się ku niemu ciemnoskóra, małemi oczyma błyskająca, zjadliwym uśmiechem wykrzywiona, twarz Silasa. Innym razem, wśród ciszy najgłębszej, z za drzewa, wyskakiwał Silas i z dłońmi wspartymi na kłębach, z wyszczerzonymi zębami, rozpoczynał przed nim dziwaczne skoki i pląsy. W błękitnem, pozłoconem powietrzu, na

tle pustego pola i cichego gaju, zwinna, bosa, brudno odziana postać Syryjczyka, miotająca się w skokach i giestach cynicznych, miała w sobie coś piekielnego. Z wyszczerzonych ust jego leciał grad naigrawających się albo bezwstydných wyrazów. Menochim zamykał oczy, ale uszu zamknąć nie mógł. Cierpiał i milczał. Milczał też, gdy w fałdach swej sukni znajdował, niewiedzieć skąd tam biorące się kawały mięsa wieprzowego, które ze wstrętem od siebie odrzucał. Nie mógł jednak milczeć dłużej, gdy raz o zmroku wracając do domu i zbliżając się ku przedmieściu, spostrzegł kilku ludzi, goniących wąż i chyżą dziewczynę. Dopędzana niemal dziewczyna krzyknęła. Menochim poznał głos przybranej córki swej, Mirtali. Jak wściekły, rzucił się naprzód, ale dwóch nadchodzących poważnych mężów zastąpiło drogę ścigającym, którzy pierzchnęli. Pierzchającymi byli: Silas i przyjaciele jego, Syryjczycy także, lektykaryarze i tragarze.

— Czego chcesz ode mnie? jaką jest wina moja przed tobą? — zapytał nazajutrz Menochim Silasa, gdy ten, jak często bywało, ukazał się w pobliżu gaju Egeryi.

— Chcę, abys mi miejsca tego ustąpił — odpowiedział Silas — a winą twoją jest to, że jesteś psem judejskim, któremu podobnych, rok temu, Syryjczycy w Antyochyi 20.000 wymordowali. Jeżeli tam wymordowano was tylu, dlaczegóżbym ja jednego zadusić nie mógł?

— Niech zlituje się nad tobą Pan, człowieku czarnych myśli i okrutnego serca! Pomyśl! Judea i Syrya, to dwie rodzone siostry. Jednym mówimy językiem, jednego czcimy Boga. Plemię nasze z jednego korzenia ród swój wie dzie.

— Bodajbyś zgorzał w ognistym objęciu Molocha! Twoja jedność języka i plemienia, i Bóg twój, i Judea, i Syrya tyle mię obchodzą, co podeszwa zdartego sandała. Pić chcę, a za pieniądze, które ci płaci Monobaz, napilbym się do syta. Leżeć chcę, a ty zajmujesz miejsce to, na którem mógłbym wylegiwać się spokojnie. Dlatego postanowiłem, albo spędzić cię stąd, albo wydrzeć ci z gardła twoją żydowską duszę.

— Skarżyć cię będę — spokojnie, lecz stanowczo rzekł Menochim.

— Wyj, psie! skrzecz, żabo! sycz, podły gadzie! Zobaczymy, czy cię pan twój, Monobaz, ludożerca, na którego wielu szlachetnych Rzymian dawno już ostrzy zęby, od pazurów Silasa obronić potrafi!

Menochim poszedł do Monobaza, Silas skarcony został; przez całe dni dziesięć nie widać go było nigdzie. Ukazał się jednak znowu, ale Menochima dręczyć zaprzestał. Pilnie tylko szukał sposobności spotkania się z nim i, gdy tylko ją znalazł, w milczeniu podnosił ramię i wykonywał ręką niemy giest groźby. Raz tylko, oko w oko spotkawszy się z Menochimem w tłoku ludzi, napelniającym rynek, mijając go, ponurym głosem rzekł:

— Nienawiść tajona sroższą jest, niż jawna. Nadejdzie kiedyś godzina Silasa!

W południe Menochim, na baryerze swej siadając, jadał chleb przysypany cebulą i popijał go wodą, zaprawioną octem; czytywał, pisał, dumał, w milczeniu znosił obelgi i żarty przechodniów, w milczeniu dźwigał ciężar naigrawań się i groźb Syryjczyka. W zmieszanym chaosie ścian i dachów Rzymu z łatwością rozpoznać mógł miejsce, gdzie wznosił się pałac Agryppy, będący zarazem mieszkaniem Józefa Flawiusza, który go do boku swego zapraszał. Nigdy, kierując się ku miejscu temu, oko jego nie zaszło żalem ni zazdrością. Często natomiast płonęło oburzeniem. Często także plecy jego garbiły się tak bardzo, jakby spoczywał na nich ciężar ogromny. Drżącymi usty powtarzał wtedy imię Jonatana, rycerza, tułacza, skazańca...

Ale na wszystkie te udręczenia swoje posiadał on widać tajemniczy jakiś, kojący balsam. Codziennie, gdy ognista tarcza słoneczna kryła się za purpurowy skraj widnokregu, blaski wielkiego miasta gasły i gwary jego milkły, gdy z szafirów niebieskich spływały na ciche pola przezroczyście woale zmroku, a w głębi gaju coraz wyraźniej i srebrniej dzwoniły wody strumienia, Menochim opierał twarz na dłoni i, ze wzrokiem błędzącym wysoko, z rytmicznie i powoli kołysając się postacią, zapadał w niemą, pogodną zadumę. Być może, iż wtedy zmartwychwstawał w nim Hillelista, człowiek z go-

lębiem sercem, brzydzącem się niezgodą, krwią i przekleństwem. Twarz jego uspokajała się, usta traciły zbolwały zarys, w źrenicach gasła namiętność. Cicho, przeciągle śpiewał pieśń nadziei:

„Jako chmura przechodząca, minie niezbożnik; sprawiedliwy jako fundament wieczny...”

„Ścieżka sprawiedliwych, jako pas światła ściele się w górę, ku dniowi tryumfu...”

„Oczekiwanie... nieszczęśliwych wesele. Czekaj, narodzie mój, dnia sprawiedliwości!”

Wyraz cichej radości twarz mu oblewał, gdy, patrząc w niebo, mówił:

— Ty, którego imienia nie umięją wymówić usta moje, dziękuję Ci, żeś i na mnie spuścił chłostę, którą braci moich dotknęłaś, bo tysiącokrotnie lepiej jest cierpieć z pogwałconymi, niżeli zażywać rozkoszy z pogwałcicielami...

Wstawał, księgę, wyjętą z ukrycia, starannie krył w fałdach sukni i ścieżką, usłaną bazaltem, a wysadzaną bukszpanami, spokojnie dążyć zaczynał ku dzielnicy miasta, noszącej nazwę: *Transtiberim* czyli Zatybrze.

Transtiberim była to XIV dzielnica Rzymu, zamknięta w sobie dwa wzgórza: Janikulskie i Watykańskie. Z przeciwległej strony Tybru, na siedmiu pierwotnych pagórkach, zgromadzały się wszystkie świętości, blaski i potęgi wielkiej stolicy; tu znowu rozległe publiczne ogrody, noszące nazwy Cezara i Agryppiny, jakoteż otoczone ogrodami wille mo-

żnych, okrywały szczyty i stoki dwu wzgórz przedmiejskich gęstą zielenią, wśród której jaśniały tu i owdzie śnieżne, wspaniałe łuki bram, wiodących poza obręb miasta. Tu także, u stóp Janikulu, na ciasnej przestrzeni, zamkniętej ścianą wzgórza i brzegiem rzeki, naprzeciw łuku Germanikusa, który bogatą klamrą zamykał spuszczałą się z Awentynu ulicę Ostyjską, szarzała rojem niskich domków ta część dzielnicy zatybrzańskiej, którą wyłącznie zamieszkiwali Syryjczycy i Żydzi. Miejsce to różniło się od innych części miasta nie tylko rozmiarem ulic i budynków, ale także odrębną architekturą tych ostatnich i nadewszystko fizyognomią zamieszkującej je ludności. I po przeciwległej stronie rzeki istniały miejsca ubogo i ciasno zabudowane. To np., które nosiło nazwę Subury, ulice miało wąskie, domy stłoczone i kruchością swą budzące przestrach przechodniów. Niemniej przecież były to domy wysokie, sześciu nieraz piętr dosięgające, przyozdobione kolumnadą, której cegły i gipsy słabo naśladowały marmury wspanialszych części miasta; wąskie nawet zaułki posiadały tam wysłanie z lawy, lśniące, jak ciemne zwierciadło, a tu i owdzie ozdabiały się posągami, przedstawiającymi bóstwa niebieskie lub uwielbianych ziemian. Tam nikt słyszeć nie mógł mowy innej, nad łacińską lub grecką, a twarze ludności grube i często wynędzniałe, nosiły jednak w rysach swych wyraźne dowody pochodzenia swego od starożytnych



Kwirytów albo Hellenów, będących w Rzymie dawnymi już i poufałymi gośćmi. Na przedmieściu za tybrzańskim całkiem było inaczej. Setki może krótkich, wązkich, krętych uliczek wiły się dokoła domków jednopiętrowych, niskich, z dachami płaskimi, otoczonymi balustradą, a zwieńczonymi rodzajem trójkątnej budki, smutnie spoglądającej jedynem oknem bez szkła, które było zbytkiem w tem miejscu nieznanym, a zastępowanymi szybami z pęcherza albo szmatami przepojonych woskiem materyi. Architektura taka Rzymianom była obcą, dopóki jej tu nie przywieźli z sobą wędrowcy z Judei. Trójkątna budka owa, nad płaskim dachem sterząca, zawierała w sobie izdebkę, powiększającą szczupłe na dole mieszkanie i noszącą nazwę: *Aliga*; dach płaski, otoczony balustradą, rozszerzał ciasną i duszną przestrzeń, tworząc rodzaj tarasu, na którym jadano, modlono się i często spano. Domki te, uliczki i ciasne placyki zalegała ludność płci obu, w strojach całkiem też różnych od tych, które noszono w innych częściach miasta. Nie było tu ani tog brunatnych, szkarłatnych lub białych, ani tunik obcisłych, wytwornych, wzorzystych, ani kobiecych *stolli* z rzęsistymi haftami, ani zalotnych zasłon, lekkich jak obłok, opływających kształty, uwydatnione lśnącymi od metalowych ozdób pasami. Mężczyźni nosili tutaj długie do ziemi, luźne, wełnianym zwojem ściśnięte w pasie suknie, *chithoneth* zwane, głowy zaś ich dźwigały turbany, łamiące się



w twarde załomy, a opuszczające na oczy i policzki cienie wysokich gzemsów. Same turbany te były dziełem zawikłanem, którego wykonania ani podjąć się, ani zrozumiećby nawet nie mógł, gołogłowy najczęściej, a czasem lekkim kapeluszem lub kapiszonem płaszczą głowę okrywający Rzymianin. Kobiety zato jaśniały sukniami, jak różnobarwne kwiaty na łąkach. Zielono, błękitno, żółto robiło się w oczach przybyszowi, gdy patrzył na gromadę niewiast tutejszych, skoro zbiegły się one dla sprzedaży lub kupna na jeden z ciasnych placyków albo długim szeregiem w poufalej gawędzie obsiadły ścianę jednego z domów. Złoto ani srebro nie świeciło na pasach, otaczających kibicie, ale były to lniane lub bawełniane wstęgi, mieniające się pysznymi wschodnimi wzory. Starsze, głowy i czoła na wzór mężczyzn ukrywały w turbanach, śnieżnych lub wzorzystych, młodsze spuszczały na plecy bogactwo kruczych albo ognistych warkoczy i nierzadko, idąc, pobrzękiwały chórem dzwoneczków, kołyszących się u wysokich sandałów z czerwonej lub wzorzysto wyciskanej skóry. Wszystko to, mężczyźni, kobiety i dzieci, mówiło językiem, całkiem w innych miejscach Rzymu nieznanym, będącym zlewem dwu mów wschodnich: syryjskiej i chaldejskiej. Język ten, przez mieszkających tu Syryjczyków również używany, mnóstwem zawartych w sobie brzmień gardłowych przyciszoną nawet rozmowę zmieniał w gwar głośny, a byle trochę ożywionym słowom

nadał pozór klótni. Nieustanny i głośny gwar, który tu panował, zwiększał się znacznie przez wielką ruchliwość ludności tej, przez blizkie sąsiedztwo portu i przez mnóstwo nagromadzonych tu fabryk. Ludność ta była ruchliwą. Wprawdzie mężowie w podeszłym wieku, zgarbieni i zadumani, przesuwali się często wśród tłumu wlokącym się krokiem nieszczęśliwych; młodzieńcy nawet miewali twarze posępne i zmęczone, a z pod turbanów, okrywających czoła niewieście, patrzyły oczy trwożne; wprawdzie na całej ludności tej widocznem było piętno chorobliwego istnienia na ziemi obcej, niepokojów i trosk tułaczki, świeżych, nieprzeplakanych jeszcze żalów i twardej walki z ubóstwem: niemniej jednak była ona ruchliwą; sprężyste, żwawe, z namiętnymi ruchami krzątała się około zajęć mnóstwa. We wnętrzach domów słycać było furczenie wrzecion i skrzyp tkackich krosien; rozlegał się stuk narzędzi, uderzających w żelazo; widać było głów mnóstwo, schylonych nad misternem opracowaniem w bronz szkieł kolorowych lub szlifowaniem i rzeźbieniem drogich kamieni; dławiące niszapachy wonnych kor i korzeni znamionowały dokonywające się wyroby perfumiarstwa. Gdzieindziej, na odkrytych, lecz ciasnych przestrzeniach, mnóstwo ludzi mieszało ze słomą ogromne masy gliny i pracowitem wydeptywaniem jej nogami przerabiało ją na piętrzące się stosy cegieł; tam znowu okręcały się z łoskotem koła i warczały kamienie

garnarzy; owdzie gromady haftarzy ze zgiętymi nad krosnami plecy, w podnoszących się wciąż i opadających rękach błyskały różnobarwnymi, złotymi i srebrnymi niemi. Dalej nieco były garbarnie, nadające skórom cienkość i barwę; a dalej jeszcze ciekące po ścianach i progach płyny ze wstrętliwym pozorem i zapachem świadczyły o zajęciach farbierskich. Kilka oberż, brudno i posepnie wyglądających, buchalo na zewnątrz hałasem grubych głosów i wonią najpośledniejszych napojów, a dookoła nich zbierali się w krzykliwe gromady idący po zarobek do miasta lub z miasta powracający lektykarze i tragarze. Tragarzy Syryjczyków i Żydów pełno bywało, szczególnie w tem miejscu, gdzie na żółtych falach Tybru przybyłe zatrzymywały się statki, ładowne towarem, przysyłanym tu z nadmorskiego portu Ostyi. Statki przybywały nieustannie; nieustannie też u brzegu rzeki panował tłok ludności żeglarskiej, zmieszanej z tą, która, zdejmując ze statków towary, składała je u brzegu w spiętrzone stosy albo na grzbietach mułów i osłów, na wozach, zaprzężonych mułami i osłami, uwoziła ku mostom, kilku klamrami spinającym brzegi rzeki. Stuk więc, skrzyp, gwizd i warczenie narzędzi rzemieślniczych i fabrycznych, przeciągłe wołania żeglarzy, przywodzących do portu towarowe statki, i potężny plusk wiosel, turkot wozów, tętent stóp zwierzęcych, hałasy oberż, łączące się z rozmowami i klótniami męskich głosów, z gwarą

kupujących i sprzedających niewiast, z wesołymi lub płaczącymi krzykami mnóstwa dzieci, wytwarzały wrzawę ogłuszającą, jak nieustanny grzmot huczącą w ciężkim, dławiącym, smrodliwym powietrzu. Olbrzymie ścieki i podziemne kanały, które od wieków z nieporównaną doskonałością Rzym oczyszczały, tej jego dzielnicy oczyścić nie mogły. Wyraźniej może jeszcze, niż w ubiorach, mowie i rysach twarzy, Wschód ukazywał się tu w nagromadzonych wszędy śmieciach, w ciekących swobodnie mętnych i cuchnących wodach, w ostrych lub mdlawych zapachach, ulatujących z kuchen. Kuchenne zapachy mieszały się w powietrzu z gęstym dymem garbarni, z gryzącym smrodem farbiarni, z odurzającą wonią myrry, kasyi, aloesu, szafranu, cynamonu, aromatycznych kor i korzeni, unoszącą się z fabryk perfum. Wszystko to, złączone z wyziewami, jakie wydaje zazwyczaj ciężko uznojona ludność, wytworzyło atmosferę, którąby żadna pierś, miejscu temu obca, bez szkody i cierpienia oddychać nie mogła. Przenigdy też nie ukazywał się tu nikt z wytwornego rzymskiego świata, i każdy z tych, którzy na Kapitolu, Awentynie lub cesarskiem wzgórzu Palatyńskim, przechadzali się po zwierciadlanym bruku z lawy, w świeżym i wonnym cieniu pałaców i portyków, spoglądał na mrowisko to, ścielące się po przeciwnej stronie Tybru, wzgardliwie, niechętnie, co najmniej obco. Zejść tam, pomiędzy te niskie, płaskie dachy, w tę ludność,

szwargocącą językiem niezrozumiałym i barbarzyńskim, w pył ten, dym, smród i wrzask, straszniejszym dla każdego z nich byłoby zadaniem, niż przepłynąć morze i wylądować u brzegów Afryki lub Brytanii.

Jeżeli jednak z góry ku dołowi nie zstępował nigdy nikt, z dołu ku górze wspinało się mnóstwo istot, codziennie od mrowiska tego odrywających się i niezmiennie do niego powracających. Codziennie mnóstwo Żydów starych i młodych, nie przemieniając ojczystego stroju swego na żaden inny, opuszczało *Transtiberim*, przebywało jeden z mostów i szerokimi, wspaniałymi ulicami wstępowało na zamieszkiwane przez panów świata wzgórza. Byli to prawie powszechnie przekupnie, roznoszący po mieście towary, w dzielnicy ich wyrabiane, a które oryginalnością swą zaciekały i pociągały Rzymian. Jeden z przekupniów takich niósł na sprzedaż biżuterję tanią, lecz błyszczącą, bo wyrabianą ze szczątków naczyń z zabarwionego szkła i kryształów, w domach możnych stłuczonych, a skrzętnie przez mieszkańców Zatybrza nabytych i zużytkowanych. Inny pociągał wzrok pękami ślicznych sandałów kobiecych z czerwonej i wyciskanej skóry; inny jeszcze powiewał wstęgami pysznych pasów albo rozwijał tkaniny, okryte wschodnimi wzorami, albo pobrzękiwał wyrobami z miedzi, brązu i żelaza; albo jeszcze okazywał na pierścieniach i spinkach misternie rżnięte ka-

mienie lub fantastycznych kształtów naczyń, pełne płynów i maści z wonią nieznaną. Na to obfite napływanie w ich miasto i w łono przemysłu ich tego obcego pierwiastku wielu Rzymian dla przyczyn rozlicznych patrzyło niechętnie. Niechętnie patrzył na pokornego przybłądę dumny patrycyusz, a szlachetny patriota dostrzegał w nim jeden z pierwiastków, osłabiających moc jego ojczyzny. Niechętniej jeszcze, wzgardliwiej, spoglądał na niego myśliciel, widzący w nim hołdownika przez niego już porzuconych wierzeń i przesądów. Najnienawistniejszym okiem pożerał go kupiec i fabrykant, którego arkadę mijano dla przyjrzenia się jego towarom. Plebs uliczny, gawiedź, spragniona wszelkich wrażeń i widoków nowych, ścigała ich ciekawością swą, drwiąc z niezrozumiałej ich mowy, z dziwactw ich stroju, z chudości nawet ciał i cierpliwego milczenia ust. Niejeden patrycyusz, filozof, kupiec, którzyby z ulic Rzymu zdmuchnąć ich pragnęli, zapytywał siebie, skąd wzięli się oni tutaj? po co przybyli? dlaczego nie pozostali tam, kędy były kolebki i groby ich ojców? A zapytując tak i odpowiedzi na pytania swe nie znajdując, zwycięzcy ci zapominali o tryumfalnych wojennych pochodach, które do stolicy ich wprowadzały tysiące jeńców judejskich; o tem, że na ziemi podbitej, stratowanej pożogą i mordem, głodno i straszno było pozostawać jej dzieciom; że synowie jeńców, przywiedzionych przemocą, urodzili się już

w mieście wygnania, a gromady tułaczy, których oni pozbawili ojczyzny, jak ptaki pozbawione gniazda, zakładały je w ich ojczyźnie. Zwycięzcy ci zapominali o tem, że niemiłych im przybyszów przygnali tu krwawi bracia: podbój i gwałt; że, jeśli pogwałconego udziałem staje się niedola, ze szczęścia pogwałciciela powoli lecz nieuchronnie wyrasta różga kary i pomsty.

W roju tym niby pszczoł, które, wylatując z brudnego, wrzaskliwego ula, rozlatywały się po rozległych przestrzeniach, znajdowała się często młoda dziewczyna, drobna, ładna, zgrabna, w dziwny sposób przystrojona. Była to jedna z haftarek, różniących długie pasy wełnianych materii, okryte naszymi o wzorach wschodnich, mieniących się fantastycznie połamanymi liniami i purpurą wszelkich odcieni, zmieszaną ze srebrem i złotem. Rzymianki chciwie ubiegały się o te wyroby, którymi przyozdabiały brzegi sukien, sprzęty i okna mieszkań. Były one kosztowne i całkiem niepodobne do tych, które wyrabiały haftarnie rzymskie; zbytkowność ta więc i osobliwość tem ponętniejszymi je czyniły. Młoda haftarka z *Iranstiberim*, ilekroć z towarem swym udać się miała na drugą stronę Tybru, o wczesnej porannej godzinie wychodziła z jednego z najmniejszych domków przedmieścia i biegła raczej, niż szła, przez wązkie uliczki wesoła, lekka, ziemi zda się niedotykająca, a wciąż przy świetle wschodzącego słońca lubująca się piękno-

ścią niesionych przez się przedmiotów. Lubowanie się to objawiała ciąglem rozwijaniem pięknych szlaków materyi i przyglądaniem się im, któremu towarzyszyło zachwycone kołysanie się w obie strony głowy małej i niemniej od haftów oryginalnej. Była to głowa, okryta takim gąszczem ognisto-rudych kędziorów, że z dala możnaby je wziąć za złoty wieniec, a w cieniu złocistej tej gęstwiny olśniewającą białością rozkwitała twarz drobna, przychuda, z dwojgiem czarnych oczu, których płomienność łagodził cień długiej rzęsy, i z drobnymi ustami, czerwonymi jak odłam koralu. Drobna jej kibić okrywała suknią uboga, przepasana w stanie kawałkiem pysznie wyhaftowanej materyi; szyję zaś, posiadającą labędzie zgięcia, otaczał błyszczący naszyjnik z oprawnych w bronz kolorowych szkielek.

Biegła, na szczupłych ramionach zawieszala haftowane szlaki, z lubością uśmiechała się do nich, a do niej uśmiechały się łaskawie wysuwające się z okien i drzwi domków głowy dojrzałych i starych niewiast. Niektóre z nich słały jej głośnie pozdrowienia; odpowiadała na nie przyjaznemi skinieniami głowy; najbardziej jednak radowały ją pozdrowienia Sary, niewiasty z twarzą pogodną i dobroduszną, a postawą pełną powagi, bogatej właścicielki jednej z największych haftarni Zatybrza. Jej to własnością był towar, przez młode dziewczę na sprzedaż niesiony. Dziewczyna haftowała na ma-

teryach i niemi, które dawała Sara; Sara dość hojnie płaciła jej za to i ją, nie zaś żadną inną, wysyłała z towarami do miasta dlatego, że nikt inny tak dobrze uwagi ludzkiej na siebie zwrócić i tak roztropnie językiem Edomitów rozmawiać nie umiał. Językiem Edomitów mówić ją nauczył przybrany ojciec jej, Menochim; Sara nauczyła ją haftować, ale dziewczyna prześcignęła wkrótce umiejętność swej mistrzyni. Zaledwie dorosła, dziwne i śliczne zaczęła miewać pomysły; z pod drobnych dłoni jej wypływały, we własnej głowie jej powstające, szczególne, do żadnych innych niepodobne szlaki, arabeski, kwiaty, dziwaczne na pozór mieszaniny mnóstwa linii i kolorów, które przecież zlewały się zawsze w pełną wdzięku i fantazyi całość. W głowie dziewczęcia, pod gęstwiną ognistych włosów, błyskały płomyki twórczości. Kiedy otyła Sara po raz pierwszy zobaczyła samoistne roboty uczeniicy, plasnęła w pulchne dłonie i z błogim uśmiechem na dobrodusznym wargach po razy kilka zawołała:

— *Hoscheb! Hoscheb!...*

Znaczyło to, że dziewczyna w sztuce haftarstwa za *improvizatorkę* uznaną została. Wtedy to, w dniu mianowania jej tym tytułem, otrzymała ona w podarunku od Sary ów naszyjnik z kolorowych szkiełek i śliczne sandaiki, bez dzwoneczków wprawdzie, które nie przystawały ubogiej dziewczynie, ale z ponsowej skóry i z podeszwą, głośno i wesolo

uderzając o bruk ulic i portyków rzymskich. W sandałki te i naszyjnik stroiła się wtedy tylko, gdy szła na drugą stronę Tybru.

Głośno i wesoło uderzając sandałkami o lawowe lub marmurowe płyty, coraz powolniej przecież wspinała się na wzgórze Awentyńskie i o piękności zwieszonych na ramionach swych haftowanych pasów zapominała. Teraz otaczały ją piękności inne, znane jej od dawna, ale na które dosyć natrzeć się nigdy nie mogła. Ukazujące się jej tu zewsząd rzeźby i malowania, mozaiki z różnobarwnych marmurów, kolumnady, posągi, świetne i kunsztowne ubiory mężczyzn i kobiet budziły w niej zawsze ciekawość i zachwycenie. Wrzące tu życie, nie wrzaskliwe, brudne, ze złorzeczeniami i łzami zmieszane, jak na rodzinnem przedmieściu, ale wykwintne, błyszczące, wesołe, wlewało w pierś jej rozkoszne wrzenie. Z szeroko otwartych oczu, z warg drżących, z rumieńców, które wybijały się na policzki, poznać można było, że pragnęłaby nie iść, lecz lecieć, nie oddychać powietrzem tutejszem, lecz pić je chciwie i bez końca. Szła to powoli, to prędzej, uśmiechała się do wszystkiego, bezwiednie, jakby chcąc dostroić się do piękności i blasku otoczenia, stroiła się w niesione przez się hafty, owijała je dokoła szyi, opuszczała na spłowiałą suknię, w malowniczych fałdach zwieszała na ramionach. Wkrótce osypywały ją całą złote i srebrne iskry, które w haftach rozniecało słońce, aż gasły w cie-

niach portyku, do którego wstępowała po kilku schodach marmurowych, i w którym u jednej z kolumn stała uważna, cicha, pilnie nabywców towaru swego wyglądająca.

Portyk to był przez Cestyusza, jednego z najzamożniejszych panów rzymskich, na Awentynie zbudowany i na miejsce przechadzki i ochłody ludowi rzymskiemu ofiarowany w darze. Składał się z dwóch długich rzędów kolumn, złączonych w górze lekkim dachem a w dole posadzką marmurową. Gzymsy dachu, głowice i podnóża kolumn ociekały bogatemi rzeźbami; sufit okrywały rzeźbione także kwadraty i medaliony; tu i ówdzie pomiędzy kolumnami wznosiły się potężne lub wdzięczne kształty posągów. Zazwyczaj mnóstwo ludzi różnych plemi i stanów przechodziło tamtędy i niejedni zatrzymali wzrok na stojącej u kolumny żydowskiej haftarce. Niejedna Rzymianka zbliżała się do niej, oglądała hafty jej lub je kupowała. Przemawiano do niej różnie: dumnie, łaskawie lub obojętnie. Ona, od dawna już widując miejsca te i tych ludzi, nieśmiałą nie była. Na pytania odpowiadała krótko lecz jasno, i rumieniec okrywał policzki jej, gdy widziała uśmiechy, wywoływane przez sposób, w jaki wymawiała słowa łacińskie lub greckie. Obu bowiem językami tymi zagadywano do niej i w obu umiała odpowiadać, lecz mieszała się i długie powieki na czarne źrenice opuszczała, ilekroć wzrok jej napotkał uśmiech wzgardliwy albo szyderskie,

niechętnie spojrzenie. Najwzgardliwszą i najsroźszą wydawała się jej twarz pewnego haftarza, którego tu widywała często. Z dosłyszanej rozmowy jakieś dowiedziała się o tem, że był on, tak jak Sara, właścicielem haftarni, ale nie na *Transtiberim*, tylko na Awentynie istniejącej, i że na imię mu było Sylwiusz. Był to człowiek lat średnich, dostatnio w kraciatą tunikę ubrany, z długim, orlim nosem, nadającym twarzy jego dziobaty pozór ptasi, z białą, wypieszczoną, kosztownym pierścieniem błyszczącą ręką. Zbliżył się raz do niej i, hafty jej przerzucając, ostrym głosem zapytał:

— Z za Tybru?

— Tak, panie.

— Z fabryki Sary?

— Tak, panie.

— A ty kim jesteś?

— Robotnicą Sary... improwizatorką...

Mniemała, że wymienienie tytułu, którym była dumną, złagodzi srogiego fabrykanta rzymskiego. Lecz on w twarz jej złęknioną cisnął piorunujące spojrzenie i przez zacięte zęby wymówił:

— Bodaj was wszystkich wzięły na swoich nadwornych haftarzy bóstwa piekielne!

Odszedł, lecz potem często przechodził tamtędy i na dziewczynę, obwieszoną wschodnimi haftami, rzucił spojrzenia pełne niechęci i wzgardy. Raz szedł w towarzystwie innego człowieka, który, nizki i pulchny, z utrefionymi kunsztownie włosami i toga

w zalotne fałdy ułożoną, zionął mocnym zapachem perfum. Był to perfumiarz, imieniem Wentury. Rozmawiali z sobą z ożywieniem i z niezadowolonymi minami. Sylwiusz palcem wskazywał żydowską haftarkę; Wentury ruchem sklepowego eleganta odwrócił się w stronę przeciwną i takim samym gniewnym gestem ukazał starego, zgarbionego Żyda, który, na drugim końcu portyku u stóp kolumny przysiadłszy, wystawiał na widok publiczny flakony i pudełka z wonnymi płynami i maściami. Obaj ludzie, haftarz i perfumiarz, zmarszczyli niskie czoła.

— Wkrótce — zawołał jeden z nich — ucziwi Rzymianie obsiądą most żebraków, a cudzoziemcy rozpierać się będą w grodzie Romulusa. Rzecz to doprawdy dziwna, że Cezar — niech długie będzie życie jego! — nie wzbroni tym psom azyatyckim wstępu do głównych przynajmniej ulic miasta.

— Nie teraz przynajmniej, nie teraz nastąpić to może — z tajemniczą miną odparł Wentury — kiedy Tytus (oby na półbożka tego wiecznie łaskawymi byli bogowie!) duszę swą utopił w pięknych oczach Żydówki Bereniki...

— Chciałbym, aby wspaniała Berenika i królewski brat jej, Agryppa, posiadli wieczną miłość bogów! Żydami są także, to prawda, ale cóż to szkodzi, skoro niedawno, gdy zapotrzebowali do pałacu swego stu haftowanych okryć na łoża i sofya, u mnie je zamówili. Wprawdzie głusi tylko i ślepi

nie wiedzieć mogą o Sylwiuszu, najdoskonalszym w Rzymie haftarzu, albo nad jego wyroby przekładać łachmany tych barbarzyńców azyatyckich!

Oddalili się. Żydowska dziewczyna rozmowę ich słyszała i długo potem dumiała nad czemś głęboko. Myślała o tem, czy być mogło, aby tak wielka sprzeczność zachodziła pomiędzy ludźmi samymi a ich dziełami? Tyle piękności stworzyć, a mieć serca twarde, okrutne... jak to być mogło? Więc Rzymianie ci, którzy w jej wyobraźni przybierali niezrównaną piękność i potęgę, byli może istotnie takimi, za jakich miano ich na *Transtiberim*? Tam nazywali się oni okrutnikami, ciemiężcami, bluźniercami Boga i wrogami cnoty, tam złorzeczono im o każdej niemal minucie dnia i płakano na nich głośno, z jękami, w świątyni i ścianach domowych. A jednak, nie! Sylwiusz i Wentury oddalili się i oddaliły się strojne panie, które, z chciwością rozpatrując i kupując towar jej, na nią patrzyły dumnie i szydersko; natomiast zaś, jakże szanownym i dobrym wydawał się podeszły mąż ten, co się często przechadzał pod cieniem portyku, otoczony gronem młodzieńców, do których przemawiał z powagą i dobrocią, a którzy słuchali go ciekawie i z uwielbieniem! Siwiejąca, długa broda sphywała mu na ciemną tokę; czoło przerzynały zmarszczki przebytych trudów; w ognistych oczach płonął zapal niemal młodzieńczy, a na ustach znać było słodycz serca, które kochać umie. Towarzy-

szący mu młodzieńcy zgrabni byli i strojni, a jednak poważni i skromni; podeszły mąż przypominał jej dziwnie Menochima. Inne były ruchy i rysy, inna też postawa i ubiór, a jednak było pomiędzy nimi coś wspólnego. Może zapal, może cierpienie... Od rodaka, sprzedającego perfumy, dowiedziała się, że mąż ów był tem, co u Rzymian nosi nazwę filozofa, że nazywano go też stoikiem, że imię jego było Muzoniusz Rufus, a towarzyszący mu młodzieńcy byli jego uczniami. Nie wiedziała wcale, co znaczyły nazwy: filozof i stoik, ani czegoby właściwie nauczać mógł Muzoniusz; ale zrodziła się w niej paląca ciekawość usłyszenia mowy jego, zdobycia nauki tej, której on młodym rodakom swym udzielał. Pilnie chwytała dźwięki zalatującej ją rozmowy i parę razy dosłyszała wymawiane przez Muzoniusza wyrazy: sprawiedliwość, cnota, czystość serca, litość, wierność. Co to znaczy? Tam, na *Transtiberim*, często wyrazy te wymawiano, i doprawdy w ustach Rzymianina tego miały to samo brzmienie, z jakim wymawiał je Menochim. Czy i tego także, wraz z całym ludem jego, ogarniają przekleństwa na *Transtiberim* brzmiące? A ona dziwny jakiś pociąg czuła ku grupie tej, zwolna przechadzającej się po portyku, z której, gdy spojrzenie jednego z młodzieńców, trafem na nią upadłszy, dłuższą chwilę zatrzymało się na włosach jej i twarzy, czuła mącąca się

w głowie myśl i w zamęcie tym wołający wciąż jeden okrzyk: „jakże oni są piękni“.

Jeden z nich, mijając ją z bliska, rzucił jej dnia pewnego kilka wyrazów:

— Śliczniuchną jesteś, mała Judejko! i gdybym był malarzem, zarazbym głowę twoją na ścianie *triclinium* mego wymalował!

— Proś o to Artemidora! — zawołał inny i oddalili się.

W godzinę potem młodą haftarkę mijala rodaczka jej, znana jej trochę mieszkanka Zatybrza, roznosząca po mieście wyroby ze stali. Dziewczyna poprosiła ją o stalowe lusterko i, przyglądając się niby misternej ramie jego, patrzyła na odbicie własnej swej twarzy. Była potem weselszą jeszcze, niż zwykle, i głośno, dziecinnie śmiała się, patrząc na zabawę małych chłopców, którzy w portyku giętkimi laskami popychali obręcze, zaopatrzone w dzwonki i brzękawki. Obręcze toczyły się i dzwoniły, chłopcy w krótkich tunikach, ze złotymi łańcuszkami, u których wisiały złote kule na szyjach, gonili je, śmiejąc się i w elastycznych podskokach. Młodziutka haftarka śmiała się także, całą siłą swych wielkich, rozradowanych oczu biorąc udział w zabawie. O! jakżeby chciała poskoczyć i wraz z dziećmi temi biegać w cienistym portyku, w pogoni za błyszczącą, dzwoniącą obręczą... Ale nie dla niej były gry wesole, tak jak i mądre nauki. Uczuwała nagle, że nogi bolały ją od cō-

dziennego stania i, osunawszy się na marmurową posadzkę, siadała u podnóża kolumny; a im więcej dzień zbliżał się ku końcowi, im większa cisza zapanowywała w portyku i na krzyżujących się dokoła ulicach, tem cichszą stawała się ona i smutniejszą. Drobną jej postać kurczyła się, przybierając pozór pokory i zgnębienia. W cieniach, zaczynających napelniać portyk, gasły do szczętu iskry, któremi poranne słońce osypywało ją, gdy tu przybywała. Znikały też jej wesole i zachwycone uśmiechy, martwiały żywe ruchy. Skurczona, z głową opartą o twarde podnóże kolumny, pokorna i smutna, była już tylko dzieckiem ubogiem, mizernem, nie wiedzieć jak spadłem w ten świat blasku i wielkości, dzieckiem ludu, miejscem tym obcego, nieznanem tu przez nikogo, niezwiązanem żadną nicią sympatii, ani wspólności z nikim i z niczem. Wstawała i powoli, wcale inaczej niż z rana, stąpając, a wciąż oglądając się poza siebie, opuszczała Awentyńską dzielnicę, przebywała most, pod którym glucho szumiały wody rzeki, i za rzeką znikala w grubej tej, dusznej, cuchnącej mgłę, która niby banią z brudnego szkła obejmowała siedlisko wygnania, biedy, płaczu i przekleństwa.

Dnia pewnego, niewiele potem, gdy Menochim odrzucił świetną propozycję Justusa, młoda haftarka, wstępując do portyku Awentyńskiego, ujrzała widok niezwykły. Było to w godzinach popołudniowych, w których Rzymianie zwykli byli napelniać

łaźnie, sprawować sądy, słowem, oddawać się zajęciom i rozrywkom w chłodnych ścianach domostw. Ulice były puste prawie, w portyku siedziało i stało kilku tylko przekupniów i rzadko bardzo kroki spieszącego przechodnia uderzały przez chwilę o marmur posadzki, poczem wszystko milkło. Haftarka przybywała tu w złą porę, ale zatrzymano ją długo w innem miejscu, gdzie też kupiono znaczną część jej towaru. Przyszła więc późno, ale jakże szeroko i ciekawie otworzyła oczy, i jak nieruchomo stanęła, aby mózż niepostrzeżenie przypatrzeć się temu, co się tu dziś robiło. Niedaleko wejścia do portyku wzniesione było rusztowanie wysokie, u którego szczytu, równoległego z gzymsami dachu, siedziało i stało kilku ludzi. Jednego z nich haftarka spostrzegła najpierwej. Młody, wysoki, w białej tunice, z obnażonemi ramionami, siedział na najwyższym stopniu rusztowania i penzlem trzymanym w ręku napełniał malowaniem dość szeroką przestrzeń, znajdującą się pomiędzy sufitem a głowicami kolumn; część szlaku, który widocznie świetnym wieńcem otoczyć miał portyk dokoła, była już wykończoną. Składała się ona z kwiatów, ujmowanych w zygzaki greckie i wdzięcznie mieszanych z mnóstwem postaci dziecięcych, skrzydlatych, figlarnych. Charakter roboty tej był tak wesołym i wykwintnym, jak twarz i ruchy samego malarza. Kilku innych ludzi, młodych, zwinnych, pomagało mu w pracy i rozwese-

lało ją przyjacielską, a jednak pełną uszanowania rozmową. Podawali mu oni farby, zmieniali penzle; lekkimi rzutami rąk, uprzedzających jego rękę, rzucali na ścianę pierwsze kontury przyszłego malowidła; zbiegając o kilka stopni niżej, z dala przypatrywali się skończonym już częściom roboty; wydawali okrzyki podziwu, albo czynili nieśmiałe uwagi. Mieli pozór uczniów i pomocników.

Był to więc malarz! A ona tak całym sercem swym pragnęła kiedykolwiek ujrzeć z bliska jednego z tych, których dzieła widokiem swym napępiała ją dziwną rozkoszą i takimi myślami, od których głowa jej w godzinie powrotu na rodzinne przedmieście stawała się ciężką i pokorną. Patrzała też teraz na malarza chciwie, z podniesionym wzrokiem i chociaż wierzenia religijne Edomitów ze słyszenia tylko znane jej były, chociaż od niemowlęctwa czcić ją nauczano jedyne Boga, w głębokościach istoty swej trwożnie, lecz z uwielbieniem, nazwała go pół bogiem. W ten sam sposób przypatrywała się mu przez wiele dni następnych. Przychodziła i patrzała. On ani jej spostrzegał. Rankiem przybywał tu w orszaku uczniów i szybko wbiegał ku szczytowi rusztowania i tam godzinami zostawał, zatopiony w swej pięknej pracy, czasem tylko śmiejąc się z zachwytów lub uwag swych wielbicieli, albo ponsowe usta odświeżając podawanym przez nich soczystym owocem. Haftarka z za sukni swej wyjmowała w południe kęs chleba

i sera i, zjadłszy szybko, oddawała się znowu swej, przez nikogo niedostrzeganej kontemplacji. Raz przecież tuż prawie obok niej zabrzmiał donośny głos, wołający:

— Artemidorze! Artemidorze!

W sposób ten wołał na malarza jeden z uczniów jego, spóźniony i nadbiegający. Artemidor odwrócił głowę i, wdzięcznie na wysokim siedzeniu swem przegięty, spojrział w dół; spojrzenie jego upadło na dziewczynę w spłowiałej sukni, okrytą szlakami pysznych haftów, z głową nastrzępioną mnóstwem ognistych kędzierów, z wlepionym w niego wzrokiem czarnych oczu. Nieme to uwielbienie zwróciło snadź na siebie przyjazną uwagę mistrza. Łagodnie przez chwilę popatrzył na nią, lecz wnet odwrócił głowę i znowu pograżył się w pracy. Nie dziw. Pomiedzy żydowską dziewczyną, nędzarką prawie, a świetnym i przez cały Rzym uwielbianym malarzem Artemidorem, istnieć nie mogła wspólność żadna. Jednak nazajutrz, gdy penzel swój oderwał od wykończonego już małego Fauna, spojrział znowu w dół i przez chwilę zatrzymał wzrok na wzniezionej ku niemu twarzy dziewczęcia. Ona przed wzrokiem tym nie spuściła oczu. Uśmiechnęli się do siebie. Wkrótce potem Artemidor przyszedł do portyku w towarzystwie jednego tylko ucznia. Długo malował, aż, zwieszając penzel w powietrzu i niebdałym ruchem głowę w dół pochylając, zapytał:

— Kim jesteś, dziewczę?

Stłumionym głosem odpowiedziała:

— Żydówką jestem.

Artemidor zaśmiał się głośno.

— Gdybyś mi była odpowiedziała inaczej, powiedziałbym ci, że kłamiesz. Słońce Azyi rozpałiło włosy twe i oczy.

— Urodziłam się w Rzymie — nieśmiało rzekła.

— Doprawdy? I, na Jowisza! Rzymowi wstydu nie przynosisz. Zabawnie trochę mowa łatyńska w ustach twych wygląda, ale czyni cię to tem osobliwszą, a osobliwości wszelkie są teraz namiętnością Rzymian. Jak ci na imię?

— Mirtala.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Transtiberim.

— Lituję się nad tobą. Stopa moja nie postąpiła tam nigdy...

Chwilę jeszcze popatrzał na nią i do pracy swojej powrócił. W czas jakiś potem znowu w dół spojrział, jakby chciał przekonać się, że nie odeszła. Stała wciąż na tem samem miejscu, kędyś daleko rozmarzonymi oczyma patrząca, ze skrzyżowanemi u piersi ramiony. Smuga słonecznych promieni, zakradłszy się pod gzymsy portyku, we włosach jej i spływających z ramion haftach rozżarzała tysiące iskier. W oczach malarza ukazało się coś nakształt zachwyty.

— Czy to są twoje roboty? — zapytał.

— Moje — odpowiedziała i z pewną dumą rozwinęła szeroko jeden ze szlaków.

— Śliczne wzory! — zawołał malarz, całą postacią już w dół przegieęty. — Skąd je bierzesz?

— Od dawna już układam je sama. Improvizatorką jestem...

— Arachne! muszę przyjrzeć się z blizka tobie i robotom twoim!

Wydawszy okrzyk ten, zerwał się z miejsca i z żywymi ruchy, z penzlem w ręku, zstępować począł z rusztowania. W tej samej chwili w portyku ukazała się kobieta wyniosłej postawy i w bogatym stroju, prowadząca za rękę dziesięcioletnie dziecko, chłopczyka, w szkarłatnej, krótkiej tunice, ponsowych sandałach i łańcuszku ze złotą kulą na szyi. Z kruczych warkoczy kobiety tej gazowa zasłona, jak lekki srebrzysty obłok, spływała na suknię białą, bogato srebrem haftowaną i na ramionach spiętą spinkami z rubinów. Za nią, w oddaleniu pewnem, postępował sługa, niosący różne przedmioty szkolne, jako to: podługowaty futerał, chroniący zwoje pergaminowe, tabliczki, *style*, gąbkę i kałamarz. Spostrzegłszy nadchodzącą, Artemidor pochylił głowę ukłonem uszanowania pełnym. Ona powitała go z dala już przyjaznym uśmiechem, a dziecko, rękę swą z dłoni matki wysunawszy, z krzykiem radości pobiegło naprzód i, swawolnie obejmując artystę drobnemi ramiony, poufale do niego szczebiotać zaczęło. Chłopak to był żywy,

hoży, z elastycznymi ruchy i oczyma iskrzącemi się życiem i pojętnością. Szczebiotał, że wraca ze szkoły, do której matka jego przybyła, aby odprowadzić go do domu, a w której dziś właśnie mistrz Kwintilian opowiadał śliczną historję o Manliuszu, co to wspomagał biednych, bronił uciśnionych i zginął taką straszną, okropną śmiercią...

— Cicho bądź, Helwidyuszu! Szczebiot twój nie pozwala mi powitać przyjaciela naszego, Artemidora!

Wyniosła i strojna kobieta wymówiła słowa te z pieśzcotliwem, ku dziecku zwróconem spojrzeniem, które surowe nieco jej rysy rozjaśniło wyrazem dobroci i spokojnej wesołości.

— Dzień tu twemu, Artemidorze, przypatrywałam się już nieraz, gdy przechodziła tędy w czasie nieobecności twojej. Niemiły ten Cestyusz podwójnie teraz dumnym czuć się będzie z portyku swego, gdy przyozdobi go ręka twoja. A wielce mu teraz pociechy potrzeba. Od klęski wojennej, którą poniósł w Judei, spochmurniał bardzo i mniej dobrze bawi się, niż za czasów Nerona, którego był ulubieńcem i niecnym pochlebcą.

— Cały Rzym mówi o nieporozumieniach jego z żoną — odparł Artemidor. — I doprawdy, niepodobna dziwić się ślicznej Flawii, jeżeli związek z nim zadowolić jej nie mógł.

— I że zadowolenia tego szuka podobno w dziwacznych jakichś, azyatyckich wierzeniach i zabo-

bonach... — wzgardliwie nieco uśmiechnęła się kobieta.

Czarne brwi młodego malarza drgnęły.

— Azya ogarnia nas zewsząd, dostojna Fanio! — odparł posępnie — i blizkim może jest czas, w którym, jak Azyaci, padać będziemy czołami do stóp naszych władców. Niewolnicze poddaństwo i zabobony, oto podarki, które nam podbity przez nas Wschód przynosi...

— Podbity! za jaką cenę! — z goryczą szepnęła Fania.

Ale Artemidor długo posępnym myśłom oddawać się nie mógł. Natura to snadź była młodzieńcza, świeża, w której smutek i gorycz topiły się szybko w swobodnych uśmiechach.

— Azya ta przecież — zawołał wesoło — przysyła nam też czasem ciekawe i wdzięczne zjawiska. W chwili właśnie, gdy nadchodziłaś, dostojna Fanio, rozmawiałem z jakimś żydowskim dziewczęciem, które, doprawdy, ma najpiękniejsze włosy i oczy, jakie w życiu swoim widziałem. W dodatku jest ona...

Spojrzenie jego szukało Mirtali, która, usunąwszy się nieco od rozmawiających, ciekawie jednak słowa rozmowy ich chwyciła.

— Jesteś tu jeszcze — zawołał. — Popatrz, domina, na nią i na jej roboty!

— Dzieweczkę tę — odparła Fania — widuję

tu od dawna i nieraz już nawet kupowałam u niej hafty, które sprzedaje. Nie widziałam jednak...

— Popatrz, domina, popatrz tylko uważnie — wołał Artemidor, który w obu rękach rozwijał pas śnieżnej materyi, cały okryty liśćmi i kwiatami takich barw i kształtów, jakie tylko wyśnić się mogły gorącej i bujnej fantazyi. — Arachne, która w sztuce tkackiej była rywalką Minerwy, pozazdrościłaby mogła tym drobnym rączkom... Kto cię uczył rysować?

— Symeon, mąż Sary...

— Mistrzem więc jej był Żyd jakiś, nieuczony zapewne i, jak oni wszyscy, sztuce naszej obcy! Jakżebym pragnął mieć cię uczennicą swoją.

Od zdumienia osłupiała, drżąca z radości, Mirtala stała w płomieniu rumieńca, ze spływającym na policzki cieniem rzęs długich, z rozkosznym wpółuśmiechem na trochę rozwartych ustach. Nagle usłyszała wyrazy, kobiecym głosem wymówione:

— Chodź do domu mego; pokażę cię przyjaciołom naszym i musisz mi opowiedzieć historję swoją...

— Mówiłem ci, Mirtalo, że osobliwości wszelkie są dziś namiętnością Rzymian, a ty osobliwość jesteś!... — ze śmiechem zawołał Artemidor.

I zwracając się do Fanii, dodał:

— Czy pozwolisz, domina, abym dziś był gościem twoim?

— Nie możesz wątpić o mojej dla ciebie przyjaźni, a mąż mój, który wkrótce z Bazyliki powróci, i Muzoniusz, który dziś właśnie odwiedzić nas przyrzekł, zobaczą cię z radością.

Mały chłopak bawił się nieopodal z malutkim, ładnym pieskiem, towarzyszącym kobiecie jakiejś, która, zatrzymawszy się w portyku, kupowała perfumy od starego przekupnia Żyda. Fania przywołała syna i, zwracając się znowu do Mirtali, powtórzyła:

— Pójdź za mną...

Mirtala podniosła powieki i spotkała się z oczyma Fanii, których głęboką czarność łagodził wyraz spojrzenia. Łagodnie i laskawie, nadewszystko jednak ciekawie, patrzyła ona na żydowską dziewczynę, która pobladła i nawet cofnęła się o kroków parę. Wejść do wnętrza jednego z domów, na które tyle razy z zachwytem patrzyła, o których mieszkańcach śniła mnóstwo cudownych rzeczy, byłoby dla niej radością niezmierną. Przytem usłyszała, że będzie tam Muzoniusz... zobaczy więc i usłyszy z blizka męża tego... Ale wszakże to był dom Edomitów! Przystąpić próg domu tych, którym złorzeczyli jej bracia... Cóżby powiedział na to Menochim? coby powiedziała Sara, której najstarszy syn zginął niedawno w wojnie, z Edomitami wiedzionej? Coby powiedział mąż Sary, ponury Symeon, którego brwi najeżone zbiegały się nienawistnie na samo imię Rzymianina? Coby powie-

dział Jonatan... gdyby powrócił i dowiedział się, że narzeczona jego nawiedza domy tych, z którymi on tak krwawo w murach oblężonej Jerozolimy walczył, od których mściwej dłoni uciekając, tułał się teraz po afrykańskich pustyniach, jak zwierz tropiony? Błada, wahająca się, przez dwa sprzeczne uczucia rozdzielana, podniosła oczy pełne łez i już wymówić miała: „Nie pójdę za tobą, pani!“, gdy Artemidor dotknął z lekka jej ręki i rzekł wesoło:

— Chodź! nie lękaj się! Ludźmi jesteśmy i życzliwymi dla wszystkiego, co ludzkie, skądkolwiek pochodzi.

Zapomniała o wszystkim. Transtiberim, Menochim, Sara, Symeon, Jonatan przestali istnieć dla niej. Nietylko posłuszna, ale rozpromieniona, odzyskując żywe i zgrabne swe ruchy, poszła za Fanią i Artemidorem. Z rozmowy ich dowiedziała się wkrótce, że znaleźć się ma w domu pretora Rzymu, Helwidyusza Prisca, wysokiego dostojnika, którego imię ze zgrozą wspominała często ludność przedmieścia Zatybrzańskie. Zgroza ta pochodziła zapewne stąd, że był on pomiędzy Edomitami dostojnikiem wysokim i możnym, bo o żadnym jego czynie złym i okrutnym nie słyszała nigdy. Więc zobaczy pretora Rzymu? Jak on wygląda? Pozór jego musi być strasznym, spojrzenie piorunującym, dłoń żelazną i okrytą plamami krwi, a może... podobniejszym jest on do

lwa krwiożerczego lub do drapieżnego orła, niż do człowieka? Drżąc, wchodziła do przedsionka, nad którego czworokątną kolumnadą wznosiło się niebo odkryte, a na posadzce z szarego marmuru jaśniał z purpurowych liter ułożony gościnny napis: „Witajcie!”

II.

Perystyl, zdobiący dom Helwidyusza i Fanii, z mnóstwem kolumn z żółtego, numidyjskiego marmuru, z za których przeglądała zieleń ogrodu, z ujętym w wyrzeźbione ramy dachu szafirowym stropem nieba, z mocnemi woniami roślin, kwitnących w śnieżnych wazonach, miejscem był wykwintnem, świeżem i wesołem. Pośrodku, na układanych z różnobarwnych marmurów arabeskach posadzki, wesoło igrały w miliony iskier rozsypujące się promienie słońca; w cieniu, rzucanym przez nagłówki kolumn na brązowych, w kość słoniową zdobnych stolkach i krzesłach, zasiadało szczupłe grono ludzi. Dokoła stołu, spartego na lwich łapach, a dźwigającego czaszę, pełną owoców i czary napelnione winem, ludzie ci skupiali się w poufne, przyjacielskie koło. Najwygodniejsze siedzenie, bo krzesło poręczowe, *katedrą* zwane, z purpurowem obiciem, z poręczą misternie rzeźbioną i wysokim podnóżkiem, zajmował matka Fanii, Arya, kobieta stara już i małomówna, z twarzą delikatną i białą, jak

listek lilii, w mnóstwo zmarszczek zmięta, a osłonią cieniem długiej zasłony, której lekkie zwoje owijały jej fałdzistą suknię. Była to postać surowa, zamknięta w sobie, i nietylko żałobne jej suknie, lecz blade, milczące wargi i wyraz oczu, głęboko zapadłych pod brwią jeszcze czarną, przywodziły na myśl jakieś bolesne tragedye, których ona jedną z aktorek być musiała.

I nie myliłby się ten, kto by domysł ten stworzył. Od dnia, w którym pod Filippami ostatnie republikańskie zastępy uległy przed geniuszem i szczęściem następcy pierwszego Cezara, nieprzerwane pasmo spisków, buntów, krwi i żałoby przetrzymało panowanie dziewięciu następnych jedynowładców. Nie dla wszystkich dusz ludzkich fakt spełniony niezłomnym rozkazem być może. Są takie, które, wbrew konieczności żelaznej i bezsilności własnej, powściągnąć nie mogą przejmujących je dreszczów gniewu i oporu. Tak było przez ciąg całego stulecia w Rzymie cesarskim, wzniesionym na gruzach staro-rzymskiej, burzliwej i wybujałej lecz twórczej, potężnej wolności.

Do tych opornych, niepohamowanemi czołami w straszny niezłomnością swą fakt dziejowy uderzających, należał ojciec Aryi, Petus Sesina, i mąż jej, Trazeusz. Pierwszy na rozkaz Cezara Klaudyusza, drugi z woli Nerona, przedwczesną śmiercią zginęli. Należała też do nich i matka jej, imieniem także Arya, która, małżonka swego przeżyć nie

chcąc, dobrowolną śmiercią swą zgon jego uprzędziła. Należeli do nich liczni krewni i przyjaciele jej rodu, mężowie i niewiasty o najprzedniejszych w Rzymie umysłach i charakterach, a którzy teraz, jak widma skrwawione, bładzili w krainie jej wspomnień.

Cóż więc dziwnego, że kobieta, z której losów dziejopisarze układali posępne obrazy, a wieszczę czerpali bohaterskie natchnienia, wyglądała tak, jakby sama wypadkiem tylko z krainy cieniów pośród śmiertelnych wyrzuconą została.

U stóp jej, o kolana wsparty, siadywał mały Helwidyusz, a szczebiot jego, którym opowiadał babce dziecięce przygody i wrażenia, mieszał się z ożywionymi głosami Fanii i Muzoniusza.

Z za krzesła i białej sukni Fanii wysuwała się młodzianka dziewczęca głowa z ognistymi kędziory i czarne oczy spoglądały na wszystko i wszystkich z ciekawością niezmierną, z tysiącem przelatujących w źrenicach uśmiechów i płomieni. Mir-tala, często przychodząc do domu tego, gdzie kupowano znaczną część jej towaru i gdzie parę godzin zlatywało jej, jak rozkoszna jedna minuta, od dawna już opowiedziała tu krótką swą przeszłość. Za pierwszej jej bytności Fania obchodziła się z nią z łaskawością, połączoną z tem lekceważącym trochę zaciekawieniem, które w Rzymianach obudzały plemiona obce cywilizacyi ich, szczególnie zaś wschodnie. Przypatrując się zgrabnej kibici i pojętnym oczom dziewczyny, pytała:

— Czy nie jesteś, dziewczeczko, potrosze Greczynką? z ojca może lub z matki? Imię twoje brzmi z grecka...

Ze spuszczonei powiekami Mirtala odpowiedziała:

— Galilea, dziedzictwo synów Izraela, była rodzinnem miejscem ojca i matki mojej. Ojciec mój był rybakim, spokojnie rzucającym sieci swe na wody błękitnych jezior, lecz pod rządami Rzymianina Feliksa, wmieszany w bunt Zelatorów, został przez Feliksa oddany w niewolę pewnemu greckiemu panu, do którego dobrowolnie za mężem swym udała się matka moja Rebeka. Dobrą robotnicę, umiejącą tkać cienkie materye i cudnie haftować, grecki pan przyjął z ochotą. W domu tym urodzonej, dano mi imię: Mirtala.

Urodziła się więc w niewoli? Jakim sposobem wolną mieszkanką Transtiberim została? Ożywiając się coraz, opowiedziała, że z niewoli małym, osierconem dziecięciem wykupił ją Menochim. Zaraza dotknęła Rzym i zabiła jej ojca. Dusza matki jej, która od dawna tęskniła za wolnością, wkrótce też rozwiodła się z ciałem. Wtedy to Menochim mnóstwem zabiegów i starań wykupił ją z niewoli Greka. I nietylko ją jedną. Menochim poświęcił cały majątek swój na wykupowanie z niewoli Edomskiej dzieci judejskich. Był on kiedyś bogatym. Ojca jego potężny wódz rzymski, Pompejusz, który z wojskami swemi pierwszy naszedł Judeę, jako

wojennego jeńca do Rzymu przywiódł. Tu został on w służbie bogatego pana, który, wyzwala-
jąc go, zapisał mu w testamencie mienie znaczne. Menochim mienie to odziedziczył (dom na ulicy
Subury i wiele tysięcy sestercyi), ale nie użył go
ani na prowadzenie korzystnego handlu, ani na
uczty i piękne suknie, ani na gody weselne. Nie
pojął nigdy żony i własnych dzieci nie miał. W Rzy-
mie, w Efezie, Antyochii i Koryncie wyszukiwał
drobne dziatki judejskie, których rodzice odumarli
w niewoli, i z panami ich długie o nie zaprowadzał
targi. Wielu w ten sposób dziewczętom i chłopcom
wolność przywrócił. Teraz wszyscy już oni są do-
rosłymi. Jedni w odległych stronach prowadzą
handel, inni w Judei osiedlili się na roli; dwoje
tylko przy Menochimie pozostało, bo umiłował on
je najwięcej... ona i Jonatan...

Wymówiwszy imię to, umilkła nagle. Wiedziała
dobrze, dlaczego przed obcymi wymawiać go nie
można, i przełękiona tem, co uczyniła, zaczęła
prędko, prędko, znowu o przybranym ojcu swoim
mówić. Dawniej zdrowym on był, silnym i często
nawet wesołym. Oczy jego świeciły pogodą i po-
błażliwością, a mowa była łagodną i żartobliwą.
Ale teraz wcale jest już inaczej. Biedny Menochim
wychudł i zgarbił się, policzki jego żółkły
i okryły się zmarszczkami, głos ma czasem jękliwy,
a czasem surowy i takie smutne, ponure spojrze-
nie. Zmienił się bardzo, czarnych myśli pełną stała

się głowa jego i gniew w sercu mu osiadł. Gniewa się teraz często, wyrzeka, złorzeczy...

I jej oczy także zaszyły łzami. Zgromadzone w perystylu kółko ludzi z uwagą słuchało dziejów Menochima, opowiadanych przez przybrane dziecko jego. Ogarniające głowę Żydówki spojrzenie Fanii mniej wyniosłem a bardziej życzliwem się stało; z ponsowych ust Artemidora zniknął wesoly uśmiech, Arya nawet podnosiła zżółkłe powieki i pod czarnemi brwiami surowe jej źrenice zapalały się błyskiem współczucia; Muzoniusz zaś zapytywał:

— Czy nie odgaduję przyczyny, która ugięła zdrowie ciała i goryczą zaprawiła duszę Judejczyka tego? Wszakże, dziewczeczko, zmienił się on w ten sposób po tej straszliwej wojnie, w której zburzono stolicę i świątynię waszą?

— Tak, panie! — z cicha odpowiedziała Mir-tala i, twarz ukrywszy w dłonie, rzewnie płakać zaczęła. Płacząc, po kilka razy podnosiła się z podnóżka, który jej za siedzenie służył, jakby poskoczyć, odejść, uciec stąd pragnęła. Nie odchodziła jednak, nie uciekała. W piersi jej pół-dziecięcej toczyła się walka. Opowiadając o Menochimie, przypomniawszy sobie wszystko, wszystko, i to także, że tu być nie powinna. A jednak przykuwała ją do domu tego pałaca ciekawość pojętego umysłu, przykuwał czarem niezmożonym głos Artemidora, który, do Muzoniusza zwrócony, zapytywał:

— Mistrzu! jakże się to dzieć może, że zawsze

i wiecznie radość i tryumf jednych boleścią jest i uniżeniem innych? Drobnem jeszcze dziecięciem będąc, słyszałem Senekę, gdy mówił: „Człowiek dla człowieka winien być rzeczą świętą“. Nie są-ż ludźmi Judejczycy ci, którym wodzowie nasi spustoszyli i odebrali ojczyznę? Nie jest-że człowiekiem Menochim ten, którego dusza napelniła się goryczą od naszej radości?

Blade wargi Aryi otworzyły się i głos głęboki, wychodzący z piersi, o którą straszne uderzały ciosy, wymówił:

— Od dawna, od dawna ten sam gniew i ta sama gorycz są w sercach naszych!...

W siwych źrenicach Muzoniusza zapalił się blask niemal młodzieńczy.

— Tak, najdostojniejsza, i ta sama walka, którą toczą szlachetni i dumni...

— Padając wśród niej na połowie swej drogi, jak kłosa podcięte i zrąbane dęby — dokończyła Fania.

O kim mówili, kogo pobladła nagle żona pretora porównywała do przedwcześnie podciętych kłosów i zrąbanych dębów? — Mirtala nie wiedziała, lecz zrozumiała dobrze, że ciężkie smutki i krwawe straty zaprawiały przeszłość, kto wie, może i terażniejszość tego domu, w którym pomimo bogactw, spokoju i częstej wesołości, czuć było czasem zawieszoną w powietrzu lżę nieprze-

plakanego żalu albo westchnienie niezaspokojonych, wysokich pragnień.

Bez cienia obawy przestępowała teraz próg domu pretora. Znała już rzymskiego dostojnika tego i wiedziała dobrze, jak on wygląda. Zadrżała i zbladła, gdy po raz pierwszy wbiegający do perystylu młody służący oznajmił obecnym przybycie pana domu. Jednocześnie przez otwarte na oścież kolumnady, nad któremi, dla wypuszczenia we wnętrze domu letniego ciepła i woni kwitnących w perystylu roślin, podniesiono barwiste opony, ujrzała młodego jeszcze człowieka, o silnej postaci i kruczych włosach, szybkim krokiem przebywającego dwie obszerne sale. Z dała już spostrzegła, że ruchy jego były żywe, rysy piękne i że nad spuszczonemi w zamyśleniu powiekami czarne brwi zsuwały się surowo i groźnie. Zaledwie jednak przestąpił próg perystylu i, podniósłszy powieki, rzucił spojrzenie na zgromadzone tam osoby, uśmiech przyjazny roztopił twardość jego rysów, głos donośny, w którym czuć było przyzwyczajenie do głoszenia rozkazów i wyroków wśród rozległych przestrzeni bazylik i rynków, wymówił pozdrowienie serdeczne, i — o dziwo! — ręka z pod fałd płaszcza wyjęła zabawkę dziecinną. Była to piłka misternej roboty, złożona z giętkich, złotych obręczy. Mały Helwidysz poskoczył ku ojcu, który na chwilę podniósł go wysoko w silnych ramionach, a potem, śmiejąc się, złotą piłkę rzucił z taką siłą, że w elastycznych

podskokach i z metalicznym brzęczeniem przebywszy perystyl, zniknęła w gęstej zieleni ścielącego się u stóp kolumn trawnika.

Dziecię, krzycząc z radości, pogoniło za piłką, a Helwidyusz Priscus, płaszcz z ramion spuściwszy, zasiadł w domowym gronie przy stole, pełnym owoców i wina. Nie miał na sobie wspaniałej sukni pretora, bo przybywał nie wprost z Bazyliki, gdzie sprawował najwyższy urząd sądowy, lecz z łazien, do których przed powrotem do domu zwykł był wstępować. Stamtąd to zapewne wychodząc, zanim umieścił się w lektyce, przez kilku barczystych Kapadoków niesionej i otoczonej tłumem przyjaciół i klientów, wysoki dostojnik ten i surowy sędzia w jednym ze sklepów, otaczających łaźnie, kupił i z tajemnym uśmiechem pod fałdą płaszcza ukrył zabawkę, którą powitać miał jedynaka swego. Teraz, w tunice białej, ozdobionej szkarłatnymi szlakami i uwydatniającej w pełni harmonijne kształty jego ciała, przykładał do ust czarę z chłodzącym napojem i zupełnie już wypogodzonym wzrokiem wodził po twarzach tych, których kochał. Wkrótce jednak zasępił się znowu i brwi ściągnął groźnie, gdy, na pytanie Muzoniusza odpowiadając, mówić zaczął o słynnym procesie Herasa. Cóż uczynił mąż ten, stoik, od dawna trzymający się zdala od blasku stolicy i dworu, a którego głowa przed niewielu tygodniami spadła pod ostrzem topora na placu publicznym, będącym miejscem tra-

cenia złoczyńców? Heras złoczyńca! Nie, był to najcnotliwszy z ludzi i tylko filozofia stoików, którą wyznawał, powściągnąć nie mogła porywczosci jego a oddalenie od świata zmieniło ją w prawdomówność nieznaną granic. Uniósł się. Publicznie, w cyrku, patrząc na Berenikę, jak, okryta drogimi klejnoty, spuszczała głowę na ramię Tytusa, zawołał do syna Cezara, że lud rzymski szanuje jeszcze cnoty rodzinne i że widok miłostek jego duszę mu zaraża.

Słowom jego odpowiedziały w wielu miejscach cyrku huczne oklaski, ale niebawem głowa Herasa rozłączyła się z jego ciałem, a mienie jego Wespazyan oddał pod zarząd *Procuratora a rationibus*, czyli ministra skarbu.

— Sam doradziłem dzieciom Herasa — mówił Helwidysz — aby wytoczyły proces o pójcowską spuściznę, a zanim strony przed senatem staną, pretor rozstrzyga. Wczoraj mówili ze mną posłowie Wespazyana, którego łakomstwo lęka się zdobyć tę utracić... Dziś w Bazylice Marek Regulus, ten zausznik i rzecznik Nerona, przez trzy obroty wodnego zegara jadowitą ślinę spluwał na pamięć Herasa, a Pliniusz Secundus, młodzieniec godny wielkiego stryja swego, stawał w obronie jego dzieci...

Umilkł na chwilę Helwidysz i otarł kroplę potu, która spływała mu po śniadem czole.

— Mów dalej — szepnęła Fania.

— Mów prędzej — zawołał Muzoniusz.

— Dzieciom Herasa słuszną przyszedł — dokończył pretor.

Fania zbladła, niemniej przecież głowę podniosła.

— Dobrześ uczynił! — zawołała. — Ale — dodała ciszej — jedna to więcej kropla, dolana do czary uraz Wespazjana.

Ściśnięte wargi Aryi drgnęły i wyszeptaly:

— Zawsze to samo! zawsze to samo!

Innym razem, wnet po przybyciu pretora do perystylu wbiegła kobieta, niezbyt młoda już, wystrojona, z przyprawionymi rudymi włosy, z twarzą wysmarowaną maściami, z suknią ozdobioną różami sztucznymi, lecz które wybornie naśladowały prawdziwe, nie tylko barwą, ale i wonią. Była to Kaja Marcya, krewna Fanii, jedna z tych kobiet, jakich mnóstwo znajdowało się w Rzymie, a które, po przejściu burzliwej i miłostkami zajętej młodości, starość swą cieszyły odmładzającymi strojami, upojeniami uczt i widowisk, najbardziej przecież zgromadzaniem i rozsiewaniem przeróżnych wiadomości o wszystkich i wszystkim. Od wczesnego poranku do późnego zmroku przebywając na ulicach i placach publicznych, w portykach i ogrodach, w świątyniach i łaźniach, w przedsionkach i salach jadalnych, od prostego rzemieślnika i niewolnika, pełniącego służbę we wnętrzu możnego domu, do najwyższych dostojników i najwybred-

dniejszych wykwintnisiów, wszystkich znając i ze wszystkimi rozmawiając chętnie, wiedziały one o wszystkim wprzód, niż ktokolwiek inny, a to, co wiedziały, roznosiły po ogromnem mieście z większym pośpiechem, niż gońcy cesarscy, cwałujący na bystrych koniach po przerywających państwo drogach publicznych. Woniejąca różami, na skrzydłach jakby niesiona, do piersi tuląc malutkiego pieska, którego kosmaty pyszczek wyglądał z pośród róż i pstrych materyi ubrania, Kaja Marcya wbiegła do perystylu, wołając:

— Pozdrawiam was, dostojni! Witaj, pretorze! Przechodząc, ujrzałam cię wysiadającego z lektyki! Wróciłeś więc już z Bazyliki, w której pewno nie dowiedziałeś się jeszcze o najważniejszej nowinie dzisiejszej! Dzisiejszej nocy Domicya Longina zniknęła z domu męża swego, Eliusza Lamii! Uprowadził ją i w swoim pałacu zatrzymał Domicyan, młodszy syn Cezara, którego niech bogowie nieśmiertelnym uczynić raczą! Cóż ty na to, pretorze? Biedny Lamia! Nie żałuję jednak ślepeca tego. Ostrzegalam go sama, a on mi odpowiedział tylko ze śmiechem: „W każdej kobiecie młodej i pięknej widzisz, Marcyo, samą siebie; ale wiedz o tem, że Domicya moja wcale do ciebie podobna nie jest!“ Jego Domicya! — Otóż nie do niego już, ale do młodego Cezara należy ona! Co on teraz uczyni, ten zakochaany ślepiec? Z Domicyanem walczyć nie radziłabym mu, bo przed kapryсами łysiejącego

młodzieńca tego stary Wespazyan nawet i piękny Tytus ustępować muszą; napiera się teraz podobno, aby wysłano go na wojnę z Allanami. Bo będziemy mieli wojnę. Niedarmo przecież w Sycylii spadł deszcz czerwony, a w Wejach urodziło się prosię ze szponami jastrzębimi! Nieszczęścia wiszą nad Rzymem. A ty, pretorze, miej się na baczności! Słyszałam, żeś srodze obraził bóstwa wyrokiem swym, wydanym w sprawie dzieci Herasa. Dwa dni temu, przy stole Wespazyana, ktoś nagle zapytał: dlaczego piękna Fania nie ukazuje się nigdy na dworskich zebraniach? Przepowiadają edykt cesarski, który filozofów skaże na wygnanie z Rzymu. Cestysz rozwódzi się z żoną swoją, Flawią, którą podobno Judejczycy nauczyli czcić osłą czy koźlą głowę. Czy słyszeliście o drogocennym pierścieniu, który Tytus dla Bereniki ze Wschodu sprowadził? Żadna Rzymianka nie miała nigdy tak kosztownych klejnotów, jak te, którymi Tytus przyozdabia judejską kochankę swoją.

Mówiąc to wszystko, wielkimi haustami wypróżniała czary wina i, serdecznemi słowy osypawszy rodzinę pretora, wiecznie jednak ruchliwa i wesoła, dom Helwidjusza opuściła. Nie widziała wcale, że pozostawia za sobą twarze, pobladłe od smutku i gniewu.

— Na mściwego Jowisza! Nie Lamie to tylko obraził Domicyan, gwałcąc domowe ognisko jednego z obywateli rzymskich! Czy nikt już w swych

ścianach domowych bezpiecznym być nie może od kaprysów i napaści syna cesarowego? Teraz to dopiero cenzorowie, ci starodawni stróże cnoty rzymskiej nie próżnowaliby na swym urzędzie, gdyby... gdyby urząd ten istniał jeszcze! Lecz cóż naprawdę trwa jeszcze w Rzymie z tego, co niegdyś istniało? Gdzie jest powaga i władza konsulów, będących już teraz marnym cieniem czegoś, co było? Gdzie samodzielność i duma senatu, który niekiedy już tylko odważa się być słabem echem swej przeszłości? Gdzie trybunowie gminni, których rozum i wymowa, broniąc praw ludu, dźwigały go nad podłóż służalstwa i nad zwierzęce zasklepienie się w interesach brzucha, którego żywić już nie chcą rozpróźniane ręce? Wszystkie te rękojmie i dostojęstwa Rzymu skupiły się w jednej dłoni, spoczęły na jednej głowie...

— Nieszczęsny, znieważony Lamia!

— Domicya Longina wiernie dotąd kochała małżonka swego.

— Tak! — z szyderstwem zawołał Helwidyusz — lecz jakąż cnota oprzeć się może ponętom, zięjącym ze wzgórza Palatyńskiego?

— Którego fundamentem jest gawiedź, psuta szaleństwem igrzysk, a murem obronnym miecze i dzidy żołdactwa — wyrzekł Muzoniusz.

Mówiono potem o podstępny procesie, wytoczonym przez przyjaciela Domicyana, Metiusa Hara, w celu wydarcia połowy mienia Polii Argentaryi,

wdowie po poecie Lucyanie, przez Nerona na śmierć skazanym. Domicyan poprzysiągł, że przyjaciel jego tryumf i bogate łupy odniesie ze sprawy tej, która niebawem wytoczoną będzie przed trybunałem pretora.

— Znowu Helwidyusz.. — zawołała Fania.

Stara Arya, nieruchoma w swem poręczowem krześle, wyprostowana i surowa w żałobnych sukniach i zasłonach, poruszała zwolna zwiędłemi wargami i, coraz nową paciorkę nanizując na długi sznur wspomnień, szeptała:

— Zawsze to samo! zawsze to samo!

Do rozmów tych, głucho wrzących powściąganymi gniewy, mieszały się przylatujące z ogrodu wybuchy śmiechu dziecięcego. Mały Helwidyusz bawił się piłką, która, w powietrzu z brzękiem zwijając obwód, w postaci złotego półksiężyca na trawę spadała.

Mirtala nie kryła się już za krzesłem Fanii, ale, u stóp perystylu, na trawie przysiadłszy, błyszczącymi oczyma ściagała wesołą grę dziecka.

— Pójdź! — zawołał raz na nią mały Helwidyusz, — pokażę ci, jak trzeba toczyć *trochus* po ścieżkach ogrodu i rzucać onyksowe kule po planach pochyłych!

Brała odtąd udział w zabawach, którym przez dni tyle, w portyku awentyńskim, przypatrywała się z dala z zachwyceniem. Na wysługi z gibkim, swawolnym chłopcem biegła za mosiężnem kołem,

z przeraźliwym brzęczeniem dzwonków toczącym się po żwirem wysypanych ścieżkach, lub pośród trawnika, wyciągała dłonie po spuszczaający się ku ziemi złoty półksiężyc. Wonne powietrze ogrodu, tak niepodobne do tego, jakim na Transtiberim oddychała, rozszerzało szczupłą jej pierś i białosc twarzy zapalało płomieniem rumieńca. Usta jej śmiały się, oczy błyszczały szczęściem; wydawała się dzieckiem, potrzebującym szerokiego oddechu swobody i radości, ptakiem, wypuszczonym z klatki i którego skrzydła drżały do lotu. Helwidyusz i Fania, stojąc wśród żółtych kolumn perystylu, które w łunie słonecznej i na tle zieleni paliły się, jak ogniste słupy, z uśmiechem patrzali na głośną zabawę jedynaka z tą obcą, lecz wdzięczną dziewczynką. Oczyma malarza patrzył na nią Artemidor, i wkrótce potem, trzymając w dłoni swej rękę Mirtali, oprowadzał ją po domu pretora, ukazując i tłómacząc znajdujące się w nim dzieła sztuki. W *triclinium*, czyli w sali jadalnej, stawali przed okrywającym ścianę wielkim obrazem, kędy na tle świeżego jak wiosna krajobrazu, nad brzegiem wody, z rozwianym włosiem, igrała z towarzyszkami swemi wdzięczna i poetyczna Nauzika. Artemidor słowami Homera powtarzał dzieje królewskiej tej córki, a Mirtala z rozżarzoną wrokiem słuchała dźwięków eposu greckiego, melancholijnie i słodko brzmiającej w ponsowych ustach malarza.

— Tyś do niej podobna — mówił. — Czy wiesz,

kto obraz ten malował? Kobieta — Jaja z Kryzyosu, sławna malarka, którą w czasach Augusta czcił jak bóstwo cały świat grecki i rzymski. Ty również mogłabyś kiedyś tworzyć arcydzieła. — Rysy haftarki okrywały się wyrazem dojmującego żalu.

— Nigdy! — odrzekła — religja ojców moich wzbrania pędzlem, czy dłótem, naśladować postacie ludzkie!

— Jakto! więc w domach swoich nie macie posągów?

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Ani obrazów?

— Nie!

— I wzbrania wam tego religja wasza? Cóż za barbarzyństwo! Jaki bezmyślny i gruby zabobon!

Śmiał się. Grek z pochodzenia, urodzony i wychowany w Rzymie, którego ulice i place zdobiło trzydzieści tysięcy dzieł sztuki rzeźbiarskiej, wykonanych z marmuru, bronzu, złota i kości słoniowej, którego świątynie, teatru, domy, roiły się fantastyczną ludnością tą, przez pracę wielu stuleci i geniusz dwóch ludów z kamienia i metalu wywołaną, dziecię cywilizacji wykwiśniętej i sięgającej już najwyższych swych szczytów, wychowaniec filozofii, wyzwalającej rozum ludzki, artysta mistrzowsko malujący kwiaty, ptaki, dzieci, młodzieńcze twarze i wszystko, co na ziemi wiosną było, świeżością, rozkwitem i śmiechem — długo i wzgardliwie śmiał się z ponurego ludu, który za wystę-

pek poczytywał to, co dla niego było skrzydłem myśli, iskrą serca, najpyszniejszą ozdobą i rozkoszą życia. Nagle przestał śmiać się:

— Czegoś ty taka smutna, Mirtalo?

Teraz dopiero spostrzegł zmianę, która w niej zaszła od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w portyku. Rumieńce zdrowia i blaski wezbranego życia, oblewające ją w ogrodzie, pogasły i znikły. Teraz stali pośrodku obszernej sali, do której światło dzienne wlewało się tylko przez czworokątny otwór dachu, na kilku kolumnach wsparty i kawałkiem błękitnego nieba świecący prostopadle, nad okutą w marmur szybą kryształowej wody. W wodzie pływały złote i ponsowe rybki, dokoła niej rosły w rzeźbionych wazonach szerokolistne rośliny, a kilka brązowych amorków, wychylając się z zieleni, zdawało się igrać złotymi piłkami. W głęboki cień kolumny kryło się dziewczę w spłowiałej sukni, przewiązanej barwistym, haftowanym pasem, ze znieruchomiałą drobną kibicią i opuszczonemi bezwładnie, szczupłemi ramionami. Przychudłe już i wprzódki policzki jej stały się jeszcze chudszyimi, twarz okrywał wyraz cierpiącego marzenia, a w zapadłych nieco, szeroko rozwartych oczach mieszkając się zdawał cały smutek ludu, który, jak występku, wyrzekał się najpiękniejszych uroków życia, i na brudnym, cuchnącem przedmieściu, wiódł ponury, zlorzczający żywot zwyciężonych.

Z domu pretora, który rajem ziemskim był dla

niej, Mirtala wracała na rodzinne przedmieście powoli, z piersią pełną tłumionych westchnień, z głową ciężką od dziwnych myśli i marzeń.

— Czegoś ty taka smutna, Mirtalo?

Pytanie to szło za nią i wraz z niem szły ponosowe usta, które je wymówiły, i czarne oczy, które w twarzy jej utonęły z przyjaznym współczuciem. Za nią, przed nią, w powietrzu, po niebie i ziemi, szła gibka postać męska, w białej tunice, z obnażonym ramieniem, trzymającym pęzel, niby berło. O, królu!.. Pęzel, podnosząc się ku lśniącaemu szlakowi marmuru cudem niby, wywoływał nań nieukończoną grę życia, wiosny, młodości, radości. Róże, lilie splatały się tam i pachniały, ptaki szczebiotały z za greckich zygzaków, wyglądały dzieci skrzydlate o ciałach rumianych... O, słońce!

Królem w krainie piękna, słońcem w mroku jej młodości, wydawał się jej obcy młodzieniec ten, którego imię... U końca mostu stanęła i, oczy wznosząc ku niebu, na którego ciemnym tle błyszczała wielka gwiazda, wymówiła:

— Artemidor!

Był on tak daleko od niej i tak nad nią wysoko, jak gwiazda.

Wtem wzdrygnęła się i przyspieszyła kroku. Z marzeń wyrwała ją głośnie i grubiańska wrzawa. Przebywała jeden z brudnych rynków *Transtiberim*, przy którym największa z oberż przedmieścia, *Taberna meritoria*, wrzała zmieszanyimi krzykami męż-

czyzn i kobiet, łączącymi się z huczącym odgłosem *sumbuki*, syryjskiego muzycznego instrumentu, z piśkliwymi tonami fletów i przyciszonym dzwonieniem *sisto*, metalowych kastaniet, wstrząsanych podniesionymi rękoma tancerek syryjskich. *Taberna memoria* była jednym z najulubieńszych miejsc zabaw gawiedzi, złożonej z ulicznych próżniaków, opitych lektykarzy i tragarzy niewolników, wymykających się o zmroku z domu swych panów. Tu najliczniej schodzili się kuglarze, pokazujący za drobną zapłatę sztuki akrobatyczne, psy uczone, kury wróżące, walczące przepiórki i koguty; tu, przy dźwiękach *sumbuki* i fletu, tańczyły kobiety o żółtych twarzach, w srebrnych pierścieniach na palcach nóg bosych; tu, nad ogniem fajerek, smażył się nieustannie najpożądańszy przysmak gawiedzi rzymskiej: kielbasy z mięsa wieprzowego; tanie wina lały się z amfor w kubki z czerwonej gliny; tu nakoniec zjawiał się niekiedy i tłumy ku sobie pociągał cud zadziwiający i ponętny: obficie z odłamu skały ciekący strumień oliwy. Ktokolwiek chciał, mógł czerpać ze strumienia tego. Tłumy cisnęły się do oberży z amforami, dzbanami, kubkami w rękach, a były zawsze tak liczne i liczbą swą śmiałe, że *edylowie*, strzegący publicznego porządku i przebiegające miasto oddziały straży nocnych, odwracając oczy, z daleka miejsce to wymijały.

Mirtala, tuląc się do ścian domów, jak chyży

cień, przebiegała rynek. Po raz to pierwszy o tak późnej porze znajdowała się w pobliżu strasznej oberży. Wracła zazwyczaj wcześniej. Dziś spóźniła się. Długo, odpowiadając na pytania, które jej zadawał, rozmawiała z malarzem. Opowiadała mu dzieciństwo swe, spędzone na płaskim dachu małego domku Menochima i na śmietniskach wąskiej uliczki, wraz z przybranym bratem swym, Jońatanem, który był taki dobry dla niej i łagodny, bardzo ją kochał, a potem, nagle, poszedł bronić Jerozolimy i... już nie wrócił. Opowiadała ciche dumania swe u stóp Gaju Egeryi, gdy tam codzienną żywność przynosiła przybranemu ojcu; a potem jeszcze smutek, którym przejmowało ją brudne, brzydkie, duszne przedmieście i trwozę, jaką napełniał ją Syryjczyk Silas, wróg jej ojca i ją samą ścigający często grubiańskimi słowy...

A teraz, wszak słyszy znowu głos Silasa! O! głos ten wybija się z tłumu, biegnie za nią, zbliża się, zmieszany z innym głosem jakimś, kobiecym, który także słyszała kędyś... Ją to wyraźnie ścigają dwa te głosy ochryple, urągliwe, rozchichotane śmiechem, podobnym do zwierzęcego rżenia. Przytem, biegnie też za nią i goni ją spieszny tętent stóp... Wątpić nie mogła, że w zmroku dostrzegł ją bawiący się przed oberżą Silas. Biedza zaczęła tak szybko, że tchu brakło w jej piersi. Rynek pusty był, domy tylko szczelnie pozamykane i tam... ta straszna, pijana, wrzawa oberży...

— Na Molocha i Beliala, bogów przodków moich! nie wymkniesz mi się tym razem, chuda przepiórko! Raz przecie pochwycę cię i dobrze utuczę świńskiem mięsem.

— Niech wprzód, Silasie, ja ją w pazurach swoich uścisknę, tę przeklętą haftarkę, która zamiennie mię ma na służbie u dostojnej Fanii! — krzyczał zdyszany głos kobiecy.

Mirtalę, pomimo śmiertelnego przestrachu, poznała głos Egipcjanki Chromii, ciemnotwarzej garderobiany Fanii, która w domu pretora ciskała na nią często ponure i jadowite spojrzenia. Zazdrościła jej łask swej pani i lękała się zostać zastąpioną przez żydowskie dziewczę z *Transtiberim*.

— Na pomoc, Babasie! — krzyknął Silas do człowieka, który w tej chwili z oberży na rynek wybiegł. — Nogi dłuższe masz od moich; wyciągnij je, Babasie, i pomóż mnie i Chromii złowić tę gadzinę, wypelzłą z jaszczurczego gniazda!

Silna dłoń Babasa na ramię jej opadła, i czarnymi włosy obrosła twarz tragarza zionęła na głowę jej oddechem, cuchnącym cebulą i winem. Z innej strony chwycił już pas jej zwinny Silas, a przed nią, z rozczochranymi włosy i rozognionemi oczyma, istny obraz pijanej jędzy, wysunęła się Chromia, i zakrzywione, srebrnymi pierścieniami błyszczące palce swe do twarzy jej przybliżała.

— Nie drap jej, Chromio — wołał Babas —

zanim przyjrzymy się jej przy świetle, pałacem się w oberży!...

— Przeciwnie! na wszystkich bogów twoich i moich! pociągnij po twarzy jej pazurami swymi tyle razy, ile asów zarobku odbiera mi codziennie ojciec jej, Menochim!...

W tej chwili, nad trojgiem ludzi, porywających już swą ofiarę, zabrzmiał donośny i dźwięczny głos męski:

— Na Persefonę! Cóż to za napaść na niewinne i bezbronne dziewczę? Czy na przedmieściu tem poślepli edylowie? czy nigdy nie przechodzi tędy straż nocna? Precz stąd! łajdacy! opilcy bezwstydni! zakało Rzymu! Pierzchajcie, bo straży zawołam! lecz wprzód z ręki mojej przyjmijcie te podarki, które się wam należą...

Mówiąc to, pchnął w plecy Silasa z taką siłą, że zatoczył się on na pół-pijanych nogach i twarzą ku ziemi upadł; poczem zamierzył się na wysokiego i silnego Babasa, ale ten, za ledwie na niespodziewanego przybysza spojrzenie rzucił, wnet odskoczył i w szalonych podskokach długich nóg swych, ku oberży uciekać począł. Po długim, fałdzistym płaszczu, osłaniającym wysmukłą postać, i po rysach twarzy rozgniewanej i dumnej, Babas w przybyszu poznał niewidywane tu nigdy zjawisko: Rzymianina z tamtej strony Tybru. Był to więc może urzędnik dostojny, albo pan bogaty, z którym kłótnia niebezpieczną była. Poznała też

w nim Rzymianina z tamtej strony Tybru Chromia, i z głośnym krzykiem przestachu do stóp mu upadła.

— Artemidorze! nie gub mię nieszczęsnej! Dostojny! zlituj się! Tajemnie wymknęłam się z domu pani mojej, Fanii, aby z przyjaciółmi swymi, Silasem i Babasem, wesołą przepędzić godzinę! Przekłęta dziewczka ta usiłuje miejsce moje zająć... podziemne duchy natchnęły mnie zemstą... Najdostojniejszy! nie gub mię!...

Ze wstrętem, od nogi swej, do której przywiązała się ramionami, odepchnął Egipcyankę, której pół-nagie ciało, do wijącego się węża w chwili tej było podobnem, i łagodnie ujawszy rękę Mirtali, pociągnął raczej, niż powiódł ją dalej, w chaotyczne i mroczne uliczki przedmieścia.

— Wskazuj mi drogę do domu ojca twego! Bogowie! jakież ponure miejsce! Niech umrę, jeśli odgadnę, jakim sposobem ludzie mieszkać mogą w takich drewnianych budach! A toż co znowu? kupa śmiecia, podobno kałuża pośrodku ulicy! Czy doprawdy znajduję się w Rzymie?

— Jakim sposobem znalazłeś się tu, panie?

— Gdyś wyszła z domu Fanii, poszedłem za tobą.

— Za mną?

Ciche pytanie to podobnem było do łkania. On, przeciwnie, wesołym był, jak zawsze. Bawiła go

snadź niezwykła przygoda, wesoło zadziwiała własna w tem miejscu obecność.

— Odkąd wszedłem na to przedmieście, wiem już dobrze, dlaczego bywasz smutną. Żałuję cię. Uczyniń wedle domniemania przebrzydłej Chromii. Pozostań przy Fanii, która chętnie w domu swym miejsca ci udzieli. Piękność i wesołość, wezmą cię tam w twórcze swe ramiona, a ja przychodząc i uczyć cię będę sztuki malarskiej. Uczynię z ciebie drugą Jaję z Kryzykosu...

Mirtala wysunęła rękę z jego dłoni i stanęła, jak wryta. W cieniu widać było, jak dłonie jej błagalnie splotły się u piersi.

— Odejdź stąd, panie! — szepnęła.

Artemidor obejrzał się.

— Czy dlatego odejść mam i samą jedną pozostawić cię w tej ponurej dziurze, że znowu słyszę goniące cię kroki czyjeś? — żartobliwym tonem zapytał.

Istotnie, od kilku minut ktoś szedł za nimi. Był to mężczyzna wysoki i szczupły, którego twarz kryła się w cieniu szerokich brzegów kapelusza. Nie ścigał ich, lecz równym, chociaż znużonym krokiem, w pewnem oddaleniu wciąż postępował.

— Jeżeli nie mylę się — rzekł Artemidor — jest to rzezimieszek, z którym, wracając, spotkać mi się przyjdzie. Mniejsza o to! spotka pięść moją, a jeśli to nie wystarczy, ostrze mego sztyletu...

Krótki sztylet z bogatą rękojeścią błysnął mu w dłoni. Zaśmiał się.

— Ile razy wychodzę sam, albo w towarzystwie jednego tylko Heliasa mego, biorę to z sobą, aby módm, w razie niemilego spotkania, własną ręką dopomódm do opiekowania się mną przyjaznej mi dotąd fortunie. Dziś, nietylko przyjaciół swoich, ale i mego milego Heliasa odprawilem. Chciałem pomówić z tobą sam-na-sam. Dlatego za tobą szedłem.

Po chwili znowu mówić zaczął:

— Cóż, Mirtalo? Uczynisz, jak ci doradzam? Pozostaniesz w domu Fanii? Pomyśl. Sztuka jest państwem czarownem, rozległem, pełnem rozkoszy. Królową w państwie tem być możesz. Wolną być możesz od trapiących naród twój zabobonów bezmyślnych, od ponurych widoków *Transtiberim*, od prześladowań Silasa i jemu podobnych... Kto inny powiedziałby, że uczyni cię swą kochanką. Ja nie. Uwodzenie niewinności nie jest rzemiosłem mojem. Nie jestem ja skromnisiem, ale małoż jest w Rzymie bezwstydnic, które mi już zbrzydły? Kiedy na ciebie patrzę, lepiej, niż dawniej, rozumiem słowa mistrza mego, Muzoniusza: „Uczciwością męża jest nie dotykać zepsuciem nikogo i nie obrażać skromności niczyjej“. Zajmujesz mię więcej, niżem zrazu mógłł mniemać, ty, cudzoziemska Arachne... Oczy masz piękne i wymowne, a usta twoje podobne są do koralu, zwilżonego rosą. Ale nad oczy i usta

twe piękniejszą jest stokroć ta iskra twórczości, którą nieznanne siły w pierś twą położyły. Ja iskretę w płomień zamienię. Uczynię z ciebie malarkę na cały świat głośną, a wtedy otoczą cię rozkosze sławy, bogactw i miłości!...

Tym razem mówił z powagą i zapalem. Ona stanęła znowu i, splecione ręce ku niemu podnosząc, słumionym głosem mówiła:

— Odejdź stąd! Oto są drzwi domu Menochima. Wszak zobaczę cię jutro w portyku...

Załkała cicho.

— Wszakże cię jutro zobaczę w portyku! Odejdź stąd! Oto są drzwi domu Menochima. Wszakże cię jutro zobaczę, panie!

— Zostań w pokoju i myśl o radzie, którą ci daję. Przyjdź jutro do portyku. Pokażę ci, jakim sposobem maluję ptaki te, które dziś tak podziwiałaś... Przyjdź do portyku...

— Zobaczę cię jutro, panie!

Odszedł i wkrótce skrzyżował się z nocnym wędrowcem, na którego plecach teraz dopiero spostrzegł podróżną torbę, a w rękę kij wędrowny. Nie był to więc rzezimieszek, ale podróżny jakiś, wśród umilkłych uliczek przedmieścia szukający na noc przytułku. Spokojnie minął Rzymianina i widać było tylko, że usiłował w zmroku rozpoznać rysy jego. Potem przyspieszył kroku i Mirtalę, która otworzyć już miała drzwi domu ojcowskiego, za

rękę pochwycił. Zarazem cicho, prędko, syro-chaldejskim językiem przemówił:

— Któżes ty, dziewczyno izraelska, tocząca nocne rozmowy z cudzym młodzieńcem, w języku Rzymian?

Pochylał się ku niej coraz niżej, i nagle, prostując się, stłumionym głosem zawołał:

— Mirtala! Mirtala!

Ona rzuciła się ku domowi i, niktając w jego wnętrzu, pozostawiła drzwi na oścież otwarte. Przez te otwarte drzwi ukazała się izdebka mała, niska, z ciemnymi ścianami, których chropowatej nagości nie przyozdabiało nic, oświetlona mdłym światłem małej lampy, mglista od dymu, czarną nicią wijącego się z napół zwęglonego, po roztopionym tłuszczu pływającego knota. W ciemnej ramie ścian i sufitu izdebki, w mgławem i dymnem świetle, na drewnianym stołku, przed stołem, okrytym wązkami kartami pergaminu, zgarbiony, z trzcinką, służącą do pisania, w rękę, z rozumienionymi policzkami, siedział Menochim. Na odgłos spieszych kroków wbiegającej do izdebki Mirtali, podniósł twarz.

— Tyżeś-to, Mirtalo? dlaczego wracasz tak późno?

Ale dziewczyna zniknęła kędyś w najciemniejszym kącie izby; natomiast, w drzwiach otwartych stał podróżny z torbą na plecach, w kapeluszu z szerokimi brzegami. Gdy tylko z postacią tą spotkał

się wzrok Menochima, całe ciało jego, jak targnięta struna, wyprężyło się i pochyliło naprzód. Sekund kilka pochyłony, z szeroko rozwartą żrenicą, wpatrywał się w przybyłego, aż porwał się ze stolka, zachwiał się, wyciągnął naprzód ramiona i wielkim głosem, w którym czuć było łkania i śmiechy, krzyknął:

— Jonatan!

III.

Jonatan kij sękaty na ziemię rzucił i, na klęczki runąwszy, długo twarz ukrywał w sukni Menochima, który, osunąwszy się na stół, drżącemi rękoma obejmował jego szyję, dotykał ramion i twarzy, głowę swą, okrytą ciężkim turbanem, do czarnowłosej głowy jego przykładał. Ani jedno słowo z ust ich nie wychodziło; milczenie panowało w izbie, w której najciemniejszym kącie niewyraźnie szarzała, do drewnianych krosien haftarskich przytulona, postać niewieścia. Knot w lampie zatrzeszczał, karta pergaminowa z szelestem zsunęła się ze stołu, Menochim zdławionym szeptem wymówił:

— Synu mój! bohaterze! chlubo Izraela i boleści moja!

Jonatan ręce jego od ust swych odjął.

— Chwałę i wysławiam Pana, że pozwolił mi zobaczyć cię jeszcze, ojcze!

— Wstań, wyprostuj się, ukaż mi twarz swoją! Niech ujrzę, żeś jest tym samym, który przed czterema laty odszedł ode mnie, aby z piersi swej dla

ojczyzny uczynić wał obronny! Niech ujrzę, co uczyniła z ciebie wojna straszliwa i tułaczka długa! Wstań, synu!

Jonatan podniósł się z klęczek, ale przez sekund parę chwiał się, jak człowiek śmiertelnie znużony i posługujący się ostatkami sił swoich. Wzrost miał wysoki i znać było, że kiedyś barczystym i silnym być musiał. Teraz jednak tunika rzymska ciemnej barwy, niedbale opadająca mu prawie do stóp, obutych w grube sandały, ukryć nie mogła wynędznienia ciała jego. Kości ramion i bioder sterczały; szyja wychylała się z podartych brzegów tuniki, koścista i okryta ciemną, zgorzałą od skwarów, skórą; twarz o pięknych, podłużnych rysach, ciemna także, spalona, krótkim, czarnym zarostem obrosła, uderzała wklęsłością policzków, uwydatniającą długość przygarbionego nosa i wypukłość warg tak prawie białych, jak pergaminy, pokrywające stół Menochima. Widać było, że postać tę i twarz długo i bezlitośnie rzeźbiły: głód i bezsenność, trudy ciała i rozpaczę ducha, wiatry i upały pustyń. Lecz ani dnie głodowe i noce niespane, ani męczarnie mozołów i bólów, ani ostrza wichrów i płomienie skwarów nie mogły zagasić w tej wynędzniałej piersi ognia, który w niej płonął i wyglądał na zewnątrz przez oczy głęboko zapadłe, czarne, jak noc, i czarnemi, gęstemi brwiami ocienione. Stał i na Menochima patrzył, aż ponurość twarzy jego rozwidniła się uśmiechem i suchy

ogień oczu ochłodził w zapływającej je łzie. Przez uśmiech ten i tę łzę, która nie spłynęła na policzki, lecz tylko oszkliliła źrenicę, przejrzało coś z przeszłości człowieka tego dalekiej, pacholęcej, niewinnej, może wesołej...

Menochim dłońmi twarz zakrył; cienka postać jego, przewiązana grubym pasem, i głowa, ocieniona zwojami turbanu, zakołysała się powoli w strony obie.

— O! biedne, nieszczęsne dziecko! — zawołał. — Pocoś tu przyszedł? pocoś przybliżył się do szponów jastrzębich? Lepiejby ci było z głodu na pustyni umrzeć, albo w jaskini lwa oczekiwać godziny zbawienia, niż tu schwytanym być przez wrogów i zginąć pod ich toporem, albo zgorzeć w płomieniach stosu. Wiedziałem, że żyjesz i z sercem trzęsącym się od trwogi myślałem często: on tu przyjdzie! zechce zobaczyć starego Menochima i młodą oblubienicę swoją i — przyjdzie! Kiedym stróżował u gaju Egeryi, liście drzew szeptały mi: przyjdzie! gdy usypiałem, widziałem anioła z żalobnymi skrzydłami, który, płacząc z litości, szeptał: przyjdzie! Wyciągałem ręce ku niebiosom, żebrząc u Pana: niech nie przychodzi! I oto przyszedłeś, a ja czemże zasłonię cię przed oczyma wrogów, czem cię przed pociskami ich obronię? Ubogi jestem, siły nie mam żadnej i porwą cię stąd ode mnie, jak jastrząb u gołębicę małe jej porywa!...

Jonatan uśmiechał się niedbale.

— Nie trwóż się, ojcze — rzekł — przebyłem drogi długie i ludne, a nikt mnie nie poznał. Ubiór Edomitów przybrałem, językiem ich umiem mówić tak dobrze, jak oni...

— Rysy twarzy twojej zdradzą cię...

— Jak trzoda kóz, spędzonych z pastwiska, tak rozsiani są Izraelici po całym przestworze państwa rzymskiego. I w samym Rzymie mieszka ich mnogość wielka...

— Ciebie szukają... Nie darmo byłeś przyjacielem i nierozłącznym towarzyszem Jana z Giszali; nie darmo w bojach ściągałeś na siebie sławę nieustraszonego wojownika; niedarmo uparty i niepokonany, należałeś do szczupłej garści tych, którzy, zamknąwszy się w świątyni, bronili świętości Izraela, aż dopóki bezbożne usta Tytusa nie rozkazały rzucić na nie główni pożogi! Cezar sam wie o tobie, pamięta cię Tytus, pamiętają pewno rzymscy żołnierze...

Jonatan podniósł głowę.

— A więc — zawołał — niech mię chwytają, więżą i uśmiercą, jak usmiercili tylu braci moich, godniejszych i doskonalszych ode mnie!

Ale widząc, że Menochim od stóp do głowy zdrztał, łagodniej dodał:

— Uspokój się, ojcze; pod dachem twoim przebędę tylko dni kilka. Niech oczy moje napatrzą się na twarz twoją, która była dobroczynnym słońcem mego dzieciństwa; niech uszy moje nasłuchają się

głosu twego, którego nauki uczyniły mię tem, czem jestem. Potem odejdę stąd tak niepostrzeżenie, jak przybyłem i skryję się w pewnym zakątku Gallii, gdzie kilku przyjaciół moich bezpieczny znalazło przytułek i gdzie mnie także odkryć nie zdoła wzrok prześladowców. Bądź spokojny. Starać się będę, by cię nie ugodził ten cios, na myśl o którym drży z bojaźni twoje dobre, ojcowskie, sterane serce!...

Uspokojony nieco Menochim odsłonił twarz i spojrzeniem szukając kogoś w głębi izby, zawołał: Mirtalo!

Na dźwięk imienia tego, twarz młodego Izraelity stała się znowu twardą i posępną, czarne brwi zbiegły się nad oczyma, które badawczem i srogiem wejrzeniem ogarnęły wysuwającą się z mrocznego kąta dziewczynę. Oderwała się od krosien, do których dotąd zdawała się być przykutą i wyszła na światło lampy powolnym, trwożliwym krokiem. Twarz jej oblewał gorący rumieniec; nieśmiały wzrok to chylił się ku ziemi, to rozrzewnionym wyrazem spływał na Menochima, to zwracał się ku Jonatanowi. Chudy ten, od nędzy zczerniały człowiek, z rysami stwardniałymi w walkach, z ponurym płomieniem w zapadłych oczach, budził trwogę w dziewczynie o delikatnym ciele i duszy artystycznej, rozkochanej w pięknościach barw i linii, w radosnej i świetnej promienistości świata rzymskiego. Ze spuszczonej powiekami, milcząc, wysłuchiwała rozkazów Menochima, który mówił jej, aby wnet poszła do domu

Symeona i Sary, oznajmiła o przybyciu Jonatana i prosiła ich o wieczerzę dla drogiego gościa. Potem, posłuszna i cicha, wyszła, bez najmniejszego szelestu, drzwi za sobą zamykając.

— Bracia nasi nie zdradzą nas — po odejściu jej mówił Menochim — wszyscy oni kochają cię i wysławiają imię twoje...

Jonatan z brwią ściągniętą, chmurny i roztrągniony, wpatrywał się w glinianą podłogę.

— Ojcie — zaczął — odkąd odszedłem stąd, Mirtala dorosła.

Menochim, zajęty jedną, najważniejszą dla niego w tej chwili myślą, na słowa jego nie zważał.

— Symeon — ciągnął dalej — powinien koniecznie dziś o przybyciu twojem wiedzieć. Mąż to jest z głową mądrą i sercem gorąco kochającym swych braci. Jako ojciec synagogi, zwoła jutro do domu modlitwy Moade-El, święte zgromadzenie, na którem opowiesz całej kehili (gminie) naszej drogi, jakimi cię Pan prowadził. Opowiadania takie nieraz rozlegają się w ścianach synagogi, rozgrzewają ostygających i pocieszają tych, którzy cierpią naj-srożej — wątpiać!...

— Ojcie!... gdym odchodził, była ona jeszcze małą dziewczynką... teraz rozkwitła, jak róża Jerychońska i Sulamitka pieśni Salomonowej wdzięczniejszą od niej nie była!...

— Małżonka Symeona, Sara, przemyślną jest i mądrą niewiastą. W domu swoim ustawiła

dwanaście krosien haftarskich, przy których pracuje dwanaście robotnic i wielka korzyść spływa stąd na dom Symeona. Bogaci są i w wędrówce, która cię czeka, pomocnymi ci być mogą...

— Szczęśliwi, którzy w pokoju i radości serca więc mogą gniazda rodzinne i wprowadzać do nich oblubienice swoje!

— Ufam też hojnej ręce Goryasza. Wyrabia on wonne maści i płyny, które pomocnicy jego rozprzedają po ulicach Rzymu i, zaprawdę, wierny ten wyznawca słodkiej nauki Hilela uczi przecież tego, który, jeżeli przelewał krew, to tylko w obronie ziemi ojców naszych i pod hasłem Pana Zastępów...

— Ojcze! dlaczego pozwalasz, aby Mirtala sama jedna i w późnej porze dnia wracała z tamtej strony Tybru? Poco wysyłasz ją do Edomskiej jaskini? Dlaczegoś ją nauczył mówić językiem wrogów?

Tym razem Menochim usłyszeć i odpowiedzieć musiał, bo Jonatan silnie pociągnął go za suknię i wlepił w niego oczy palające gniewem.

— Synu mój — odpowiedział łagodnie — alboż ja i ona nie zapracowujemy wspólnie na odzież i pożywienie nasze? A jakimże mógłby być jej zarobek, gdybym ją na *Transtiberim* jak ptaka w klatce trzymał, a usta jej wobec obcych, pośród których żyjemy, niememi uczynił?

— Niechajby lepiej umarła z głodu i niemą, na zawsze została, niżeli...

Wstrzymał się, umilkł, patrzył na zmarszczki, okrywające twarz Menochima, na zmęczone jego powieki, na usta jego zwiedle; umilkł, po chwili dopiero rzekł ciszej:

— Ojczel! nie odejdę stąd bez Mirtali. Zabiorę ją z sobą, do Gallii zawiodę i tam, w bezpiecznym zakątku, uścielę sobie gniazdo ubogie, w którym ukryję ją od cudzych oczu...

Menochim myślał długo, wstrząsał głową i po chwili uroczystym głosem rzekł:

— Przyniesiona ci od dzieciństwa Mirtala jest oblubienicą twoją. Uprowadź ją, zaślub i niech błogosławieństwo Pana będzie z wami i potomstwem waszem. Lękam się tylko...

— Lękasz się, aby obecność jej ucieczki mej nie utrudniła... niech zginie lepiej u boku mego, niżeli...

I znowu wysiłkiem woli powściągnął się i umilkł. Po grubych zmarszczkach, fałdujących policzki Menochima, spływały łzy.

— Sierocą będzie starość moja, jako cedru, od którego siekiera drwala odrąbała wszystkie latorośle jego...

Podniósł jednak głowę, zarumienił się, oczy jego strzeliły błyskawicą.

— Ale — zawołał — Pan w dobroci swojej dał mi pociechę nieprzebraną...

Dłoń jego opadła na pergaminy, stół okrywające.

— Z nimi — domówił ciszej — wytrwam do końca... nimi do chwili ostatniej służyć będę sprawiedliwości... Z nich biją promienie, które oświecą i ogrzeją dni mojej starości!...

— Pergaminy te, ojcze, były zajęciem twojem już przedtem, nim stąd odszedłem. Ale co na nich kreślisz...

— Dowiesz się o tem jutro. Jutro po raz pierwszy przed okiem ludzkim całą duszę swoją ukażę, a oko to będzie twojem..

Kilkaset tylko kroków oddzielało malutki domek Menochima od obszerniejszego, niż wiele innych i okazańiej wyglądającego mieszkania Sary. Wewnątrz mieszkania tego widać też było dostatek, z zamożnością graniczący. W izbie obszernej, choć niskiej także i z ciemnymi ścianami, wesoło paliły się dwie lampy, przy których światło trzy młode dziewczyny, wysmukłe, bladawe, z długimi kosami zarzuconemi na plecy, z przywiązanej do przęśnicy wełny białej, wiły na wrzeczona cienkie nici, a dwaj brodaci mężowie w długich *chitonetach* i ciężkich turbanach, nad rozwartą księgą wsparci, wiedli ze sobą cichą rozmowę. Prządki były córkami Sary; twarze miały pogodne i zamieniały się wesołymi szeptami. Jeden z dojrzałych mężów był Goryaszem, owym bogatym perfumiarzem i łagodnym Hellelistą, o którym wspominał Menochim, drugi — Sy-

meonem, małżonkiem Sary, ojcem synagogi Trans-tiberańskiej, srogim i twardym zwolennikiem nauk Schamaja, mistrza zaciętej walki Izraela z obcymi narody. Dookoła ciemnych ścian stały drewniane ławy, stolki, skrzynie, tu i owdzie przyozdobione dość kosztownymi okryciami; stół, przy którym siedzieli dwaj mężowie, zasłany był cennym kobiercem wschodnim, w kącie izby połyskiwał srebrny, siedmioramienny świecznik, otoczony misami, dzbanami i czarami z drogiego metalu. Wszystko tu było surowe, poważne, monotonne, niemniej przecież dostatnie i prawie bogate. W izbie panowała cisza, bo dziewczęta szeptały, a dwaj mężowie rozmawiali cicho, częste w rozmowie swej czyniąc przerwy. W jednym tylko z jej kątów, w pobliżu srebrnego świecznika, rozlegał się od chwili do chwili donośniejszy nieco wybuch młodzieńczego głosu, lecz milkł natychmiast, skoro tylko Symeon, jakby dla poskromienia wesołości, która go razila, zwracał w tę stronę twarz swą surową i chmurną. A jednak własny to syn jego, zaledwie dorastający młodzieniec, jedyny pozostały mu po zabiciu przez Rzymian starszego w murach Jerozolimy, rozmawiał tam z przyjacielem swoim, młodziutkim także synem Goryasza. W drugiej dopiero izbie, obszerniejszej jeszcze niż poprzedzająca, oświetlonej we dnie małemi, lecz licznemi okienkami, a teraz kilku jasno palącemi się lampami, panował ruch i gwar. W jak najlepszem możliwie oświetleniu stało tam

dwanaście krosien haftarskich, od których właśnie w tej chwili powstawały robotnice Sary. Były to kobiety różnego wieku, młodziutki i stare już prawie, ale wszystkie ubogo odziane, ze stroskanemi, chudemi twarzami, córki lub matki ubogich i ciężko pracujących rodzin. Pomiedzy niemi, żwawa pomimo znacznej swej tuszy, z rumianymi policzkami i bystrym, roztropnym wzrokiem małych oczu, mówiąc wciąż i giestykulując, od krosien do krosien przechodząc, uwijała się Sara. Jednym z robotnic udzielała pochwał, innym przygan i napomnień. Tu dobrodusznie uderzając po ramieniu mizerną i bladą dziewczeczkę, zapytywała o zdrowie jej dziada, biednego kochanego starca, który po mieście roznosił perfumy Goryasza. Tam, całując głośno pomarszczone czoło siwej już kobiety, wołała z żartobliwym zachwytem:

— Ach! jakie to oczy! jakie to jeszcze u ciebie oczy, Miriam! Jak ty ten ładny kwiat dziś wyhaftowałaś. — Gdzieindziej przyrzekła wdowie jakiejś, że przez rok cały żywić będzie dwoje jej dzieci; a tam znowu ładnej dziewczecce o błyszczącym naszyjniku groziła, że odprawioną zostanie, jeżeli, tak jak dotąd, więcej będzie myśleć o przyozdabianiu się naszyjnikami i naramiennikami, niż o ćwiczeniu się w sztuce haftarskiej. Przytem, z nadzwyczajną zręcznością licząc asy i sesterceye, dzienną płacę rozdawała robotnicom, które, odchodząc, całowały poufale twarz jej i, przechodząc w milczeniu przez

izbę poprzedzającą, stopniowo znikają za drzwiami, na ulicę prowadzącymi.

Od lat kilkunastu już Sara kierowała haftarskim zakładem swym, w podobnie czynny i roztropny sposób, a dostatek, napelniający mieszkanie jej rodziny, z tej przeważnie pracowitości i zapobiegliwości pochodził. Symeon, biegły niegdyś w sztuce szlifowania drogich kamieni, od dawna już zarobkową pracę zaniedbał, oddając się czytaniu i rozważaniu ksiąg potrójnie świętych, bo zawierających w sobie dzieje narodowe, ustawodawstwo i wykład religijnej wiary Izraela. Ciało tylko jego w ścianach tych przebywało, dusza ulatywała wciąż daleko, na Wschód, do miasta Jabue, dokąd, po ostatecznych klęskach Izraela, udali się najznakomitsi jego mężowie na przekor wszystkim prawdopodobieństwow, naradzając się tam nad przechowaniem plemiennej i religijnej odrębności ludu izraelskiego. I teraz także, kiedy Sara w izbie robotnic gasiła lampy, a potem, otwierając skrzynie, starannie wkładała w nie świeżo ukończone roboty i z błogim uśmiechem na ustach myślą liczyła ilość znajdującego się już w skrzyniach cennego towaru, Symeon donośniejszym nieco głosem i ze wzrastającym zapalem do Goryasza mówił:

— Z każdej litery świętych ksiąg naszych wyciągnąć korzec przepisów, które wypełniać będzie zmuszony każdy prawy syn Izraela. Oto zadanie *Beth-dinu*, mądrego zgromadzenia, które nad przy-

szłością naszą obraduje w Jabue. Tak, Goryaszu! z każdej litery korzec przepisów! One to, jako płot niewzruszony, odgradzą Izraela od narodów obcych. Z każdej litery korzec przepisów! a ktokolwiek jednego choćby wypełniać nie zechce, przekleństwo nań nieubłagane, wyłączające z pomiędzy żyjących, ciało i duszę jego oddające na pastwę aniołom śmierci i pomsty! Dzieła tego dokonać zadaniem jest *Beth-dinu*, zasiadającego w Jabue... dlatego to dusza moja przebywa częściej tam, aniżeli tu...

Goryasz trząśł z wolna głową, okrytą siwiejącymi włosy, a na białej, zmarszczkami pooranej twarzy jego malował się łagodny smutek. Po chwili wskazujący palec wyciągnął w górę i przyciszonym głosem mówić zaczął:

— Kiedy poganin pewien przybył do Hillela, prosząc go, aby mu wytłómaczył wiarę Izraela, Hillel odpowiedział: „Nie czyn bliźniemu twemu, czego nie chcesz, aby czyniono tobie“. A mędrcom w Jabue na wykład wiary naszej wkrótce już i lata całe starczyć nie będą...

— Nie czyn bliźniemu twemu, czego nie chcesz, aby czyniono tobie! — z goryczą powtórzył Symeon. — O, Goryaszu! Goryaszu! a jakoż nam przez obce narody uczynionem zostało!

— Grzesznymi są one — odparł Goryasz — lecz Hillel mawiał także: „Nie sądź bliźniego twego, zanim zważysz, co sercem i myślą jego kierowało“.

— Bliźniego — zawołał Symeon — niech w tej chwili prawica Przedwiecznego w marny proch rozsypie kości moje, jeżeli kiedykolwiek Greka lub Rzymianina bliźnim swoim nazwę!

Łagodny Goryasz żywym ruchem ze stołka powstał.

— O Symeonie! — zawołał — oby usta synów naszych nie powtarzały słów, które wyrzekłeś!

— Usta i serca synów naszych — krzyknął już prawie Symeon — z pokolenia w pokolenie powtarzać je będą; ale zaprawdę, Goryaszu, miękka nauka Hillela ciebie i podobnych tobie prowadzi wprost ku... odstępstwu!

Goryasz zarumienił się zrazu gwałtownie i drżącymi ustami szepnął:

— Odstępstwo!... ja, ja... ku odstępstwu!...

Lecz wkrótce, wierny zasadom swoim, powściągnął gniew, uśmiechnął się pobłaźliwie i biorąc rękę rozgniewanego przyjaciela, szepnął:

— Symeonie! ojcem synagogi naszej mianował cię lud... a Hillel mawiał: „Ten, kto pozwala gniewowi, aby go unosił, nie może nauczać ludu“.

Symeon ponuro nad pałającymi oczyma ściągnął krzaczyste brwi i, usiadłszy, zatopił dłonie w gęstwinie kruczych, siwiejących włosów. W tejsze chwili Sara, która przyzwyczajona była do sporu i utarczek dwóch przyjaciół i nigdy w nich żadnego nie brała udziału, wesołym głosem wezwała rodzinę

swą na wieczerzę. Pośrodku izby stał długi stół z gładko wyheblowaną deską z drzewa cyprysowego, obficie zastawiony misami i dzbanami, w których znajdowały się ciasta, harbuzy gotowane z mlekiem, ryby silnie zaprawione cebulą, pierniki z maku i miodu, tanie gatunki win. Zastawa ta objawiała panujący w domu dostatek, z gospodarską skrzętnością złączony. Po chwili kilkanaście osób przy wesołym świetle lamp i z gwarem przyjacielskich rozmów stół ten obsiadło. Lecz zaledwie, po odmówionej przez Symeona modlitwie, ręce biesiadników wyciągnęły się ku misom i dzbanom, drzwi, wiodące na ulicę, otworzyły się cicho i do izby weszła Mirtala. Wchodzącą powitał głośny okrzyk trojga dziewcząt, uprzejmy uśmiech Goryasza, ciekawość, choć nieśmiały wzrok dwóch młodzieńców i pieszczotliwe cmoknięcie pulchnych ust Sary. Ale ona, roztargniona i milcząca, nie patrząc na nikogo, szybko przeszła dużą izbę, stanęła przed Sarą i schyłona długo jej coś na ucho szeptała. Sara, słuchając, szeroko roztwierała swoje małe oczy, wydawała urywane okrzyki, aż klasnęła w pulchne dłonie, zerwała się ze stolka i, wyciągając ręce do obecnych, krzyknęła:

— Słyszycie! słyszycie! co ta dziewczyna mi powiedziała! Ach! co ona mi powiedziała! Jonatan przyszedł! Jonatan znajduje się w domu ojca swego, Menochima! Jonatan, który poszedł był tam... razem... z moim Enochem...

Enoch był to ten syn jej pierworodny, który na polu bitwy zginął... tam! Usłyszawszy o powrocie Jonatana, kobieta tylko o synu swym pierworodnym wspomniała i z twarzą w dłoniach rozplakała się rzewnie. Ale wieść przez nią ogłoszona na wszystkich obecnych silne i różnorodne wywarła wrażenie. Symeon powstał szybko i wymówił zcicha.

— Jonatan... towarzysz Enocha mego!

I w ponurem oku błysnęła mu łza, niby krótka, męska odpowiedź na długi niewieści płacz Sary. W zamian łagodne oczy Goryasza zapaliły się iskrami.

— Jonatan! słodkie pachole, którego w lwa zamieniła miłość ojczystej ziemi!

Dwaj młodzieńcy powstałi i z pałającemi twarzami przybliżyli się do Mirtali; poskoczyły też z siedzeń swych dziewczęta i, pobrzękując dzwonekami, zdobiącymi ich sandały, otoczyły rówieśnicę wieńcem ramion i zarzuciły ją gradem szczebiotliwych pytań. Sara, płacząc jeszcze, bezładne też pytania zadawała Mirtali. Młodzi chłopcy wołali:

— Pragniemy zobaczyć go! chcemy go słyszeć!

Goryasz, którego łagodność naiwnym niekiedy czyniła, mieszał też głos swój ze szczebiotem niewieścim i młodzieńczym. Gwar zwiększał się coraz, gdy niecierpliwy Symeon surowym głosem zawołał:

— Uciszcie się! Niewiasty, pozamykajcie gada-

tliwe usta! Pacholeta, ustąpcie na stronę! Języki wasze podobne są do młynów, a głowy do pustego pola, z którego wiatr ciekawości zmiata ziarna rozumu!...

Głosu ojca rodziny, tego srogiego głosu, który nie znał pieszczoty ani śmiechu, usłuchali wszyscy. Wśród ogólnego milczenia Symeon zapytał Mirtali, z czem przybywała i czego żądała? W ogniu rumieńców cała, ze spuszczonej oczyma, bo nigdy jeszcze nie ośmieliła się spojrzeć w twarz Symeona, Mirtala poselstwo swe opowiedziała. Symeon po chwilowym namyśle zwrócił się do żony:

— Saro, daj dziewczeczce wszystko, co najposilniejszego w domu swym posiadasz... Nalej do dzbana najlepszego wina, wyjm ze skrzyni pościel najmiększą... Niechaj posili się i spocznie obrońca Syonu... towarzysz Menocha.

Potem do Mirtali rzekł:

— Powiedz temu, który dziś nawiedził progi wasze (niech błogosławieństwo Pana towarzyszy każdemu krokowi jego), że pojutrze, wnet po zachodzie słońca, zwołane będzie do domu modlitwy Moade-El Święte Zgromadzenie najlepszych członków Kehili (gminy), któremu bojownik boje swe opowiadać będzie. A teraz weź to, co w ręce twoje włoży Sara, i odejdz w pokój!

Wkrótce Mirtala była już z powrotem w ojcowskim domu i stawiając na stole misy i dzbany, które Sara nietylko ją, ale i jedną z córek swych

obciążyla, uslugiwala dwom mężczyznom, pogrążonym w milczącej zadumie. Po pierwszych wybuchach powitania, po pierwszych krótkich i urywanych zwierzeniach, Jonatan umilkł. Znać w nim było znużenie wielkie, lecz nie przeszkadzające myślom męczyć dalej zmęczoną już głowę. Uważnie przypatrywał się wszystkim kątom małej izby i widać było, że wspomnienia pierwszej młodości strugami były mu do pamięci, że w sercu jego dwie przeszłości, całkiem do siebie niepodobne, walczyły z sobą, dobijając się o pierwszeństwo. Menochim milczał także i wpatrywał się w przybranego syna z czułością i niepokojem. Mirtala podała im misę z wodą, którą omyli sobie ręce, a potem misy z potrawami i dzbany, z których do glinianych kubków nalewała wino. Jonatan przestał przypatrywać się izbie i zaczął ścigać wzrokiem każde jej poruszenie. Teraz, gdy ochłonęła nieco ze wzruszeń, wieczoru tego doznanych, a gorliwie krzątała się około stołu, ktoś, znający ją przedtem, dostrzedz mógłby zaszle w niej zmiany, subtelne, lecz nadające jej pozór, dziwnie z otoczeniem jej niezgodny. Niedawno jeszcze każdy poznałby w niej od razu Izraelitkę, mieszkankę żydowskiej na Trans-tiberim dzielnicy; teraz w ruchach jej, postawie i nawet wyrazie twarzy było coś, od czego wiał inny świat jakiś, coś, niby echo dalekiej jakiejś muzyki. Ogniste kędziory, splecione dawniej w gąszcz nierozwikłany i ciężkim wieńcem otaczające głowę,

teraz spływały na szyję jej i plecy w jedwabistych, spokojnie falujących zwojach. Spłowiła suknia układała się w fałdy nieruchome, w malownicze węzły splatał się u stanu pas, wyszyty w jaskrawe palmy; a gdy prosta i lekka, cichą stopą przebywając izbę, w podniesionej ręce niosła dzban z czerwonej gliny, dziwnie podobną była do tych postaci greckich i rzymskich dziewic, które z marmuru wykute zaludniały place i portyki Rzymu. Jak oczy posągów zdają się nieruchomo tkwić w nieskończoności, tak jej źrenice, głębokie i zadumane, poprzez wszystko, co ją otaczało, patrzyły kędyś daleko...

Jonatan jadł mało. Długa nęcza odzwyczaiła go od obfitego używania pokarmów. Lecz niosąc do ust czerwony kubek z winem, zatrzymywał go przy białych wargach i wzrokiem płonącym nieustannie ścigał Mirtalę. Gdy po ukończeniu wieczerzy otworzyła niewidzialne prawie drzwiczki i zniknęła na ciemnych schodkach, zwrócił się do zamysłonego Menochima.

— W dzieweczce — rzekł — czuję coś obcego... Rzym wieje od niej.

Menochim odpowiedział:

— Dobrą jest, uległą i pracowitą. Nigdy przez nią nie zapłakało oko moje. Sara uważa ją za pierwszą robotnicę. Będzie niewiastą, która buduje dom męża...

Po chwili milczenia wstając, Jonatan rzekł:

— Powiedz jej, ojcze, aby nie odchodziła stąd nigdzie. Moją jest. Nie zostawię jej tu za żadne skarby świata. Minał dzień krwi i tułaczki. Pożądám dnia radości. Mirtala żoną moją zostanie i powiodę ją do Gallii, aby tam była ozdobą życia mego.

IV.

— Artemidorze! Artemidorze! dokąd tak spiesznie dążysz? I tak samotnie, w towarzystwie jednego tylko Heliasa swego! Gdzież są weseli przyjaciele twoi? czy opuścili cię twoi uczniowie i wielbiciel?

Tak brzmiał donośny i piskliwy, jakkolwiek wykwintnym akcentem wielkiego świata przyozdobiony, głosik niewieści.

Było to na ulicy, która, wypływając z pod bramy Ostyjskiej, staczała się po pochyłości Awentynu, ku wysokiemu łukowi Germanicusa i przeświecającemu za nim szlakowi rzeki. Z pod wysokich sklepień bramy Ostyjskiej wypłynęło na ulicę towarzystwo, złożone z kilku wystrojonych i wyperfumowanych mężczyzn, na którego czele biegła raczej, niż szła, żwawa i zgrabna Kaja Marcya, dogonić usiłująca wysmukłego mężczyznę w białej tunice, za którym postępował jeden tylko młodziutki chłopak, w grecki *chiton* przybrany. Środkiem ulicy, kilku lektykarzy niosło połyskującą ozdobami, lecz

pustą lektykę. Kaja Marcya wołała chodzić po mieście pieszo, bo tym sposobem łatwiej zatrzymywać się mogła we wszystkich bramach i portykach, pod wszystkimi łukami i arkadami miasta, aby tam pa-trzeć, słuchać, podsłuchywać, chwycić po drodze znajomych i nieznajomych, wabić i pociągać ku sobie urokiem niebrzydkich jeszcze oczu i pustej, ale wesolej paplaniny, młodych i niemłodych próżniaków, których ilość znaczna, czas pozostający od wizyt, uczt i łazien, przepędzała na otwartem powietrzu i bezmyślnem zbijaniu kosztownych bruków miasta. Dziś Kaja miała na sobie suknię, bogato naszytą haftowanymi szlakami, i mnóstwo bur-sztynów na pół-odkrytej piersi i ramionach, w uszach i włosach, które, przed kilku dniami rude, dziś, na-gle, stały się czarnemi. W czarnych lokach było jej daleko więcej do twarzy, niż w rudych, i kiedy Artemidor, na dźwięk imienia swego, zatrzymał się pośród chodnika, ujrzał przed sobą kobietę wcale ładną, niezmiernie ożywioną, zalotnemi oczyma błyskającą i giestykulującą rękoma białemi, na któ-rych błyszcząły drogie pierścienie. Od otaczających ją mężczyzn wionęła na niego silna woń perfum. Utrefieni, w suknie barwiste ustrojeni, z blademi, zmęczonemi, znudzonemi twarzami, powitali go oni chórem uprzejmych okrzyków. Jeden z nich mówić zaczął wierszami, ale Kaja, jedną ręką trzymając srebrny łańcuszek, na którym prowadziła nieod-

stępnego pieska swego, drugą opuściła na ramię malarza.

— Dokąd, mistrzu, w tej porze i w tem miejscu?

— Pora i miejsce temi samemi są dla mnie i dla ciebie, domina — śmiejąc się, odrzekł malarz.

— Na Dyanę, w której świątyni przepędziłam dzisiejszy poranek, wymijającą dałeś mi odpowiedź! Chcę wiedzieć, dokąd idziesz?

— Na Janikul, do ogrodu Cezara...

— Za godzinę słońce już zajdzie. Czy zamierzasz przechadzać się w ciemnościach nocnych?

— Zamierzam malować noc, spuszcającą się na kwiaty, tak, jak Nielitościwa starość spuszcza się na lica niewieście...

Towarzysze Kai parsknęli śmiechem; jeden z nich wierszami znowu pochwalił złośliwy dowcip malarza, Kaja zaśmiała się także.

— Otóż dociąłeś mi! — zawołała. — Nic to; gniewać się na ciebie nie będę, bo jesteś najpiękniejszym młodzieńcem w Rzymie, i w dodatku muzy mściłyby się na mnie, gdybym ci co złego uczyniła. Dlaczego jesteś dziś tak samotny? Helias jest ślicznym chłopcem, ale towarzystwo jego wystarczy ci nie może. Pójdź z nami. W Ostyjskiej bramie spotkaliśmy przekupnia, który uraczył nas zamrożonem mlekiem i wybornemi ciastkami, nadziewanemi pasztetem z wątróbek ptasich. Teraz dążymy do świątyni Junony, gdzie na intencję pe-

wną zawiesić mam serce, ulane ze złota i przyozdobione najpiękniejszym z moich szmaragdów. Będzie to ofiara, godna bogini, do której szczególnie uczuwam nabożeństwo. Potem, Artemidorze, wsiądę do lektyki mojej i poniosą mnie na pole Marsowe, bo pałam ciekawością ujrzenia przygotowań, które czynią tam do igrzysk Apolińskich. Pójdź z nami!

Wesołość Artemidora zmieniać się zaczynała w znudzenie. Roztargniony, kędyś w stronę rzeki poglądujący, odrzekł:

— Nie, domina; szukam dziś samotności; a z tobą przestając, znalazłbym się w towarzystwie całego Rzymu.

— Znowu dociałeś mi, niepoprawny! Nie pierwszy to raz do zrozumienia mi dajesz, że plotkarka jestem. Powiem ci zato parę wiadomości, które pewno zmartwią cię tyle, ile mnie cieszą pojutrze igrzyska. Czy ty chociaż o igrzyskach tych wiesz cokolwiek? Na polu Marsowem zobaczymy tańce trojańskie, wykonywane przez kwiat młodzieży, którą dowodzić będzie sam przepiękny Tytus. Umieram z ciekawości i lecę, aby zobaczyć, jak budują trybuny i łoża... Podobno osobna łoża wzniesioną będzie dla Bereniki i dworu jej... Powiadają, że po skończeniu igrzysk, Berenika laurowy wieniec włoży na głowę Tytusa, a w tej samej chwili ogłoszonym zostanie ludowi małżeństwo przyszłego Cezara z... Żydówką. Czy my naprawdę doczekamy tego, że Cezarowie nasi żenić się będą z kobietami

Wschodu?... Ale o tem wszystkim sza! bogom wszystko wolno... Ja na igrzysko patrzeć będę z łoży Cestyusza...

— Zapominasz, domina, że winną mi jesteś zemstę — przerwał Artemidor.

Zaledwie przypomnieć sobie mogła to, co mówiła przed chwilą.

— Tak, na mściwą Junonę! — z wybuchem śmiechu zawołała. — Docinałeś mi dziś bez litości starością i plotkarstwem, muszę cię w zamian zmartwić.

Wspięła się na palce i, wciąż wspierając dłoń na ramieniu malarza, tajemniczo szeptać zaczęła:

— Przyjaciele twoi niech będą ostrożni. Zły wiatr wieje nad domem Helwidyusza i nad głową tego starego nudziarza, Muzoniusza, którego, niech zginę, jeżeli wiem, dlaczego filozofem nazywają, bo popełnianie szaleństw jest jego udziałem. Jeżeli pretor nie osądzi sprawy Karusa i Argentaryi tak, jak się Domicyanowi podoba, nie ręcę, czy koniec miesiąca tego ujrzy go jeszcze w Rzymie. Wiem o tem od Cestyusza, który wie wszystko... Karus jest ulubieńcem syna Cezara! Czy twój pretor oszalał, że ciągle sprzeciwia się tym, którzy w dłoniach swych dzierżą pioruny ziemskie? Muzoniusz znowu prawil coś publicznie o starodawnych dyktatorach, co, gdy tylko niepotrzebnymi już byli, składali władzę w ręce ludu, który ich nią obdarzył. Wszyscy zrozumieli, komu to dociać chciał Muzoniusz. On

i Dyonizyusz z Pruzyi, i wielu jeszcze głupców myśla, że krzykami swymi zmiotą z pallatium następców Augusta... Przyjaciele twoi, Artemidorze, są kupą szaleńców...

Tu wspięła się wyżej jeszcze i ciszej szepnęła:

— Na stole Wespazyana od dawna już leży edykt, skazujący na wygnanie wszystkich waszych filozofów, pod których płaszcami oddychają Manliusze i Brutusowie. Dobry Cezar z podpisaniem jego waha się jeszcze, ale... lada sposobność. A co? czy nie zemściłam się? Piękne oblicze syna muz zciemniało, jak noc burzliwa!...

Jak noc istotnie zciemniała twarz Artemidora, przed chwilą jeszcze przyobleczona wyrazem żartobliwej niecierpliwości.

— Dostojna Kajo! — ozwał się ten z towarzyszy gadatliwej kobiety, który przedtem przemawiał wierszami — jeżeli przy świetle dziennem chcesz dziś jeszcze zobaczyć pole Marsowe...

— Ależ chcę, Marcyalu, pałam tą chęcią... Masz słuszną, Marcyalu, spóźnię się najpewniej... Żegnaj cię, Artemidorze! Czy słyszałeś o tem, że nazajutrz po igrzyskach trojańskich Cezar wydaje wielką ucztę dla ludu?... Wino lać się będzie strugami... najprzepyszniejsze mięsiwa, mnóstwo skoczków i kuglarzy, wystawa osobliwości na Forum... Lud obżerać się i bawić będzie... Żegnaj cię, Artemidorze! Nie wiesz jeszcze pewnie o tem, że Domicyan nie otrzymał dowództwa wojsk, wychodzą-

cych przeciw Allanom, i niepowodzenie to przyprowadza go do wściekłości... pociesza się tylko Longiną, ukradzioną Lamii... Dziwy nad dziwami! Lamia, zamiast rozpaczać po tej niewiernej, rzucił się w orgie, w których dotąd nie widywano go nigdy... Żegnam cię, Artemidorze! Czyś słyszał o tej kobiecie z Lukanii, która powiła dziecko z czterema głowami? Fatalny prognostyk! Fatalniejszy jeszcze, niż ta ognista kula, którą widziano spadającą nad Wejami...

— Kajo Marcyo! — przerwał znowu najpoufalszy z towarzyszy jej, poeta Marcyalis — zamknij na chwilę usta i wsiądź w lektykę, jeżeli nie chcesz ściągnąć na siebie gniewu Junony za niezłożenie jej ofiary twojej w dniu przyrzeczonem.

— Niechże bogowie bronią mię od popełnienia przestępstwa takiego — zawołała kobieta, na której twarzy odmalował się przestach istotny i ciągnąc za sobą kudłatego pieska, pospieszyła nakoniec do swej lektyki, którą lektykarze ponieśli ku wznoszącej się na pochyłości Awentynu świątyni Junony i za którą, uśmiechając się złośliwie lub wesoło rozmawiając, spieszenie udali się utrefieni i wystrojeni próźniacy.

Lektyka Kai krzyżowała się w drodze z wielu innymi lektykami, a za każdą z nich postępowały większe i mniejsze orszaki, złożone z ludzi różnego wieku, stanu i strojów, a wszyscy tym swoim pochodem składali hołd szacunku lub dowód przyja-

zni temu, którego niesiono w lektyce. Zresztą, jak zwykle w porze zachodu słońca, ruch na ulicach Rzymu ustawać zaczynał; większość bowiem mieszkańców miasta znajdowała się już w ścianach domostw i zasiadała do głównego dziennego posiłku. Zamrożone mleko i pasztet z wątróbek ptasich, które Kaja Marcya na prędcie spożywała w bramie Ostyjskiej, stanowiły *prandium* (podwieczorek), po którym oczekiwała ją jeszcze kędyś obfita albo i świetna *coena*, czyli wieczerza. Dnia tego zresztą nie miała już ona zobaczyć przygotowań do igrzysk trojańskich, dokonywających się na polu Marsowem, bo wieczór zbliżał się szybko, a lektyka jej, w drodze do świątyni Junony, zatrzymała się raz jeszcze, z za podniesionej franki wychyliła się głowa kobieca, ubrana w bursztyn, i z przywołanym przechodniem długą zagaiła rozmowę.

W złotych i różowych blaskach nadchodzącego wieczoru, w przycichających gwarach rybiego rynku i mrowiącej się za rzeką dzielnicy żydowskiej, u końca ulicy, wypływającej z pod bramy Ostyjskiej, Artemidor zatrzymał się i stanął, plecami oparty o rzeźbione gzymsy łuku Germanicusa. Nieopodal, pod ciemnym sklepieniem łuku zatrzymał się też Helias, młodziutki sługa o rysach greckich, długich jedwabistych włosach i przenikliwych oczach, jedno z tych chłopiąt pięknych, starannie uczonych, przebiegłych i zręcznych, które posiadać musiał w domu swym każdy wykwintny Rzymianin, i które u boku pa-

nów swoich pełniły czynności podczaszych, deklamatorów, czasem trefnisiów lub szpiegów, częściej powierników, posłów, kochanych i pieszczonych ulubieńców domu.

Helias na służbie u Artemidora szpiegiem ani trefnisiem być nie mógł, lecz u stołu w niewielkiej jadalni malarza, kołysał w rękach amforę labędzich kształtów, i gdy ze srebrnego jej dzioba wino sorrenckie lało się w rubin kryształowej czary, srebrny głos swój łączył z cichem dzwonieniem płynu, pół deklamując, pół śpiewając poezye greckie. Nieraz też panu swemu, wiodącemu swobodny żywot słynnego artysty, służył za posła w miłosnych przygodach, a nikt lepiej od niego nie umiał pokryjomu wręczyć tabliczki, opieczętowanej woskiem, młodziutkiej żonie bogatego starca; nikt gorliwiej i bystrzej nie strzegł domu, w którym pan jego pędził miłe godziny na umówionej schadzce. Wiedział dobrze, co nastąpić miało, gdy malarz wymykał się starannie od przyjaciół swych i wielbicieli, a na samotną udając się wycieczkę, jemu jednemu tylko mówił: „Pójdź ze mną, Heliasie!”

W tej jednak stronie miasta nigdy jeszcze z panem swoim nie był. Czyżby Artemidor naprawdę dążył do ogrodu Cezara, którego gęsta zieleń okrywała część wzgórza Janikulskiego? Lecz dlaczegoż stanął w cieniach pysznego łuku i, bez śladu uśmiechu na zamysłonej twarzy, zapominać zdawał się o celu swej wycieczki?

Celem wycieczki Artemidora nie był wcale ogród Cezara, tak jak o tem powiedział kobiecie, zarzucającej go natrętnymi pytaniami. Przedpołudniowe godziny spędził dziś w portyku Awentyńskim, kwiecistą girlandą, którą go przyozdobił, z upodobaniem i zapalem spinając postać Eraty, muzy poezji lekkiej i miłosnej, w bluszcze owiniętej, ze złotą lirą w dłoniach. Pomimo zapachu i rozkoszy, jakimi przejmowało go wypływające z pod pędzla jego białe oblicze bogini, od chwili do chwili spojrzenie jego spadało w dół i błędziło wśród kolumn portyku. Pierwszy to raz w życiu nie spostrzegł kogoś, kogo ujrzyć pragnął; pierwszy raz ktoś, kogo przyzwał do siebie, nie przybywał. Nieprzyzwyczajony do przeciwności i zawodów, niecierpliwił się, i było coś dziecinnego w gniewnym giescie, jakim paletę i pędzel rzucił na ręce uczniów swoich, a ponsowe usta ułożył w zarys wzgardliwy. Wcześniej, niż zwykle, przerwał robotę, i w otoczeniu licznych, a po drodze wzrastającym udał się do łaźni, gdzie długo i zawzięcie w basenie marmurowym, napełnionym zimną wodą, używał przyjemności pływania a potem, w *Elaeothecium*, czyli sali perfum, przeciw zwyczajowi swemu, gburowato zgromił posługacza, że go nazbyt obficie namaścił wonnymi płynami. Opuszczając łaźnię, wszystkich, którzy na *Ambulatio*, dziedzińcu do przechadzania się, zaczepiali go przyjacielskimi powitaniem, obrzucił strzałami złośliwego dowcipu. Do poróżnionego z żoną

Cestyusza, którego właśnie portyk za ogromną mallował zapłatę, a który z wysokości bogactw i przydwornego stanowiska witał go wspaniałym gościem, zawołał:

— Jakże powodzi się dostojnej Flawii, małżonce znakomitego Cestyusza? Odkąd judejscy czy chaldejscy bogowie zajmować ją zaczęli, Rzym widzieć ją przestał!

Karusowi, najbliższemu przyjacielowi jednego z synów Cezara, rzekł:

— Młodym jesteś, Karusie, a śmierdzisz perfumami, jak stara zalotnica!

Ze Stelli, bogatego próżniaka, bawiącego się poezją i skupywaniem dzieł sztuki, zaśmiał się:

— Czy od wczoraj, Stello, ułożyłeś choćby kilka złych wierszy? A Axiusz, ten handlarz z Sabury, czy oszukał cię znowu, sprzedając ci za wielką cenę wyrób ostatniego partacza za arcydzieło Mirona lub Praxitela?

Obrażeni wrzuszali ramionami, lecz w milczeniu połykali złośliwe przygryzki malarza.

— Zdaje się — wyrzekł Cestyusz — że, po Cezarze i synach jego, artyści są w Rzymie ludźmi, którym najwięcej wolno. Innemu nie uszłyby na sucho zuchwalstwa, jakich się ten dopuszcza.

W domu pretora Artemidor długo rozmawiał z Fanią, której opowiedział krzywdę, wyrządzoną wczoraj Mirtali przez garderobianę jej, Egipcyankę Chromię. W godzinę potem, Chromia, zagrożona

strąceniem jej na niższy szczebel domowej posługi, podniosła wielki krzyk żalu i zlorzeczeń, na który jednak nikt nie zważał, bo ważniejsze stokroć sprawy zajmowały rodzinę pretora. W dniu poprzedzającym, Helwidyusz, na uczcie w Pallatium, przy stole Cezara przemówił się ostro z ministrem skarbu, Klaudyuszem Etruskim, starym Syryjczykiem i wyzwoleńcem, który przebiegłym rozumem i wschodnią służalczością dosięgnął najwyższych zaszczytów dworskich, a płaski, giętki, korny, służył już siódmemu z rządu Cezarowi. Pomiedzy dworakiem tym a ojcem jeszcze Helwidyusza, starym i nieugiętym republikaninem, istniała głucha nieprzyjaźń, która, raz wybuchnąwszy, skończyła się upadkiem i zgubą drugiego.

Do matki i żony pretor z pokorą prawie mówił:

— Przebaczcie, że macę wciąż spokojność waszą. Powinienem był milczeć, gdy podły Syryjczyk, schlebując Wespazyanowej namiętności, układał niemiłosierne i niesprawiedliwe plany nowych podatków. Wszak wiadomo, że stanie się tak, jako lis ten doradza, ale porywczy jestem i rozdrażniony. Nad głową moją czuję miecz Damoklesa. Jest nim sprawa Karusa i Argentaryi. A ten, kto pewnym nie jest, czy jutro jego białem lub czarnem będzie, gołębiem być nie może.

Teraz znowu słowa Kai Marcyi, wybornie zazwyczaj o wszystkim zawiadomionej, potwierdziły obawy, których pełnemi były dziś oczy Fanii, gdy

na wzburzoną twarz męża swego patrzała. Artemidor, który po spożyciu w domu swym lekkiego *prandium*, rzekł do Heliasa, aby szedł za nim, i szybko dążył ku Transtiberim, stanął u łuku Germanicusa i schmurzonym okiem wodził po przyozdabiających go rzeźbach. Rzeźby te przedstawiały bitwy i zwycięstwa, odniesione przez jednego z najczystszych i najszlachetniejszych bohaterów przeszłości rzymskiej. Czystości tej i szlachetności, sławy rozgłośnej i wielkiej w narodzie wziętości zazdrościł mu Tyberyusz, mądry ten, lecz okrutny władca, który tysiącami krwawych ofiar utrwalił dzieło poprzednika swego, Augusta. Czy Germanicus, wczesnie umierając, padł ofiarą zawiści i podejrzeń jego? Czy istotnie trucizna przecięła mu w połowie piękną nić życia? Tak o tem, gdy Artemidor małym chłopięciem był, mówiła mu matka ze zgrozą w oku; w to wierzył i teraz, patrząc na rzeźby, bogato okrywające wspaniałe i wdzięczne zagięcia łuku, który pomnikiem był wielkiego męża, zgubionego tak, jak zgubionymi może będą wkrótce ci, których imiona szeptały mu przed chwilą płocze usta Kai. Wkrótce może, tak jak niegdyś Agrypina, małżonka Germanicusa, Fania, z dalekich krain wygnania wracając, tu, w tym porcie Tybrzańskim, ze statku na ziemię rzymską zstąpi i w dłoniach, o zemstę wołających, wysoko wzniesie urnę z popiołami zamordowanego męża!...

Szybkim ruchem wyjął z za sukni tabliczkę,

oblaną stwardniałym woskiem, i złotym stylem pi-
sał na niej przez chwilę, potem spojrzeniem i ru-
chem głowy przywołał ku sobie Heliasa. Długo-
włose chłopię przyskoczyło natychmiast i, za ledwie
Artemidor zcicha do niego mówić zaczął, skupiona
uwaga odmalowała się na pojętnej twarzy jego.
Byстрыm wzrokiem ścigał gościa pana swego, który,
wyciągnawszy ramię, wskazywał mu żydowską
dzielnicę i jakieś śród niej kierunki i zwroty. Po-
tem wręczył mu zapisaną tabliczkę.

— Widziałeś ją nieraz w portyku i w domu
Fanii. Poznasz?

Greczynek potwierdzająco wstrząsnął głową.

— Znajdziesz?

Spojrzał wyzywająco i w uśmiechu ukazał śnie-
żne zęby.

— Czekać cię będę w domu. Odpowiedź przy-
nieś. Spiesz.

Przed domem Menochima stało grono młodych
dziewcząt, zcicha, z ożywieniem wielkim rozma-
wiających. Były to córki Sary, które, przysłane tu
przez matkę dla dopomożenia Mirtali w sporządza-
niu wieczerzy, pozostały jeszcze, trapione cieka-
wością zobaczenia Jonatana, albo przynajmniej do-
wiedzenia się szczegółów o tym niezwykłym czło-
wieku i towarzyszu nieszczęsnego ich brata. Żółte
i niebieskie suknie ich wesoło świeciły przy osta-
tnich promieniach zachodzącego słońca; czarne
i rude kosy ocieniały szyje, połyskujące szklanymi

naszyjnikami; dzwonki sandałów pobrzękiwały u stóp, poruszających się niecierpliwie. Jedna trzymała srebrny dzban, napelniony winem; druga zawieszala na ramieniu Mirtali bogato haftowany ręcznik do ocierania rąk po umyciu ich przed i po jedzeniu; trzecia głaskała dłonią włosy towarzyszki, żywo opowiadając o krzątaniu, która od wczoraj w domu ich zaszła. Ojciec ich, Symeon, zajęty był zwoływaniem na jutro gminy do domu modlitwy, matka płakała i śmiała się z kolei, a im bezustannie rozkazywała dopomagać Mirtali w przyjmowaniu drogiego gościa. Szczebiotały długo i, u progu domu pozostawwszy przyniesione przez się przedmioty, jak ptaki frunęły ku wznoszącemu się w pobliżu domowi Sary. Mirtala patrzyła za nimi chwilę, z uśmiechem, który na twarz jej z wesółych twarzy ich spłynął, aż zmieniawszy kierunek wejrzenia, jakby zdrętwiała, osłupiałym wzrokiem wpatrzyła się w kogoś, stojącego z przeciwnej strony ogrodzenia. Jakkolwiek w cieniu stojący, Helias zwróciłby tu na siebie uwagę każdego, ktoby go spostrzegł. Greckie *chitony* zarówno niewidywanymi tu bywały, jak rzymskie togi. On zaś miał na sobie *chiton* z materyi, barwą swą przypominającej ametysty, a długie kasztanowate włosy miękką falą spływały mu aż do stanu, ocieniając twarz białą, delikatną, dziewiczą. Trudno byłoby zgadnąć od razu, do jakiej płci należał; ale Mirtala poznała go przy pierwszym spojrzeniu. Widywała go i w por-

tyku, i w domu Fanii, wiedziała kim był, komu służył i nawet jakie było imię jego. Zdziwienie, radość, trwoga, mieniły się na jej twarzy. Greczynek, gdy córki Sary zniknęły, bacznie rozejrzał się dokoła i, odrywając plecy od płotu, o który nie dbale opierał się dotąd, szybko przebył wąską uliczkę.

— **Nakonec — zaczął — rozleciały się przepiórki te, które tak długo szczebiały dokoła ciebie, tym waszym dziwnym, brzydkim językiem. Nie mogłem przecież oddać ci przy nich tego, co ci przeze mnie przesyła pan mój, Artemidor.**

Na dłoni jego ukazała się zapisana tabliczka. Podawał ją Mirtali, która chciwie ku niej wyciągnęła rękę i wnet ją cofnęła. Z twarzy jej krew cała zdawała się znikać aż do kropli.

— **Dlaczegoż cofasz rękę, jakbyś się tem oparzyć lękała? — ciekawe oczy topiąc w pobladłej twarzy dziewczyny, z uśmiechem szeptał Helias. — Nie lękaj się; ręki nie spali ci pismo mego pana. Weź i czytaj.**

Wzięła, oczy utkwiała w piśmie i twarz jej okryła się wyrazem cierpienia.

— **Nie umiem czytać pisma łatyńskiego... — zaledwie dosłyszalnie szepnęła.**

Nie okazując zdziwienia, Helias zapytał:

— **Chcesz, abym ci to przeczytał?**

Po chwili milczenia błagalnie odpowiedziała:

... **Przeczytaj!**

Chłopię bystrem spojrzeniem ogarnęło pustą w tej chwili uliczkę. Stali zresztą okryci ścianą domu; przybliżył się więcej jeszcze do Mirtali i z cicha, prędko, przeczytał:

— „Nie byłaś dziś ani w portyku, ani w domu Fanii. Czy zamierzasz może nie ukazywać mi się już nigdy? Przystałbym na to, gdybym nie żałował pięknej perły, tonącej w kałuży. Jutro, o zachodzie słońca, czekać cię będę u łuku Germanicusa. Przyjdź!”

Helias przestał czytać i oddawał jej tabliczkę, ale ona jej nie brała. Wyciągała po nią rękę i cofała ją. Nagle twarz w dłoniach ukryła.

— Nie mogę... nie mogę!...

Greczynek nie rozumiał.

— Używaj słów łatyńskich lub greckich, bo mowy waszej nie rozumiem. Co mam powiedzieć panu memu?

Odsłoniła twarz, pochwyciła pismo Artemidora i, z przerażeniem w oczach, znowu oddawała je Grekowi. Lecz on zasunął dłonie pomiędzy fałdy chitonu.

— Przyjdiesz? Dlaczego nie odpowiadasz?

W ziemię patrząc, cicho wymówiła:

— Czyż spragniona sarna może nie biedz ku leśnemu źródłu? Czy róża nie rozkwita, gdy z za chmur zaświeci słońce?

— Dziwnieś to powiedziała, ale odpowiedź twą zapamiętam i dosłownie panu memu powtórzę —

rzekł Helias, i powolnym, niedbałym krokiem, niby ciekawy przechodzień, rozglądając się dokoła, odszedł. W końcu ulicy rozminął się ze starym Żydem, w ciężkim turbanie, tak zamysłonym, że nie spostrzegł go wcale. Był to wracający do domu Menochim. Wchodząc do niskiej, małej izby, zapytał:

— Gdzie jest Jonatan?

Na głos jego, z za krosien, szybko coś za suknę chowając, podniosła się Mirtala i, zbliżywszy się do przybranego ojca, nisko schylona, do ręki jego płonące usta przycisnęła.

— Jonatan nie wrócił jeszcze z domu Goryasza, do którego udał się zaraz po odejściu twojem.

Gdy to mówiła, głos jej brzmiał żalem duszy błądzącej, lecz z błędem swym nie mogącej rozstać się, jakby z życiem.

W godzinę potem, w cieniu krosien swych na glinianej podłodze siedząc, Mirtala wlepiała w twarz Menochima oczy, w które zbiegać się zdawały wszystkie siły pojęcia jej i uczucia. Ciężki turban z głowy zdjawszy, a bielejące włosy osłoniwszy okrągłą czapeczką, która nie zakrywała mu wysokiego, zoranego czoła, Menochim, przy świetle lampy, czytał głośno z rozrzuconych przed nim na stole kart pergaminu. Naprzeciw, z półcienia wychylała się ciemna i wynędzniała, lecz uważna i skupiona twarz na niskim stołku siedzącego Jonatana. Nad głowami dwóch tych ludzi mgił się dym, ulatujący

z lampy; głos czytającego Menochima rozlegał się po izdebce. To, co czytał, było owocem dumań, marzeń, cierpienie całego jego życia, dziełem, które w izdebce tej i u stóp gaju Egeryi pisał od lat już wielu. Jęki żałośnie, krzyki rozpacz, błagania, wyrzuty, zapytania zwracane ku Bogu, mistyczne rojenia o rajskiej przyszłości, straszne pocieszania się złorzeczeniami, miotanemi na wrogów, fantastyczne sny i widziadła, przedstawiające wrogów tych w postaci orłów wielogłowych, skrzydlatych rumaków, roznoszących klęski, mór, wylewających na świat czarne i cuchnące wody, wszystko to składało się na ten ponury, konwulsyjny poemat, będący niczem innym, jak jednym z utworów, które rojami w porze owej rozchodziły się po świecie.

Menochim był poetą, ale takim, jakiego wydać może tylko lud, mocujący się wszystkimi siłami z przedwczesną śmiercią, zgorączkowany od ran mu zadanych, szalejący w ucisku przemocy, i w szale swym śniący o rajach, potworach, cudach wybawienia i pieklach zemsty, od udręczeń swych uciekający w pijane konwulsye przekleństw, albo w mistyczną krainę ekstazy.

Był on poetą. Ale zarazem był człowiekiem chudym, bosym, w lachmany niemal ubranym, z ochryplym i piskliwym głosem w wąskiej, słabej piersi. Teraz, kiedy zdjął turban i gruby pas rozwiązał, zmniejszył się i zeszczipał jeszcze. Ani powagi wieszczą, ani piorunujących dźwięków pro-

roka w postaci i głosie jego nie było. Kiedy w uniesieniu czytał, a raczej z pamięci wygłaszał najpotężniejszą strofę poematu swego, bose stopy, nie sięgające ziemi, kołysały się i trzepotały w powietrzu, a chude ramiona dokonywały giestów, na których widok uśmiechnąłby się wzgardliwie najpośledniejszy mówca z tamtej strony Tybru. Wydał się biednym, chudym ptakiem, konwulsyjnie bijącym w odarte z piór skrzydła. Kiedy zaś strofa żalną była, błagalną, pokorną, ochrypli głos jego rozkwilił się i cieniał, chude ciało kołysało się w strony obie, drżące dłonie dotykały czoła, oczu, policzków, piersi. Podobnym wtedy stawał się do rozkwilonego, ku piersi matczynej niedołężne ramiona wyciągającego, dziecka. I tylko, czy miotał się, czy kwilił, czy konwulsyjnie trzepotał w powietrzu bosemi stopy, czy wargom z łagodnym zarysem nadawał wyraz nienawiści lub grozy; na wzniesionem czole jego tysięczne zmarszczki wypisywały mnóstwo przesnutych marzeń, w źrenicach płonął ogień niewysłowionej tklivości, a po sfałdowanych, żółtych, drgających policzkach, od czasu do czasu spływały wielkie pod mdłym światłem lampki świecące łzy.

Najpośledniejszy mówca z tamtej strony Tybru, patrząc na poetę tego i słuchając go, uśmiechnąłby się wzgardliwie. Ale pierś Jonatana dyszała głośno i spiesznie, dłonie jego zczerniały, czerwonymi bli-

znami poznaczone, często szukały kolan ojcowskich, na które opadało, wzruszeniem splonione czoło.

Mirtala wysunęła się także pod światło lampy i w pobliżu rozmawiających usiadła. Wysilenie myśli, głęboko rozważającej malowało się w oczach jej błyszczących i w Menochima, jak w tęczę, utkwionych.

Nagle poskoczyła, z błyskawiczną szybkością stanęła pomiędzy Jonatanem a drzwiami i, miękki pas swój zrywając z siebie, rozpostarła go szeroko, niby płachtę, którąby okryć się chciała. W szeroko otwartych oczach jej malowało się przerażenie. Przerażenie też wstrząsnęło ciałem Menochima, który, twarzą ku drzwiom siedzący, zarówno jak Mirtala, ujrzał w drzwiach, cichutko z zewnątrz uchylonych, zaglądnącą do izby głowę, rudymi włosami okrytą, i twarz żółtą, z małemi, świecącymi oczyma, bystro i ciekawie obiegającemi izbę. Jonatan, plecami ku drzwiom zwrócony, nie widział nic.

— Sen twój, Silasie, niespokojnym być musi, skoro w wieczornej porze zaglądasz do cudzych domów — z łagodnym szyderstwem rzekł Menochim.

Silas nie wchodził i wciąż tylko przez drzwi uchylone głowę do izby wsuwał.

— Ty także czuwasz, ścierko Monobaza, a dziew-

czyna twoja pokazuje ci ze swym pasem sztuki kuglarskie. Gościa macie; widziałem go, idącego z domu Goryasza. Wydało mi się, że jest to przybysz ze stron dalekich i przyszedłem, aby go powitać.

Śmiertelna bladość okrywała twarz Menochima. W dłoni kurczowo ścisnął suknię Jonatana, który uczynił ruch porywczy, jakby powstać i ukazać się zamierzał. Lecz w tejże chwili, po małej izbie rozległ się dźwięczny, srebrny, wesoly wybuch śmiechu. Mirtala, zwinnymi ramiony rozwijając wciąż i kołysząc w powietrzu haftami błyszczącą materję, z głośnym śmiechem woła:

— Przybysz z daleka! O, Silasie! nie poznałeś więc Judy, syna Goryasza, który przyszedł dziś, aby rozmową swoją rozweselić starego Menochima? Nie poznałeś więc Goryaszowego syna, którego włosy podobne są do piór kruczych? Idź do Edomity tego, który na Awentynie mieszka i chore oczy ludzkie leczy. Idź, Silasie, do Edomskiego lekarza, bo, gdy się spóźnisz, oślepniesz tak, że już i do swojej ulubionej oberży nie trafisz!...

W miarę jak mówiła, podniesiony głos jej słabnąć zaczynał. Lecz Silas nie miał delikatnego słuchu i, wyrzekłszy grube zaklęcie, głowę usunął z drzwi, które ze stukiem zamknęły się za nim. Za drzwiami czekała na niego gromadka ludzi, wśród których połyskiwały w cieniu srebrne pier-

ścienie i naramienniki Egipcyanki Chromii i odznaczała się barczysta postać Babasa.

— Nie wiem, nie widziałem; dyabelska ta dziewczyna zasłoniła go przede mną — do towarzyszy swych szepnął Silas.

— Dlaczegożś nie wszedł, osłe syryjski? — krzyknęła Chromia.

— Dziękuję! Jeżeli nie omyliły mię oczy moje, krzywy nóż tego siepacza odesłaćby mię mógł bóstwom podziemnym...

— Dziewczyna może mówiła prawdę — ozwał się Babas, który podsłuchiwał był za plecami Silasa. — Widziałeś może syna Goryaszowego...

— Dałbym sobie rękę uciąć, że był to ten, za którego wydanie władzom rzymskim mielibyśmy za co upijać się codziennie przez cały miesiąc. Niedarmo, patrząc na przekłętą poborcę i dom jego, oczu pożyczam od Argusa...

— Wytrzeszczaj-że drugim razem lepiej swoje psie ślepie! — gniewnie sarknęła Chromia — bo jeśli mi jakimkolwiek sposobem dziewczyny tej nie sprzątniesz, zamienię cię na Babasa, który od dawna już wzdycha do mnie... Głupia ze mnie dziewczka, że tak długo zgadzam się łaskami swemi obdarzać takiego, jak ty, niedołęgę!...

Silas ponuro mruknął:

— Sprzątniętoby ich rychło, gdyby się dowiedziano, że w budzie swej przechowują zawziętego nieprzyjaciela Cezara i bogów!

Odeszli w kierunku oberży, z której zamkniętego wnętrza wymykały się przez szczeliny czerwone światła pochodni i stłumione dźwięki syryjskiej *sumbuki*.

W izbie Menochima ciemno już było i cicho.

Nazajutrz niezwykle wrzenie napelniało dzielnicę zatybrzańską najbardziej zaś tę jej część, którą zamieszkiwali Syryjczycy i Żydzi. We wrzeniu tem były jakby dwa prądy: jeden głośny, krzykliwy, wesoly; drugi przyciszony, głuchy, spodem płynący. Żaden z pomiędzy licznych Syryjczyków, zajmujących się zwykle noszeniem lektyk, wyladowywaniem towarów, wyrabianiem cegieł, w dniu tym nie udał się do zwykłej pracy, lecz wszyscy dokoła mieszkań swych i oberż zbierali się w gadatliwe i żywo giestykulujące gromady, do których przyłączała się znaczna ilość próżnującej zawsze gawiedzi ulicznej, obdartusów i lotrzyków, żywionych przez państwo, z dalszych części *Transtiberim* i nawet z przeciwnej strony Tybru, dziś tu napływających. Przedmiotem zajęcia całego tego tłumu, pstro i pół nago wyglądającego, który gromadnie kupił go na ulicach i przed oberżami, było jutrzejsze święto Apollina i przygotowujące się na ten dzień igrzyska i zabawy. Igrzyska był to wyraz, wywie-

rający na nich wpływ czarodziejski. Burzył on im krew w żyłach, zapalał wyobraźnię i ciekawość, namiętną niecierpliwością zdawał się stopy odrywać od ziemi. Rozmawiali, krzyczeli raczej kilku językami. Najrzadziej w miejscu tem odzywała się mowa łacińska, częściej brzmiały zepsute i z łaciną mieszanane dyalekty greckie; górował nad nimi, pochłaniając je tu prawie, język syryjski. Wszyscy przecież rozumieli się wzajem wybornie.

Jeżeli pomiędzy ludźmi tymi różnego pochodzenia zachodziły kiedyindziej burzliwe niechęci, współubiegania się i starcia, dziś, w przededniu igrzysk, godzili się oni z sobą wybornie w jednych żądzach i oczekiwaniach. Sprzeczek wprawdzie nie brakło i teraz, ale przyjacielskich i rozwiązujących się spokojnie. Jedni wołali, że woleliby o wiele walkę gladyatorów w Amfiteatrze, albo wesołe i zmysły lehcące pantominy w teatrze Balbusa czy Pompejusza, aniżeli te konne, rycerskie popisy szlacheckiej młodzieży, które odbyć się miały na polu Marsowem. Większość jednak tłumu namiętnie, nad miarę, cieszyła się nadzieją ujrzenia tańców trojańskich, bardziej jeszcze przewodniczącego im Tytusa, syna Cezara, najbardziej tem, co koniec igrzyska przynieść miał z sobą. Imię Bereniki było na wszystkich ustach. Żaden z tych ludzi, najniższy szczebel społeczny zajmujących, nie widział nigdy z blizka królowej Chalcydy, tej najpiękniejszej kobiety Wschodu, która oczarowała Tytusa, którą

Tytus jutro ludowi swemu, jako małżonkę swą, ma ukazać. Potem zresztą od połowy dnia odbywać się będą w cyrku Flamińskim gonitwy na wozach a potem jeszcze, nazajutrz, wystawy osobliwości na Forum Romanum i placu Marsowym i uczty olbrzymie, przez Cezara zastawione dla ludu.

Kiedy imię Bereniki, z ust do ust przebiegając, brzmiało na ulicach i placach przedmieścia, na dźwięk jego odwracali twarze, oczy w ziemię wlepiali i w ściślejsze zbijali się gromadki ludzie w długich sukniach, grubych pasach i ciężkich turbanach, którzy dziś także w domach i przy zajęciach spokojnie pozostawać nie mogli. Byli to Żydzi, niezwykle też dnia tego wzruszeni i ruchliwi, lecz nie o jutrzejszych igrzyskach rozmowę wiodący. O czem gwarzyli, nie wiedziała gawiedź, z pstrej mieszaniny kilku plemion złożona. Mówili cicho tajemniczo i, sprzecznie z rozweselonymi i pół pijanymi ludźmi, którzy ciągnęli ulicami lub otaczali oberże, wydawali się bardziej zasmuconymi i niespokojnymi, niż zwykle. Ciche rozmowy ich, tajemnicze giesty, niespokojnie rozglądające się spojrzenia, stanowiły ów drugi prąd dzisiejszej na *Transtiberim* wrzawy, ów prąd przyciszony, głuchy, spodem płynący.

Bacne ucho, któreby uważnie wsłuchało się, w szmer prądu tego, dosłyszałoby, że jak w tamtym głośno i nieustannie wspomniano Berenikę,

tak w tym cicho płynęło imię Jonatana. Lecz nikt o podsłuchywaniu ich nie myślał. Silas nawet, zapominając o urazach i zemście swojej, przed oberżą wyciągając na słońcu bosc nogi, wesoło przebierał w kupie orzechów, grając z kilku towarzyszami w cetno i lichy; wysoki Babas, za rzucone mu asy siłę swą ukazując, rozdawał dokoła szczutki, od których ludzie chwiali się na nogach, albo na ziemię padali; Chromia zaś, przy ścianie oberży błyskając srebrnymi obręczami, zdobiacami ciemną jej skórę i oczyma pożerając Babasa, wrzaskliwie opowiadała, jako przez panią swą, Fanię, wyzwoloną i z domu jej wyprawioną została. Gdzieindziej obitoby ją i strącono do kuchennych posług; ale z domu pretora wyprawiano tylko złe i niechętne slugi. Wolnością jej cieszyła się gospodyni oberży, bezzębna Charopia, z siwymi włosy, spuszczaćcymi się na twarz żółtą z pod brudnej chustki, która, z glinianej amfory lejąc wino w czerwony kubek, namawiała ją do stałego przebywania w oberży. Egipcyanka, z ciałem giętkim i ruchami podobnymi do skrętów węzowych, z purpurowemi usty, kruczym, roztarganym włosom i migocącym polyskiem srebrnych bransolet, uznaną snadź była za ponętą Wenereę miejsca tego. Charopia umizgała się do niej i wciąż dolewała jej kwaśnego, lecz mocnego trunku, którego ona tyle czar wychyliła, ile było liter w imieniu silacza Babasa.

— Wesoło mi tu między wami, przyjaciele! —

9*

krzyknęła — lecz weselej nam jeszcze będzie pojutrze, gdy kucharze cesarscy napięka nam wołów i wieprzy, a podczaszowie gardła pozalewają winem mniej kwaśnem, niż twoje, Charopio! Igrzysk i uczt, Cezarze! Hojnym i dobrym jest Cezar! Będziemy mieli igrzyska i ucztę!

— Życia i szczęścia Cezarowi, panu naszemu! — krzyknęło mnóstwo głosów, a chóralny okrzyk ten leciał w czystem, letniem powietrzu długo i daleko.

Na tarasie domku Menochima, ścianą trójkątnego piętarka osłonięci przed wzrokiem przechodniów, wsparci o haftowane poduszki Sary, w pół leżących postawach siedzieli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Jonatan, głowę drugiego ocieniał głęboki kapiszon płaszcza. Przybliżali ku sobie twarze, trzymali się za ręce i cicho ze sobą rozmawiali.

— Justusie! — mówił Jonatan — jakże los mój wydaje mi się zazdrości godnym wobec twojego. Jako jeleń przez myśliwca, ścigany jestem przez tych, z których przemocą do ostatniego tchnienia nadziei walczyłem. Lecz ani serce, ani twarz moja nie kłamią i chleba nie spożywam u stołu odszczepieńców, jak ty, sekretarzu Agryppy, codzienny towarzyszu i dworaku obrzydłej Bereniki i zdrajcy Józefa!

Justus twarz zasmuconą usiłował ukryć głębiej w cień kapiszona.

— Ku bojom orężnym nie wiodły mię ani skłonności, ani przekonania moje — odpowiedział zcicha — dlatego nie towarzyszyłem tobie, gdy na odgłos wypadków, gotujących się w Judei, udałeś się tam z wielu tutejszymi rówieśnikami swymi. Sercem przecież i obyczajem wierny jestem ojczyźnie i wierze przodków naszych, a teraz, gdy Menochim oznajmił mi o przybyciu twojem, przybiegłem jak brat stęskniony za niewidzianem długo obliczem brata.

Po chwili milczenia dodał:

— Czy pozwolisz, abym ukazał ci rzeczy pewne, których jasno widzieć nie możesz?

— Mów — rzekł Jonatan.

— Mówić chcę o tych, których wy odstępcami i przeniwiercami nazywacie. Bogaci, zaznajomieni z cywilizacją helleńską i rzymską, z ustrojem rzymskiego państwa, Agryppa, Józef i wszyscy im podobni, mniemają, że walka z potężnym Rzymem szaleństwem jest, wiodącym małą Judeę do ostatecznej zguby. Dlatego pogodzili się z tem, przeciw czemu wy targnąwszy się zuchwale, sprowadziliście zburzenie stolicy i świątyni naszej.

Szyderski uśmiech błędził po białych wargach Jonatana.

— Czy pewnym jesteś, Justusie, że pogodzenie się ich z Rzymem źródło swe wzięło z troskliwości o resztkę mizernego istnienia kraju i ludu naszego? Czy nie olśniła ich raczej potęga Rzymu? czy nie

oczarowały blaski i rozkosze, wzbronione wiernym wyznawcom wiary naszej, niedostępne synom spustoszonej ziemi? Pałace ich pełne malowanych i rzeźbionych postaci ludzi i zwierząt, stoły ich gną się pod cudzoziemskimi przysmakami, togi rzymskie wspañiale owijają ich ciała, na łóżach rzymskich rozkosznie wyciągają się ich członki. Józef Flawiusz przyjmował bogate dary od nałożnicy Nerona, a Wespazyan obdarzył go rozległymi dobrami; Agryppa otrzymał królestwo Chalcydy, odebrane od Bereniki, która w zamian...

W miarę jak mówił, mowa jego stawała się syczącą, nienawiść iskrzyła się w zapadłych oczach, ręka kurczowo ścisnęła przedmiot jakiś, u piersi za suknią ukryty. Przez zaciśnięte zęby wymówił jeszcze:

— Tu są oni nietykalni, niedostępni, bo otacza ich i ochrania zbrojna prawica Rzymu. Ale tam, Justusie, tam...

Zaśmiał się zdławionym, zjadliwym śmiechem.

— Tam, w Jerozolimie, krew im podobnych zalewała bruki ulic, a z rozbitych czaszek mózg bryzgał na święte mury, których oni bronić nie chcieli!

Justus zadrżał.

— O, Jonatanie! — zawołał — cóż uczyniły z ciebie krótkie te lata które od rozstania się naszego upłynęły!... Znałem cię młodzieńcem śmiałym, lecz łagodnym; ujmującym się za skrzywdzonymi,

lecz brzydzącym się krwią i okrucieństwem... Teraz... pozór twój jest pozorem mieszkańca pustyni, który w walkach z lwami i niedźwiedziami zapomniał słodkich uczuć ludzkich, w którego uszach nigdy nie brzmiała rajska zapowiedź proroka: „Przekują miecze na pługi, a jagnię w spokoju usnie obok lwa i dziecię bezpiecznie igrać będzie nad gniazdem wężowem!”

Z nienawiścią, rozpalającą wzrok Jonatana, zmieszał się wyraz bolesnego szyderstwa.

— Czy mieszkałeś, Justusie, w świętej głowie proroka i dowiedziałeś się, jak daleko w przyszłość sięgał wzrok jego, kiedy wygłaszał on swą rajska zapowiedź? Przedwieczny tylko znać może czasy spełniania się widzeń proroczych. Ja, z morza krwi i płomieni dłonią Jego wyprowadzony, wiem, że jeszcze one nie nadeszły. Dopóki sprawiedliwość nie zapanuje nad światem, dopóki człowiek nastawać na człowieka i silniejszy deptać słabszego będzie, dopóty miecz pomsty ścigać musi tych, którzy, jak Agryppa i Józef, odstępują sprawy słabych, lecz sprawiedliwych...

— Każdy z ludzi dźwiga brzemień grzechów swoich — smutnie odparł Justus. — Jeżeli tamtym trwożliwość, obojętność, żądza chluby i rozkoszy ujmuje gorliwości dla sprawy słusznej, wy grzeszycie zbytkiem zapalczywości, szaleństwem, rzucającem was w męki daremne, sercem stwardniałem na obrzydłość czynów okrutnych. Wy nazywacie

ich odstępcami i przeniwiercami, oni wam dają nazwy krwawych siepaczy...

— Takimi jesteście! — prostując się, zawołał Jonatan.

W tej samej chwili w rękę jego błysnął nóż zakrzywiony, rodzaj krótkiego, obosiecznego miecza.

— Tak, Justusie, gorliwcem jestem, który, gdy pora była, ścinał krwawe grona w winnicy Edomskiej i ścinać je gotów jeszcze... tym oto sierpem.

Justus dłonią przysłonił oczy.

— Schowaj oręż ten — szepnął co prędzej — wydać on cię może... Po co go nosisz przy sobie? Pokusa łatwo przeniknąć może do oszalałego serca...

Jonatan zasunął nóż w zanadrze i z gorzkim uśmiechem zaczął:

— Nie lękaj się! Agryppie twemu krzywdy żadnej nie zrzadzę. Dzień znoju długim był i straszny. Odpocząć pragnę. Pójdę daleko, w cichym kącie wzniosę ściany domu swego, ustawię krośna i u boku małżonki hodować będę synów, aby wzięli po mnie dziedzictwo...

Przestał mówić. Rysy jego, które przy ostatnich słowach złagodniały nieco, zasepiły się znowu. Ulicą przeciągał i dom Menochima mijał wesół tabor uliczny, wiedziony przez kobiety, pobrzękujące na instrumentach muzycznych i w opadającym z nągich ramion ubraniu. Kilkunastu mężczyzn obdarzonych, pół-bosych, z zielonymi wieńcami na głowach,

gdzieniegdzie z rozkwitłymi różami u piersi, postępowало w takt muzyki, wrzaskliwie śmiejąc się i krzycząc. W weselącej się tej gromadzie czuć było zbliżanie się orgii, które po Apollinińskich igrzyskach nastąpić miały; była ona słabym akordem tych szalonych hulanek, któremi aż po brzegi napełniał się i kipiał Rzym w dniu noworocznych Saturnalii. Saturnalie wprawdzie nie prędko jeszcze nastąpić miały, ale święto Apollina wzniewało także wesołość, którą roznamiętniała skwarna pogoda dni lipcowych. Niewidzialni sami, Jonatan i Justus, przez szczeliny balustrady, otaczającej taras, widzieć mogli dokładnie pstry orszak, który, mijając dom Menochima, wydał zmieszane, chóralne okrzyki:

— Zdrowia i szczęścia wspaniałemu Tytusowi, synowi boskiego Cezara! Zdrowia i szczęścia Berenice, pięknej oblubienicy Tytusa!

— Czy słyszysz, Justusie? czy ty to słyszysz? — gwałtownie szepnął Jonatan. — Imię Izraelitki ta nawet podła zgraja łączy z imieniem tego, który ojczyźnie naszej ostatnie zadał ciosy! Czy to być może, Justusie, aby ona małżonką jego została? czy to być może, aby zgorzenie takie dotknęło oczu ludzi? aby ślina takiej obelgi spadła na nasze straty i bóle!

Z pochyloną twarzą Justus odpowiedział:

— Niestety! tak się podobno stanie! Tytus kocha ją więcej, niż źrenicę oka swego, a ona... Alboż niewiasta oprzeć się może urokom promieniejącej

piękności, złączonej z najwyższem w świecie dostojenstwem? Tytus jest najpiękniejszym człowiekiem w Rzymie i następcą Wespazyana.

— Widziałem ją niegdyś — w zamyśleniu mówił Jonatan — widziałem ją, gdy w czasie pierwszych powstańczych ruchów w Jerozolimie wyszła na taras pałacu swego w szkarłacie i złocie cała; splecione ręce wyciągała ku nam, błagając, abysmy rozeszli się, uspokoili i nie ściągali na siebie i na Judeę całą mściwej ręki Rzymian... Była wtedy wspaniała, ale lud krzyknął ku niej: „Wnuką Machabeuszów jesteś, bądź im podobną! Judytą bądź! Ujmij miecz i duchem przodków swych niesiona, przoduj nam w walce, jako słup ognisty ojcom naszym przodował na puszczy!“ Był to, Justusie, wielki moment, był to moment, w którym ta niewiasta stać się mogła duszą narodu swego, mocą i chwałą jego, i — kto wie? może zbawieniem... Ale ona...

— Wiem — dokończył Justus — wraz z bratem swym opuściła wzburzoną stolicę...

— Uciekła i bezpieczeństwa swego szukała w obozie Rzymian! Tam to Tytus jedną ręką rzucając na Jerozolimę głównie pożogi, drugą wkładał na palec jej pierścień oblubienicy... O, Przedwieczny! czy żaden piorun twój nie spadnie pomiędzy tych ludzi, aby rozerwać związek ten ohydny, bluźnierczy, potworny?

Strasznie w tej chwili wyglądał Jonatan. Oczy

krwią nabiegłe wznosiły się ku niebu, kurczowe drganie wstrząsało twarzą, w dłoni błyskał znowu z za sukni wydobyty nóż. Justus spiesznie za rękę go pochwycił.

— Uspokój się! to, czego tak się lękasz, nie stanie się może jeszcze. Od dawna już Tytus poślubiłby Berenikę, gdyby nie sprzeciwiał się temu ojciec jego, pragnący synów swych połączyć z najdostojniejszymi rodzinami rzymskimi, a przez to powiększyć świetność nizkiego i niespodzianką losu tak wysoko wyniesionego rodu swego; gdyby nie sprzeciwiał się temu patrycyat rzymski, w połączeniu przyszłego cezara z kobietą wschodnią widzący dla siebie ubliżenie; gdyby nie sprzeciwiali się temu sami nawet filozofowie, ogromny tu wpływ wywierający, a gardzący Izraelem za wiarę jego, którą poczytują za zbiór zabobonów ciemnego i nieokrzesanego ludu... Czy wiesz, co spotkało stoika Herasa, który publicznie gromił Tytusa za popisywanie się z miłością swą ku Berenice? Ściętym on został na publicznym placu. Okropniejszy może los spotkał za toż samo Dyonizyusza z Puzyi. W cyrku, wobec stu tysięcy zgromadzonego ludu, wołał on do Tytusa, aby powrócił do opuszczonej przez się małżonki swej, Marcyi Furmilli, a Berenikę odesłał do jej ojczyzny... Dyonizyusza oćwiczono publicznie i z Rzymu wygnano, ale krewni i przyjaciele Marcyi Furmilli pozostali, a obraza ich i chęć zemsty wzmacnia i mnoży nieprzyjaciół

władzy cesarskiej, którzy w Rzymie istnieją jeszcze, a na których czele stoją: pretor Helwidysz i stoik Muzoniusz...

Jonatan opowiadania tego słuchał ze skupioną i chciwą uwagą.

— Justusie! — z wolna i w zamyśleniu zaczął — Rzymianie to więc sprzeciwiają się związkowi temu przez pogardę i nienawiść dla nas... a z pomiędzy braci naszych żaden-że nie znalazł się tak śmiały?

— Jakżeby to być mogło? — odparł Justus. — Ci, którzy Berenikę otaczają, pragną najżywiej związku, w którym widzą wielką chlubę dla siebie i liczne dla ojczyzny naszej korzyści; inni zaś, ubodzy, zboleli, przerażeni, są jako krety, pracujące pod ziemią...

Jonatan nie odpowiedział nic i w głęboką po-grążył się zadumę. Nie przerywał jej Justus, i wpa-trzony w twarz przyjaciela zdawał się nadaremnie smutnemi oczyma szukać na niej śladów pogodnej jego młodości.

Wtem na niewidzialnej z tarasu górnej części schodów, z izby dolnej ku górnej wiodących, uka-zała się Mirtala. Wyprostowana i zamyślona, z tym spokojem postawy i ruchów, który, zdawać się mo-gło, że spłynął na nią z greckich i rzymskich po-sągów, w jednej, podniesionej nieco, ręce, trzymała misę, w zieleń ubraną i owoców pełną, w drugiej, opuszczonej wzdłuż sukni, dzban z czerwonej gliny. Z ognistymi kędziorami, opływającymi twarz białą

i szczuple ramiona, ze spuszczonei powiekami, przed Justusem i Jonatanem stanęła.

— Ojciec mój — rzekła — wychodząc dziś z domu, rozkazał mi, Justusie, uczęstować cię, gdy tu przybędziesz, owocami i winem. Oto są oliwki, daktyle, migdały, figi i wino, na jakie stać było dom nasz.

Rzekła to zcicha, ze słabym, lecz uprzejmym na ustach uśmiechem i, na obu mężczyzn oczu nie podnosząc, oddalić się chciała. Ale zatrzymał ją nagły giest Jonatana. Porywczó, głosem, w którym trudno było gniew od serdeczności rozróżnić, zawołał:

— Nie odchodź! Dlaczego zawsze uciekasz ode mnie? Usiądź tu, chcę na ciebie patrzeć.

Pozostała, lecz nie usiadła. Ramieniem wsparta o balustradę tarasu, nieruchomym wzrokiem patrzyła daleko, w przestrzeń. Justus spożył kilka owoców, wychylił czarę wina i powstał.

— Pora mi odejść. Słońce chyli się ku zachodowi...

Mirtala szybkim ruchem zwróciła twarz ku mówiącemu:

-- Czy myślisz, Justusie, że prędko już... słońce zachodzić będzie?

Justus, z przyjemnością widoczną patrząc na nią, uśmiechnął się i odrzekł:

— Spojrz tam... za tę gromadę płaskich da-

chów, na wysoko zaokrąglające się łuki Germanicusa... Czy widzisz to, co ci ukazuję?

Patrzała w stronę, ku której Justus wskazujący palec wyciągał, i powoli skinęła głową.

— Otóż, gdy wdzięczne i wspaniałe sklepienia te kąpać się zaczynają w takich, jak teraz, jaskrawych światłach, słońce blizkiem jest zachodu. Co ci jest, dziewczeczko? Oczy twoje dziwny przybrały wyraz i zdało mi się, że zadrżałaś?

— Nic to, Justusie. Chłodny powiew zaleciał tu od Tybru, a łuk ten... jaskrawy... obraził mi oczy...

Uśmiech łagodny i uczuciem rozkoszy zaprawny dziwnie wyglądał na zdręczonych ustach Jonatana.

— Nieśmiałą jest ona, Justusie — szepnęła. — Gdy odpowiadała tobie, rumieniec, podobny do powstającej zorzy, lica jej oblał...

— Piękną jest i wdzięku pełną — równie cicho odparł Justus — i z westchnieniem dodał: — Obyś co prędzej na łonie oblubienicy swej uciszyć mógł wzburzone swe serce!...

Po chwili odchodził, i Mirtala uczyniła znowu ruch taki, jakby odejść chciała...

— Pozostań! — zawołał znowu Jonatan.

Stała przed nim zmieszana.

— Usiądź tu przy mnie.

Usiadła na miejscu, które przed chwilą zajmował Justus i, nie podnosząc powiek, milczała.

— Dlaczego unikasz mnie? Obchodzisz się ze mną tak, jakbym ci był obcym. Czyż nie nazywałaś mnie kiedyś bratem swoim? Wzrastaliśmy oboje pod jednym dachem, a ja, starszy, silniejszy, czy wyrządziłem ci kiedy krzywdę jaką?

Gdy mówił to, wzrok jego był miłosny, ale dźwięk głosu szorstki i porywczy. Tak długo snadź wydawał okrzyki bojowe, że znikły z niego brzmienia łagodne i czułe.

— Podniosłaś na mnie spojrzenie swoje! Patrz na mnie, dziewczeczko!... z oczu twych na rany moje spływa balsam gojący...

Istotnie, gdy wywoływał wspomnienia wspólnego dzieciństwa, podniosła na niego wzrok trwożny, ale przyjazny. Lecz w tejże chwili ujął ją za rękę. Wychudła, zczerniała dłoń twardą była i szorstką, czerwone blizny, które ją okrywały, zdawać się mogły plamami krwi. Mirtala znowu twarz odwróciła i powściągnąć nie mogła drżenia, które wstrząsnęło szczupłemi jej ramiony. O! kędyś, w innym świecie, inna wcale ręka, biała, wykwinтна, ujmowała dłoń jej w uścisk tak miękki i słodki, że od niego ku piersi jej wstępowały potoki niewysłowionej rozkoszy...

— Lękasz się mnie, dziecko płochę, nie dające oddać czci, przynależnej mężowi, steranemu w walkach świętych! Nie rozumiesz, jakim dostojęństwem okryje cię Pan, gdy zostaniesz małżonką obrońcy Jego narodu!

Oczy jego płonęły teraz gniewną obrazą, a dłoń bolącym uściskiem obejmowała drobną, pół-dzieciną rękę.

Po chwili jednak zmiękł znowu.

— Czyż zawsze byłem taki, jak teraz, stwardniały w srogiej prawicy Pana, zjeżony kolcami gniewu i popędlivosti? Przypomnij sobie, Mirtalo, wspólną przeszłość naszą. W dniu letnie małej dziewczeczce, bawiącej się przed progiem domu Menochima, przynosiłem nieraz z ogrodu Cezara rozkwitłe róże; w zimie, drżącą i drobną, owijałem ją płaszczem moim. Był dzień, w którym pośród drogi Appijskiej wyrwałem cię z pod kopyt rzymskiego jeźdźca. Ty wczoraj odwdzięczyłaś mi tę przysługę, roztropnie i śmiało zasłaniając mię przed wrogiem. W piersi mojej, Mirtalo, mieszkało kiedyś serce łagodne, a srogim ogniem zapaliły je i powłoką żelazną okryły gniewy wojny i męki tułaczki. Teraz, kiedy na ciebie patrzę, powraca do mnie pogodna młodość moja. Milsza mi jesteś nad źrenicę oka mego; piękne są jagody lica twojego, jak u synogarlicy, a szyja twoja jako klejnoty; usta twe — jabłka granatu, a włosy — szkarłat królewski, przetykany złotem...

Na wychudłą, zczerniałą twarz tę wystąpił wyraz namiętnego rozmarzenia. W zapadłych, ciemnymi kołami okrążonych oczach, błysnął płomień, podobny temu, z jakim pielgrzym spragniony, po wielu dniach spędzonych wśród piasków pu-

styni, przybliżyła usta ku wodom strumienia. Ona odwracała wciąż twarz i z oddali, z oddali słyszała głos, który w dźwięcznej mowie Latynów do niej przemawiał. Odtąd dwa głosy przemawiały do niej: jeden blizki, brzącający twardo i ponuro, drugi świeży, śpiewny, oddalony, tak oddalony, jakby z innego dolatywał świata...

— Krwawa wojna i długa tułaczka uczyniły mię takim, jakim jestem. Lecz minął już dla mnie dzień bojów i mąk. Poślubię cię, oblubienico moja, w ciszy i skromności, jako przystoi czasom niedoli. Nie chcę wieńca na głowę, ani fletów i cymbałów przed ślubnym orszakiem; nie będą cię nieść drużbowie w lektyce błyszczącej i kwiatami włosów twych nie przyozdobią drużki.. samo bowiem wesole zwyciężonego rycerza poważne być powinno i owiane wonią świętego smutku...

Z odwróconą wciąż twarzą, coraz bledsza, Mirtala słuchała tamtego, dalekiego głosu.

— „Pozostań w domu Fanii. Piękność i wesołość ujmą cię w twórcze ramiona, a ja przychodzę i uczyć cię będę sztuki malarskiej...”

Rękę jej ku piersi swej przyciągając, Jonatan mówił dalej:

— Powiodę cię z sobą na ziemię wygnania, wśród której nikt nas nie odnajdzie i nikt nam nie zburzy spokoju. W niskiej, ciemnej chacie, ukrytej przed światem ścianami gór galijskich, ustawimy dwoje krosien, na których ja tkąć, ty haftować bę-

dziesz. Pracą rąk zarabiając na chleb dla siebie i dzieci naszych, przeżyjemy dni nasze, nieznani i zapomnieni...

Głos drugi, daleki, mówił:

— „Uczynię z ciebie drugą Jaję z Kryzykosu... królową będziesz w czarownym państwie sztuki... otoczą cię kołem radosnem wszystkie rozkosze sławy i miłości!...”

— W gorący dzień lata wywiodę cię, małżonko moja, do winnicy, którą własnymi zasadzimy rękoma i, jak Booz i Ruth, zrywać tam będziem dojrzałe grona aż do zachodu słońca.

— Słońce zachodzi!... — z ust dziewczyny wyrwał się nagle okrzyk, przerażeniem prawie dźwięczący. — Puść mię, Jonatanie! słońce zachodzi!

Drobna ręka jej nadaremnie z całej siły targnęła się w żelaznej dłoni jego; nie roztworzył twardego jej uścisku. Wzrokiem tonął w twarzy jej, ponuro znowu, podejrzliwie.

— Dokąd chcesz odejść? Menochim nie wrócił jeszcze z gaju Egeryi... córki Sary nie wołają cię, abyś szła z niemi...

— Słońce zachodzi! puść mię!

— Dokąd chcesz odejść? Mirtalo! Mirtalo!

Głos jego, gdy po dwakroć wymawiał jej imię, zabrzmiał srogo i groźnie.

— Słońce zachodzi!

— Czy z niem razem zajdzie dla ciebie występną nadzieja jaka?

— Słońce zachodzi! puść mię!

— Słuchaj, dziewczyno! — głucho, lecz srogo krzyknął — dlaczego płonisz się i drżysz cała, a w oczach twoich błyszczą łzy i płomień? Dokąd chcesz odejść? Co cię obchodzi zachodzące słońce? Kim był obcy młodzieniec, z którym rozmawiającą widziałem cię w późnej porze wieczora? Czy ty także staniesz się ohydą i hańbą narodu swego? Czy ty... jak Berenika...

Twarz i postawa Mirtali zmieniły się nagle. Z niecierpliwej, błagającej, stała się zawstydzoną, zgnębiającą. Oczy dłonią zakryła.

— Nie, Jonatanie, nie... Nie puszczaj mię, Jonatanie! Zostanę przy tobie, nie puszczaj mię!

Długie, łkające westchnienie pierś jej podniosło. Pochwyciła teraz sama ramię towarzysza dzieciństwa i zdawało się, że pragnie przykuć się do niego. Ale on szorstko odepchnął ją od siebie, a w tejże chwili mignął błysk i rozległ się dźwięk stali. Krótki miecz Jonatana, przy gwałtownym poruszeniu jego, wysunął mu się z za sukni i upadł u nóg Mirtali. Porwała się, odskoczyła i drżąca, ze śmiertelną odrazą w spojrzeniu, patrzyła na mordercze narzędzie, którego Jonatan nie podniósł z ziemi. Wzrok, ostry i świecący, wpijał w coraz bardziej blednącą i ruchem wstrętu pełnym odwracającą się twarz dziewczyny. Pomiedzy nimi wązki promień słońca olśniewające błyski rozpałał w krótkim, zakrzywionym mieczu. Mirtala przymknęła

powieki. Tuż nad narzędziem śmierci zawisło przed jej oczyma narzędzie sztuki: pędzel, z pod którego wypływał kielich białej lilii. W tej chwili na schodkach ukazała się głowa mężczyzny w żółtawym turbanie. Menochim wszedł na taras i, ujrawszy oręż, który Jonatan powoli z ziemi podnosił, drgnął i stanął. Jonatan powstał z uroczystą powagą, surowym głosem rzekł do Menochima:

— Justus był tu. Mówił mi on, ojcze, że poganie sami gromią bezwstyd Bereniki. Dlaczegoż pomiędzy wami nie znalazł się nikt, ktoby słowem śmiałem powściągnąć spróbował zgorszenie, zatruwające dusze naszych niewiast? Niejedna z dziewic izraelskich, ojcze, wstępować zapragnie w ślady Bereniki!...

Na dole kilka kobiecych głosów wołało Mirtali. Dziewczyna szybko zbiegła ze schodów i przed drzwiami domu wpadła w ramiona kilku dziewcząt, które, chwytając ją za ręce, uprowadzić ze sobą chciały.

— Matka zabroniła nam wracać bez ciebie, bo jesteś zawsze pieśczętą jej oczu i nie może ona długo obejść się bez swojej *hoszeb!* — śnieżne zęby ukazując w uśmiechu, mówiła rudowłosa Lia, najmłodsza córka Sary.

Najstarsza z siostr, wysoka, w żółtej sukni i bogatym pasie, Rachel, z dumnym czołem, ocienionem kruczym warkoczem, poważnie głaskała dłonią ogniste włosy niższej od niej dziewczyny.

— Odkąd oblubieniec twój wrócił do domu waszego — mówiła — stałaś się, Mirtalo, zamyśloną i milczącą. Myślisz zapewne o tem, jakim szczęściem obdarzył cię Pan, czyniąc cię wybranką wielkiego męża!...

— Ojciec mój, stary i chory Aron, który wraz z tobą codziennie siadywał w portyku Awentyńskim, przyszedł dziś do domu Sary, aby wraz z Symeonem udać się na Zgromadzenie Święte. Pragnie on także zobaczyć ciebie, bo byłaś zawsze perłą jego oczu, tam, gdzie was oboje otaczali zawsze sami ludzie obcy.

Słowa te wymówiło szczupłe, ubogo ubrane dziewczę, z mizerną twarzą i cierpiącym wejrzeniem dużych oczu. Mirtala, która innych przyjaciółek swoich nie zdawała się wcale słyszeć, zarzuciła ramię na szyję biednej Eli, córki starego, chorego Arona, i długim pocałunkiem usta do białych ust jej przycisnęła. Była to najmilsza jej z rówieśnic i towarzyszek, dlatego może, iż równie, jak ona, improwizować umiała wzory haftarskie i, tak jak ona, nosiła w sobie nieokreślone tęsknoty za czemś, co było może ideałem piękna i niedostępnymi im urokami życia. Średnia córka Sary, mała, żywa Myriam, niecierpliwie uderzała w ziemię dzwoniącym sandalkiem.

— Czy nie zamierzacie — wołała — spędzić przed drzwiami Menochima całego wieczora? Gdy raz otworzycie usta, nie możecie już nigdy nagadać

się do syta! Zamiast całować się z Ela, spojrz na niebo, Mirtalo! Zanim dojdziemy do domu rodziców naszych, słońce zajdzie!

Obejmujące szyję przyjaciółki ramię Mirtali opadło nagle. Wzniosła oczy ku niebu. Z za ciemnych ogrodów Cezara, okrywających stok Janikulu, wypływał biały rożek półksiężyca. Niespokojne oczy przesuwając po twarzach towarzyszek, urywanym głosem mówić zaczęła:

— Idźcie do domu matki waszej... przyjdę tam za chwilę... Teraz iść muszę... muszę... tam, w stronę mostu i łuku...

Uczyniła ruch taki, jakby nie odejść, ale raczej odbiedz, ulecieć od nich chciała; lecz nagle, cała drżąca, z wyrazem męki niewymownej na twarzy, stanęła i obu rękoma uczepiła się ramion i szyi Eli...

— Idę z wami... już idę... prowadźcie mię... obejmij mię, Elo!...

Przed progiem domu Sary Mirtala stanęła znowu i z twarzą wzniesioną spojrzała kędyś daleko, wysoko. Daleko, za płaskimi dachami przedmieścia, wysoko, jakby pod samem sklepieniem nieba, szczyt łuku Germanikusa płonął jeszcze w ostatnich blaskach słonecznych, jak tęcza, spleciona z purpury i złota. Ani na otaczające ją towarzyszki, ani na ludzi innych, których coraz więcej ukazywało się na ulicy, nie zważając, Mirtala giestem rozpacznej tęsknoty wyciągnęła splecione ręce ku punktowi temu, samo-

tnie gorejącemu jeszcze wśród szybko mierzchnącej przestrzeni. Lecz zaledwie towarzyszki jej zdołały wyrzec słowo zapytania, ogarnęła ją i z sobą porwała rzeka ludzi, śpieszących się, tłoczących, popychających wzajem i zcicha, lecz zapalczywie gwarzących. Podobnemi rzekami ze wszystkich ulic i placów przedmieścia lud płynął ku wysoko wznoszącemu się nad domostwa inne domowi modlitwy.

Była to budowa nietylko wysoka, ale i dość bogato przyozdobiona. Zdawało się, że na nią i w nią spływały wszystkie bogactwa, na jakie zdobyć się mogła otaczająca gromada niskich i ozdobności wszelkiej pozbawionych domostw. Bogactwa te wprawdzie, w porównaniu z temi, które gromadziły się w świątyniach z drugiej strony Tybru, były jako drobna kropla wobec wezbranego morza. Niemniej, w zbiorowisku śmieci i kałuż, było to miejsce jedyne, otoczone czystością, pielęgowaną starannie; były to ściany jedyne, na które złożyły się cegły i wapno, a nawet gdzieniegdzie rzeźb pozbawione, lecz różnemi barwami mieniające się marmury. Drzwi szerokie i przyozdobione ognistą miedzią korynecką długo stały otworem, wpuszczając do wnętrza budowy coraz gęściej napływający tłum. Wnętrze to, wysokie i rozległe, oświetlone mnóstwem lamp, jaśniało białością ścian i sufitu, wśród której błyskały tylko pozłacane balustrady, dzielące tę część świątyni, w której zasiadali mężczyźni, od

tej, którą napelniać miały kobiety. U jednej ze ścian wznosił się ołtarz, ujęty w ramy złożonych kolumn, o które wspierały się dwie tablice, zapisane krętymi znakami, a pośród których purpurowa opona zasłaniała półkolisty otwór niszy, przybrany w wieńce z uschłych gałęzi cedrowych i oliwnych. Kręte szlaki liter, wypisane na tablicach ze śnieżnego i jak zwierciadło przezroczystego *phengitu*, były dziesięciorgiem przykazań synajskich; w niszy, za purpurową firanką, spoczywała księga Izraela; uwiędłe gałęzie, wieńczące otwór niszy, zerwane były z cedrów, obrastających górę Libanu, i z drzew oliwnych, wieńczących Syon. Płomyki, gorejące w dwu siedmioramiennych, złożonych świecznikach, obficie oświetlały ołtarz ten i kilku schodami nad marmurową podłogę podniesioną mownicę. Na mownicę wstępowali zwykle mężowie, mający ludowi czytać ustępy Thory, albo też ci, którzy, z dalekiego świata przybywając, opowiadali o dalekiej ojczyźnie, o rozsypanych po całym świecie braciach, o nowych myślach lub pracach, których przedmiotem były religijne wierzenia, społeczny ustroj, polityczne nadzieje zwyciężonego ludu. W chwili tej mownica była pustą, ruch zgromadzającej się ludności jeszcze nie ustał i drzwi świątyni stały otworem. *Moade-El*, zgromadzenie święte, zwolywane tu w celach religijnych lub społecznych, nigdy może jeszcze tak licznem nie było. W późnej porze dnia zgromadził je Symeon dlatego, aby obecnym

na niem być mógł nietylko dostatni i z czasem swym nie liczący się mieszkaniec dzielnicy, ale także, wedle malowniczych wyrażań Thory, „ten, który rąbie drzewo, i ten, który nosi wodę“.

Po jednej stronie złoconej balustrady zasiedli mężczyźni, po drugiej, nad kilku marmurowymi schodami, ławy napelniły się rzędami niewiast. W liczmem zebraniu tem, każde baczne oko dostrzedzby musiało przedewszystkiem jedną szczególną cechę, którą był całkowity prawie brak pokolenia jednego, pokolenia, które przed kilku laty na odgłos wszczynającej się wojny świętej, wywędrowało stąd ku dalekiej ojczyźnie i — nie wróciło. Jedni z nich, na polu walk krwawych, w pożodze, która pochłonięła świątynię, pod karcącym mieczem zwycięzców— zginęli; inni, rozsypani po świecie, wiedli żywot trudny, albo, jako wojenni jeńcy, żyli w ciężkiej u zwycięzców niewoli. W dniach powszednich, w zwykłym torze codziennych zajęć, objaw ten, cechujący pojutrze nieszczęśliwej wojny, mniej uderzał w oczy i serca. Zato, w całej żalobnej grozie swej zjawiał się zawsze, ilekroć tak, jak dziś, gmina zgromadzała się w jednych ścianach i tysiącami razem oczu i serc spostrzegała nieobecność najdroższych sił i ukochań swoich. Smutne też, zamysłone, ponure były długie szeregi twarzy ciemnych, ocienionych żółtymi lub brunatnymi zwojami turbanów; smutno i żalobnie czarne szlaki wily się po białych szalach, opływających ciemne *chitonety*. Mniej

smutnie wyglądało zgromadzenie niewiast. Na tle marmurów, przyozdobiających ściany, jaśniało tam wiele twarzy młodych, świeżych, z których nawet uroczystość chwili spędzić nie mogła rumieńców i uśmiechów. Nad fałdzystymi płaszczami, spływającymi z ramion aż ku ziemi, kołysały się głowy niewiast dojrzałych, w kwiecistych turbanach, albo w barwnych siatkowych czepcach. Ta i owa na głowę, plecy i czoło zarzuciła białą zasłonę, tak, że z pod niej widać było tylko wielkie oczy wschodnie, z ognistą źrenicą, i powściągliwie uśmiechające się usta purpurowe. Tu i owdzie na białem czole połyskiwała złota opaska, z dużą perłą pośrodku, z uszu zwisały drogocenne kolce, po szyi wily się i aż do haftowanego pasa spływały naszyjniki ze szkieł, do dyamentów podobnych. W jednej stronie pobrzękiwały dzwonki sandałków, w innej nad szepty szemrzące dokoła wzbijały się długie westchnienia.

Nagle szepty, westchnienia, stłumione wykrzyki powitań, ciche dzwonenie sandałów i naszyjników niewieścich — umilkły; w ciszę nieskazitelną zamienił się głuchy szmer, towarzyszący zawsze licznemu zgromadzeniu ludzi. Zdawać się mogło, że każdy z członków zebrania znieruchomiał i każda pierś na chwilę powstrzymała oddech. Po schodach, na mównicę prowadzących, wstępował człowiek wysoki, chudy i — rzecz niewidziana tu nigdy — w rzymską tunikę ubrany, z głową nie przykrytą

niczem, tylko zarosła lasem kruczych włosów. Wszystkie nędze ciała i męczarnie ducha patrzyły z twarzy zczerniałej, wychudłej, krwawemi pozna- czonej bliznami; z oczu zapadłych, ze zciemnia- łych powiek, z ust bladych o zarysie udreńczonym, lecz hardym, biła namiętność sroga, nieukojanya, uparta. Stał na mownicy wyprostowany. Wkłęse policzki jego zapłonęły, rozejrzał się dokoła wzro- kiem sypiącym płomienie i, w tył nieco przegięty, jak skrzydła rozpostarł ramiona. W tejże chwili, zanim mowca wydać mógł pierwszy okrzyk, który zdawał się lkać we wzdętej piersi jego, z głośnym trzaskiem i migotliwymi błyskami zdobiącej je mie- dzi, szybko i szczelnie zamknęły się drzwi świą- tyni.

Na zewnątrz cicho było i jasno. Srebrny pół- księżyc, wypłynąwszy z za ciemnych ogrodów Ce- zara, świecił pod szafirowem sklepieniem w oto- czeniu mnóstwa świecących się gwiazd. Zatybrzań- ska dzielnica spała i uspijonemi zdawały się być nawet zamknięte oberże i mieszkania Syryjczyków. Za rzeką, z cicha szumiącą, na siedmiu wzgórzach dźwigając wysoko ciężkie kopuły świątyń i bazylik, ciemne sklepienia łuków i w świetle księżyca sre- brzące się szlaki portyków, Rzym usypiać się zda- wał pod gwiazdzistym sklepieniem, cichym, bo bez- piecznym, snem olbrzyma. Kiedy niekiedy tylko, za rzeką i mostem, kędyś na ulicach i placach Awen- tynu, rozlegał się wśród ciszy, do stłumionego

grzmotu podobny, miarowy tętent wielu stóp ludzkich. Były to wojskowe straże nocne, w różnych kierunkach przebiegające uśpioną stolicę.

W głęboką ciszę tę, w powietrze z lekka rozwidnione światłem półksiężyca, mieszał się głos męski za zamkniętymi drzwiami świątyni, samotnie brzmiały w jej wnętrzu. Murowane ściany i grube odrzwia pochłaniały słowa mówiącego, lecz dźwięki głosu jego, głucho wybijając się na zewnątrz, wydawały się pieśnią, złożoną ze wszystkich tonów, na jakie zdobyć się może pierś ludzka. Wydawały się one nieskończonem jakby recitativem, które chwilami płynęło spokojnie i cicho, to znów szumiało, jak zrywająca się burza, to spieszne, zdyszane, podobnem stawało się do kaskady, lecącej po spadzistości skały; grzmiało bojowemi trąbami, krzychało jękami umierających od miecza, głodu i pożogi, rozpływało się w żal bezdenny, w kwilenie bezsilnego dziecka, lub wściekły płacz zmiażdżonej piersi rycerza. Kiedy niekiedy słowo jakieś lub imię wybijało się na zewnątrz świątyni. Słysząc było wyrazy: wojsko, twierdza, mury obronne, wojna domowa, oblężenie, głód, wycieczki nocne, świątynia, pożar, gruzy, rzezie, ucieczki. Słysząc też było imiona krajów, narodów i pojedynczych ludzi: Rzym, Pont, Syrya, Idumea, Arabia, Egipt, Wespazyan, Tytus, Józef Flawiusz, Jan z Giszali. Znać było, że wiele naraz ludów w sposób różny przyjmowało udział w opowiadany dramacie, że wiele

krajów i miast było świadkami rozgrywających się scen jego, że wielu mężów, na cały świat sławnych, w różnych kierunkach popychać go usiłowało ku ostatecznemu rozwiązaniu. Kiedy po raz pierwszy imię Jana z Giszali wyszło z ust opowiadającego, odpowiedziało mu olbrzymie, kilka tysięcy piersi wzdymające westchnienie. Na dźwięk imienia największego z wodzów, najzagorzalszego z gorliwców, najwytrwalszego z obrońców Syonu, wszystkie serca uderzyły głośno i piersi głęboko westchnęły. Potem znieruchomiały znowu, zasluchane w kamiennej ciszy.

Godziny upływały; nagle głos opowiadającego, jak ziarno piasku w nadlatującym tumanie kurzawy, znikł w ogromnym okrzyku tłumu, który zmienił się w długi, bezładny, namiętny gwar mnóstwa głosów. W tłumie ściśniętym murowanemi ścianami coś zakipiało i wrzało coraz goręcej i głośniej.

Na mownicy stojąc, Jonatan kończył opowiadanie nie tylko wojny stoczonej i zakończonej klęską, ale i własnej także ucieczki z rąk wrogów, długiej, kilkoletniej tułaczki po niegościnnych miastach Syrii, morzach i wyspach Grecyi, skwarnych i bezludnych pustyniach Afryki. Kończąc, podniósł twarz, wysoko wznosił ramię i w dłoni kurczowo ściśniętej ukazał krótki, zakrzywiony miecz Jana z Giszali. Wszyscy powstali. W upalnym powietrzu ogromnej sali, w obfitem świetle lamp, nawal głów

i ramion ludzkich cisnął się ku mownicy. Wszystkie usta były otwarte, wszystkie oczy wzniesione w górę, tam, gdzie nad ludzkim oddechem górując, Jonatan, z kapłańską jakby dostojnością w postawie, ku oczom i ustom zbliżających się pochylał lśniącą, ostrą, obosieczną pamiątkę wielkiego męża. Nie mówił teraz nic; oni w zamian, mówiąc, jęcząc, oglądali oręż, dotykali go, przyciskali do niego swe usta. Zapominając o najważniejszych obrzędowych przepisach, niewiasty zmieszały się z mężczyznami i cisnęły się także ku relikwii narodowej. Były tam matki, żony, siostry tych, którzy zginęli, walcząc u boku Jana z Giszali. Na zimnej, lśniącej powierzchni stali kładły się usta młodzieńców i dziewcząt, zlewał ją deszcz łez, kapiących z oczu przygasłych, zboleiałych. Byli tacy, na których twarzy wybijała się walka. Odraza, uczuwana do mordów i krwi, zasada jakaś wysoka, w jednym z rozmaitych strumieni tradycji narodowej zaczerpnięta, pochylając się nad mieczem głowy przejmowała wstrętem.

Goryasz, wyznawca łagodnej nauki Hillela, po razy kilka schylał się nad orężem bohatera i po razy kilka odwracał od niego twarz cierpiącą; aż nakoniec jedno z walczących w nim uczuć zwyciężyło i usta jego długim, miłosnym pocałunkiem spoczęły na zimnej stali. Jednak zaraz wyprostował się, ku ołtarzowi wyciągnął ramiona i z wybuchem bólesci krzyknął:

— O, Przedwieczny! patrz, co z narodem Twoim

uczynili jego wrogowie! Oto całuje on narzędzie śmierci i cześć oddaje ostrzu przelewającemu krew!

— Najsroźszą z krzywde, zadanych przez zwycięzców, jest, o Goryasz, w duszę ludu zwyciężonego wlany jad nienawiści.

Słowa te szeptem zdławionym wymówił Justus, którego oczy chciwie jednak utkwiły w mieczu Jana z Giszali.

W tejże chwili rozległ się grzmot kolan, padających na klęczki, i ciała, które runęły na ziemię. Odmet twarży starych i młodych, męskich i niewieścich, zniknął, bo wszystkie czoła dotknęły marmurów posadzki, a w upalnym powietrzu i dymnem świetle sali wybuchnął olbrzymi śpiew:

— „Wilcy i niedźwiedzie spustoszyli mi ziemię, ziemię, będącą radością moją, i mnie zawiedli w niewolę, a nikt nie bronił mię i nikt sprawy mej nie sądził. I oto jestem jako kruk czarna, ja, której białą była, jako gołębica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

— „O jakżeś, Najwyższy, poniżył swe dzieci! Chwała Twoja opuściła świątynię naszą, i obcy rycerze igrali z Arką Przymierza. I oto jestem jako kruk czarna, ja, której białą była, jako gołębica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

Jonatan, wyprostowany i milczący, stał na mównicy, powoli i głęboko oddychając, jak ktoś, co spoczywa po dokonaniem dzieła. Pogoda, z dokonanego dzieła płynąca, okrywała mu twarz roz-

ognioną. Uczynił to, co w mniemaniu jego było zadaniem świętem; słowami swemi rozplomienił ducha ludu dla sprawy, której orężem bronić już nie mógł. Z dumą wodził wzrokiem dokoła świątyni, aż zatrzymał spojrzenie na postaci niewieściej, która sama jedna wśród pochylonych głów stała za połyskującą złoceniami balustradą, nieruchoma, wpatrzona w niego oczyma, w których przerażenie mieszało się z uwielbieniem. Tłum, który przed chwilą cisnął się był ku mownicy, nie porwał jej za sobą. Obu ramionami uczepiła się poręczy balustrady i nie dała się porwać fali, gwałtownie spadającej z marmurowych schodów. Grozą nieprzewycięzoną przejęły ją roztaczane przez Jonatana obrazy mordów i klęsk. Za nic, za nic w świecie nie zdołałaby zbliżyć się do człowieka tego i choćby końcem palca dotknąć lśniącej stali, która tysiące razy nurzała się kiedyś w krwi ludzkiej. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, krwawa mgła zaćmiewała oczy, i tylko drobne dłonie kurczowo ścisnęły poręcz metalową, będącą w tej chwili podporą jej i obroną. Jednakże oczu pełnych przerażenia, zmieszanego z czcią, oderwać nie mogła od człowieka, który tak długo walczył i cierpiał. Aż nagle powiodła spojrzeniem po falującym morzu schylonych ku ziemi ciał i głów ludzkich. Niezmierna litość, dojmujące współczucie rysami jej wstrząsnęło. Osunęła się na klęczki, czołem uderzyła o złoconą poręcz i lzy

gradem lały się z jej oczu, gdy w upalnym powietrzu świątyni huczały ostatnie strofy pieśni:

— „Dokąd-że, Panie, dokąd-że gołąbkę Twoją więzić będą sieci ptasznika? Tyle już wiosen i tyle zim minęło, odkąd drży ona pod ostrzem miecza, w lwich zębach i w jarzmie wroga. I oto czarną stałam się, jako kruk, ja, któram białą była, jako gołębnica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

VI.

O Polu Marsowem istniała w Rzymie stara legenda, wcale niepodobna do tej, która urokiem poetycznych wspomnień uświęcała gaj Egeryi. Tam liście drzew i fale strumienia opowiadały o dobroczynnym królu-prawodawcy i dobrej wieszczce jego. Tu zbrojne hufce, zgromadzające się do wojennych ćwiczeń i przeglądów, szczękiem oręża i gwarem udawanych bitew, przez długie wieki przypominały krwawe walki ludu, wyzwalającego się z pod okrutnej dłoni Tarkwiniusza Pysznego. Wymowny dziejopis rzymski opowiada tę legendę następujemi słowy: „Sprawa własności Tarkwiniuszowej wytoczyła się przed rozpoznanie senatu. Zapalczywy gniew wziął nad innymi względami górę... Łan Tarwiniuszowy, pomiędzy Tybrem a miastem, poświęcono Marsowi, a właśnie pod ową porę okrywało go bujne, pod sierp dościgłe zboże. Nasłany tłum wszystko do pnia wykosił, a kłosy z ziarnem do szczętu w Tyber wrzucił. Nurty żniwo to na mieliznę zniosły, tam

je napływ mułu stężył, aż zwolna powstała wyspa, która dziś świątynie i krużganki dźwiga“.

Że następca dobrego Numy może być srogi Tarkwiniusz, była to dla ludu rzymskiego nauka, z której korzystał on przez długie wieki. Wszystko minęło. Brzęki mściwych sierpów, ścinających Tarkwiniuszowe żniwo, aby je na znak ohydy pogrążyć w nurty rzeki, czas zmienił w echo, coraz słabiej brzmiące w uszach i sercach odległych pokoleń. Lecz żyła jeszcze szczupła garść ludzi, w których pole, noszące imię boga wojny, i wśród rzeki wznosząca się wyspa, utrwały pamięć o rzadkiem dziejowym zdarzeniu, jakim była zwycięska walka słuszności z przemocą.

Cesarski Rzym wrzawą wezbranego życia i blaskiem ogromnych bogactw napełniał dziś dawny łąn Tarkwiniuszowy. Z jednej jego strony, za złotym pasem rzeki, spiętej drogocennymi klamrami mostów, a migotliwym niby klejnotem, połyskującej wyspą, „dźwigającą świątynie i krużganki“, szerokim szlakiem bazaltowym sunęła droga, Tryumfalną zwana, a ponad nią wzgórze Watykańskie rysowało na błękitach nieba faliste skłony i spuszczało ku rzece ciemne gęstwiny ogrodów, usiane srebrzącymi się w słońcu ścianami lekkich gmachów.

Naprzeciw rzeki z mostami i wyspą, drogi Tryumfalnej i okrywających Watykan ogrodów, ze stoków Kwirynału i Kapitolu, ulice szerokie, stężała lawą wysłane, nieprzejrzany szeregami pała-

ców i arkad staczały się aż ku brzegom rozległej przestrzeni, okrytej wiosenną zawsze zielenią murawy, owianej świeżością mnóstwa wodotrysków, których perliste szmery łączyły się z szeptami wawrzynów i mirtów, a brylantowe deszcze spadały do stóp śnieżnych albo złoconych posągów, wydających się zaklętym w nieruchomość, dramatycznym tłumem bogów, bohaterów, mocarzy i wieszczów. Słupy i snopy wód były z olbrzymich muszli, które w brązowych dłoniach dźwigały trytony, z rozwartych paszcz delfinów, z czar, które w smukłych ramionach wznosiły dziewicze Nereidy.

Pośród wiosennej murawy, w ramach bukszpanów i fiołków, okrążając mirtowe i wawrzynowe gaje, mnóstwo ścieżek wiło się i przybiegało do stóp największego z portyków Rzymu, dwupiętrowej galeryi, tak szerokiej, że w dole czterokonne wozy wymijały się w niej z łatwością, a w górze mieścić się i przechadzać mógł tłum wielotysięczny. Wielki portyk wybiegał z nad brzegu rzeki, koronkowym szlakiem kolumn i rzeźb przerzynał wszerz dawny Ian Tarkwiniuszowy i znikał aż pod stokami wzgórza Kapitolińskiego, za potężnymi, owalnymi ścianami Flamińskiego cyrku. Tu, dokoła cyrku Flamińskiego tłumnie cisnęły się budowy, rozmia-rów i przeznaczeń różnych. Świątynie Herkulesa i Minerwy, wojennej Bellony i egipskiej Izydy, Panteon z wielką, wydętą kopułą, ogromne łaźnie Neron, pół-okrągłe *krypty* trzech teatrów, rzędy ar-

kad, napełnionych drogocennymi towarami, pałace możnych, wszystkie, w różnych czasach i dla celów różnych wznieszone dzieła architektonicznej sztuki, tworzyły nieprzejrzaną gęstwinę marmurów, bronzów, kości słoniowej, drogocennych metali, ociekających malowidłami i rzeźbą.

Dachy portyków i krużganków pałacowych dźwigały jakby napowietrzne ogrody, okna świątyń i górnych pięter pałaców jaśniały kryształowemi szybami i powiewały różnobarwnemi zasłony; słupy arkad wystawiały na widok publiczny nieobliczone bogactwa kobierców i tkanin wschodnich, greckich naczyń, złotych, srebrnych, wyrzeźbionych, malowanych, aleksandryjskich szkieł i kryształów, w przeróżne wylewanych kształty; mozaiki, drogie kamienie, perły, bursztyny, onyksy, agaty, szyldkret, kość słoniową, ujęte w kunsztowne dzieła stolarskiej, snycerskiej i złotniczej sztuki.

Taki dziś miała pozór część owego Tarkwiniuszowego łanu, który niegdyś szemrał zasiewaniem na rzecz królewską zbożem. Lecz inną część jego zwycięski lud, który ściał do szczętu i w nurty rzeki rzucił królewskie zboże, przeznaczył był na dopełnianie najważniejszych czynności publicznego życia swego: na wojskowe przeglądy lub ćwiczenia i sejmy, obierające konsulów, dyktatorów, cenzorów, trybunów, pretorów, edylów, wszystkich słowem tych, którzy z wyboru ludu sprawować mieli rządy państwa i kierować jego losami. Część tę

pola, poświęconego Marsowi, z jednej strony obrzeżał Tyber, z drugiej do lasu podobne ogrody Pompejańskie i Lukullusowe; z trzeciej — ulica Szeroka (via lata), obiegająca stopy wzgórza Kwirynalskiego. Miejsce to nosiło nazwę *Septów*, a było otwartym i rozległym placem, który od brzegu do brzegu napelniały niegdyś orężne brzęki rycerstwa, albo skłócone gwary wolnego ludu, czyniącego tu użytek z najważniejszej ze swobód swoich. Pierwszy Oktawian-August miejsca tego użył na widowiska publiczne, jednające dla niego tłumy burzliwe i wrażeń namiętne żadne.

Przez Augusta zbudowana, wielka droga Flamińska szerokim pasem sunęła pod lesistą zielenią ogrodów Pompejańskich, a u brzegu jej, niby olbrzym wyprostowany, pod błękitny nieba wzbijał się śnieżny grobowiec Augusta, z nieruchomo gorejącą pod błękitami, ogromną kulą złotą.

Jak akord muzyczny, zgodnie odpowiadający akordowi innemu, w znacznej od grobowca odległości odpowiadał mu obelisk słońca, na którego strzelistym szczycie, w postaci potężnego młodziana, z długimi włosy i siedmiopromienną na nich koroną, z lirą w rękę a kijem pasterskim u stóp, stał bóg światła, obfitości, młodości i twórczych natchnień — Febus Apollo. U stóp tego to obelisku, całą rozległość dawnego miejsca sejmowych obrad kolisto otaczając, wzniosły się, w amfiteatr zbudowane, wielopiętrowe schody, a u dołu stanęły

obszerne, purpurą i zloceniami zdobne, trybuny i łoże.

Najpodeszlejsi w wieku starcy przypominali sobie, że, za czasów dzieciństwa ich, w tem samem miejscu, Oktawian-August radował lud widokiem igrzysk Trojańskich. Teraz znowu, na rozległej arenie, zasłanej miękkim kobiercem murawy, ujrzeć miano igrzyska, w których brali udział nie najemni kuglarze i skoczkowie, nie cyrkowi woźnice, nie gladyatorowie w niewoli urodzeni, nie ulubieni nawet muzycy i deklamatorzy, ale świetna młodzież dwóch najwyższych w państwie stanów: synowie senatorskich i rycerskich rodzin. Na czele zaś jej, księciem młodzieży w igrzyskach tych mianowany, znajdować się miał syn cesarski, niedawny zwycięzca Judei, pięknnością, męstwem i talentami wsławiony Tytus — przyszły Cezar.

Pierwsza godzina dnia upływała. Słońce, za wzgórzem Kwirynalskiem wschodzące, żółtem światłem napelniło wewnątrz głębokiej kotliny, której ściany od szczytu do dołu wysłane już były postaciami, ubiorami i twarzami ludzi. Przez noc całą pole Marsowe szumiało morzem ludności, oczekującej nadejścia dnia, i której część znaczna, przy pierwszych już brzaskach świtu, z radosnym hałasem stłoczyła się na kolistych ławach. Czternaście ław, dla rycerskiego stanu przeznaczonych, napelniło się już po brzegi, lecz dostojność postaw i gierców, właściwa ludziom wyższych warstw społecz-

nych, jako też gorliwa nad nimi pieczołowitość „designatorów“, urzędników, wskazujących miejsca i dogląających porządku, nie dopuszczały tu tłoku tego i hałasu, który kipiał na piętrach wyższych, zaludnionych tłuszcą kupców, fabrykantów, rzemieślników, wyrobników, czeladzi fabrycznych i dworskich, nadewszystko zaś żołnierzy. Niepodobna było w tłumie tym odróżnić rodowitych Rzymian i dawnych lub świeżych przybyszów z Grecyi, Syryi, Azyi Mniejszej, z Afryki, Hiszpanii, z niedawno podbitej Galii i Brytanii, z napół podbitych, sprzymierzonych prowincyi germańskich. Pośród potomków starożytnych Kwiryków, śniadolicych, o wązkich czołach i postawach dumnych, pośród Greków, zwinnych, strojnych, gadatliwych, i Syryjczyków z chytrym wzrokiem i cynicznemi twarzami, mieszał się barczyści i ociężała Kapadocja, czarni Numidzi, biali, płowi i silni Germanie, żwawi, weseli, dziwnie szybko cywilizacją rzymską wchłaniający w siebie Gallowie, pół-dzicy, ponurzy Brytowie, Hiszpanie o gorejących źrenicach, sprężyści i szczupli Partowie, żółtoskórzy, mądrzy, o przebiegłych oczach i sarkastycznych uśmiechach Egipcjanie, z których niejeden zapewne, spoglądając na otaczające go przepychy i obrządki, z dumą potomka wielkiego rodu, pierwszy początek ich wywodził ze swej ojczyzny. Wschodnie podanie o wieży Babel sprawdzać się zdawało w tem zbiorowisku najrozmaitszych plemion i języków, które podbój, żądza uży-

cia, przeróżne interesa i nieprzewyciężona siła pociągu, przez cywilizację wyższą na niższą wywierana, zgromadziły w stolicy świata.

W chaosie tym czuć było spajającą go w karną całość siłę miecza. Czuć ją było w ogromnej ilości żołnierstwa różnej broni i różnych plemion, które dziś, z ludem zmieszane i wraz z nim igrzysk oczekujące, panowało nad nim butą, dumą, śmiałością słów i poruszeń, gotową zdeptać wszystko, coby jej nie podobać się mogło, wiedząc o tem, że uczynić to jej wolno bezkarnie.

Zaprawdę! najwyższym wodzem i sędzią ich był Cezar. A któż, jeśli nie oni, Cezarem go uczynili? Kto, jeśli nie oni, utworzyli dla Pallatium żelazny fundament, na którym stało ono bezpiecznie? Czy tylko oni? A! i ta tłuszcza jeszcze, która w tej chwili, na widok wchodzącego do jednej z łóż cesarskiego syna, szaleje okrzykami, na cześć jego wydawanymi; — i te tam gromady bogatych wykwintnisiów, próżniaków, hulaków obu płci, które teraz dopiero zaczynają napelniać łoże i trybuny olśniewającym bogactwem swych strojów i gwarem pustych i błahych rozmów, ale nie te, o! najpewniej nie te trybuny i łoże, które powoli i jakby niechętnie zajmować zaczynają mężowie i niewiasty, dziś nawet, w dniu igrzysk, w dniu Apollina, nie rozebrani z powagi, z surowości, z zamyślenia, w którego głębi kipią wieczne i nieprzejednane bunt. Tych mieczem i wygnaniem dziesiątkowały

już podejrzliwe i mściwe dłonie dziewięciu poprzednich cesarów, a jednak — żyją jeszcze, tu są także i na chmurnych ich czołach wić się zdaje dalej i dalej w przyszłość promień ten, który przed wiekami połyskiwał w sierpach, ścinających królewskie zboże na łanie Tarkwiniuszowym...

Trybuny i łoże były już prawie napelnione. W jednej z nich, Cestyusz, wódz wojsk zwyciężonych w Judei i zażarty wróg judejskiego plemienia, w śnieżną i złotem szytą latiklawę owinięty, wspierał się o bogato haftowane poduszki, ponury i rozjątrzony, pomimo licznego otoczenia, z osób obu płci złożonego. Nieustannie zato, głośno, po łacinie i grecku szczebiotała Kaja Marcya, tuląca w objęciu nieodstępną swą psinę; u odkrytego łona innych niewiast tuliły się karzelki, małpki, papugi, nawet uczone gołębie i szpaki; leniwy Stella powiewał szerokimi rękawami przezroczystej, niewieściej szaty; wytworny Karus rozsiewał mocne zapachy perfum; poeta Marcyalis układał złośliwe epigramata, które hucznym śmiechem napelniały licznie zaludnioną łożę.

Niedaleko stamtąd, oczy wielu ludzi zwracała na siebie wyniosła Fania, żona pretora. Kilka tylko wielkich rubinów krwisto błyszcząco w kruczych jej włosach, z których spływająca srebrzysta zasłona lekkim obłokiem owijała jej kibić. Otaczało ją ludzi wielu: niewiast dojrzałych, dziewic młodych, mężów w brunatnych płaszczach i z długimi

brodami, w których poznawano filozofów. W łoży tej, postawy i giesty spokojne, powściągliwe, wierne przedstawiały surowy typ plemienia rzymskiego. Rozmowy toczyły się tam przyciszone, niemniej żywe i pełne ognistych błysków źrenic. Fania, uprzejma i na każde słowo otoczenia swego uważna, niespokojną jednak wydawała się i bledszą, niż zwykle. Helwidyusza przy niej nie było. Jako pretor, musiał on z wierzchołka wysokiej bramy dać znak rozpoczęcia igrzysk. Bez znaku, przez niego danego, rozpocząć się nie mogły. Cezar Wespazyan nie przybył jeszcze. Czy popędliwy i litery prawa ściśle przestrzegający Helwidyusz, pozwoli rozpocząć igrzyska w nieobecności Cezara? Postawa i twarz Fanii były spokojne, ale serce jej pod miękkimi zwojami śnieżnej *stoli* uderzało gwałtownie. Do młodzieńca, tuż za nią stojącego, zwracając się, rzekła zcicha:

— Czy mógłbyś, Artemidorze, dotrzeć do wyjścia i Helwidyuszowi zanieść ode mnie poselstwo, które ci powierzę?

— Spróbuję, domina — szybko odparł malarz. — Co mężowi twemu powiedzieć mam od ciebie?

— Powiedz mu, że proszę... aby pamiętał o małym Helwidzie naszym...

Artemidor, z uszanowaniem skłoniwszy głowę, opuszczał łożę pretora, ścigany wzrokiem jednej z młodych dziewcząt, otaczających Fanię, i ognistymi spojrzeniami bogatej Fulwii, którą, po krót-

kim, lecz głośnym w Rzymie związku miłosnym, opuścił był przed rokiem. Piękna ta i wysoko urodzona żona bogatego wyzwolenca przepych stroju swego i powaby nie ukrywanej wcale zalotności roztaczała w tej samej trybunie, w której Eliusz Lamia wesołością huczną i o nic, zda się, nie dbającą zwracał na siebie uwagę publiczną. Odkąd jeden z synów Cezara uwiódł i porwał mu żonę, stał się on przedmiotem mnóstwa rozmów, ciekawości, ubolewań i szyderstw. Wiedział o tem. Z niedbałymi ruchami wielkiego pana, nie troszczącego się o gwary gawiedzi, w stroju człowieka, który zbyt młodym i możnym czuł się, aby cios doznany o rozpacz go mógł przyprawić, ukazał się on w trybunie z otoczeniem licznem i wesołem, promieniący, swobodny, świetny.

Głośne i z lekka tylko ironią zaprawne żarty jego slyszeli nawet ludzie z dala siedzący; z zapalem deklamował miłosny wiersz jakiś, świeżo przez spólczesnego poetę utworzony, pochylał się nad Fulwią i w słowach zalotnych wyrażał podziw swój nad pięknoscią jej i z kolei nad okrywającymi ją klejnotami. I raz tylko, raz jeden w chwili, gdy syn Cezara, Domicyan, blade i lysiejący młodzieniec, otoczony mnóstwem dostojników, pomiędzy którymi przeważali ludzie w wojskowych ubiorach, ukazał się wśród purpury i złocień łoży cesarskiej wesołością upojona twarz Lamii wyglądała tak, jakby na mgnienie oka zsunęła się z niej ma-

ska. W tem mgnieniu oka, szybkim, jak błyskawica, ukazała się ona zmiętą i rozplomioną rozpaczą i gniewem. Z rozgorzałych nagle oczu znieważonego na niezdrową i złośliwą twarz uwodźciela strzeliło spojrzenie, pełne nienawiści ponurej i wścieklej; wnet przecieź, bardzo szybko, wesola maska okryła znowu twarz Lamii i tylko wzrok jego ostygł powoli, bo spotkało go wiele spojrzeń przyjaznych, dających zrozumiałe dla niego znaki porozumienia i jednomyślności.

Jedna już tylko trybuna pustą była. Obszerna i niemniej bogato od cesarskiej przystrojona, zwracała wciąż na siebie uwagę powszechną. Dlaczego dotąd nie napelnili jej grono ludzi, oczekiwanych przez publiczność z ciekawością najwyższą? Wiedziano powszechnie, kto w niej ma zasiąść. Dlaczego nie przybywała ta, której imię było dziś na wszystkich ustach? Czy zatrzymywało ją dotąd w łożu lenistwo wschodnie? albo, w marzeniach o cesarskim kochanku, zapomniała o dzisiejszej uroczystości obcego jej ludu? Może od zwierciadła oderwać się nie mogła, pragnąc pięknoscią swą wywołać dziś z ust oblubieńca słowo, na które oczekiwała od dawna, i zdobyć przyjaźń narodu, którego panią zostać pragnęła? Z wewnątrz nie widać było orszaków, do amfiteatru przybywających. Wchodziły one do łoż i trybun, przez liczne kurytarze, ułatwiające napływ i odpływ ludności. Jednak, naraz, wiele tysięcy oczu, za lekkim ażu-

rem zawartej bramy, ujrzało przebiegający szereg ludzi, biało ubranych i podnoszących w rękach topory, owinięte pękami różg. Byli to liktorowie, którzy, sznurem jeden za drugim biegnąc, poprzedzali kilkanaście wspaniałych lektyk, otoczonych konnym oddziałem Germanów, zbrojnych w łuki, okrytych zwierzęcymi skórami i na wiatr puszczających grzywy płowych włosów. Tak zjawiał się zawsze na ulicach Rzymu orszak Żyda Agryppy, króla darowanego mu przez władców rzymskich malutkiego państewka, Chalcydy. Fantazyjnem niemal królowaniem tem dzielił się on z siostrą swoją, i wraz z nią — może przez nią — używał najwyższych tu honorów i insygnii: liktorów, szat senatorskich i wojennych straży. Orszak ten przemknął za lekkim ażurem zawartej bramy. Natomiast u szczytu marmurowych schodów, spuszczających się ku pustej dotąd trybunie, ukazała się olśniewająca postać kobieca, i kto wie, jakim uczuciem zdjęta, nieruchomo przez chwilę stała.

Czy w dniu, który stanowczo rozstrzygnąć miał jej losy, widok obcego ludu zbudził w sercu jej lub sumieniu śpiącą zazwyczaj trwogę lub zgryzotę, albo też raczej chciała ludowi temu ukazać się w całym przepychu piękności swej i pozwolić, aby przez chwilę mógł on od stóp do głowy objąć wzrokiem postać swej przyszłej pani? Nie była już młodziutką, i ten to właśnie wiek dojrzały, w jakim się znajdowała, nadając kształ-

tom jej siłę i pełność rozkwitu, przyoblekał je w przepych istotnie królewski. Siła i duma były od jej postaci, a z rysów jej i ubioru wiał Wschód. Kto wie, jaką myślą, czy jakim uczuciem powodowana, w Rzymie i z Rzymianami żyjąc, nie opuszczała nigdy stroju żydowskiego. Zapewne, z przebiegłością kobiety, która czarować umie i pragnie, odgadła, że on-to najlepiej wdziękom jej przystawał; w nim przecież po raz pierwszy ujrzał ją Tytus.

Z silnych, cudownie utoczonych ramion płaszcz, olśniewający wschodniem splątaniem wzorów i barw, spływał aż do skraju sukni, przewiązanej bogatym pasem. Na śnieżnej piersi, której nie osłaniała wzorzysta tkanina płaszcza, w kilku zakrętach wil się aż do pasa gruby łańcuch złoty, z uczepionym u ogniw rojem drobnych księżyców, gwiazd, węzłów, gadzin. Ramiona jej owijały złote węże, w których wnętrzu, jak wszyscy o tem wiedzieli, kryły się, w kształcie tajemniczych napisów, przyciągające szczęście talizmany wschodnie. Z pod złotej opaski, usianej rosą drogich kamieni, olbrzymie warokocze tak czarne i lśniące, że krucze włosy Rzymianek wobec nich pogasły, migocąc wplecionymi w nie złotymi węzłami, opadały na plecy, piersi, ramiona, aż do skraju płaszcza, mieszając się i plącząc z dyamentowemi kolcami, z błyszczącemi fręzlami pasa, u którego zwieszały się dyamentami

sadzone a wonnościami napełnione flakony i pełne złotych monet, misternie z pereł plecione sakiewki.

Żadna z niewiast rzymskich nie nosiła takich płaszczów, pasów, łańcuchów i puszczonech na wolę warkoczy; żadna z nich, najbardziej rozkochana w zbytku, nie okrywała się takim mnóstwem barw, wzorów, drogich kamieni i metali. Żadna też, najzalatniejsza, nie miała w twarzy tego wyrazu pół-sennej, rozmarzonej, kornej namiętności, który przemawiał i wabił ze śniadego czoła, z uczernionych powiek, z długiej, falistej rzęsy i pół-otwartych, zmysłowych oczu Bereniki. W przepychach blasków i barw rozkochany, pół-senny, lubieżny Wschód Daryuszów, Sardanapalów i Salomonów, zdawał się spływać w łono rzymskiego plemienia pod postacią kobiety tej, na której widok, przez chwilę, Amfiteatr zalegała cisza grobowa, aż w górze, na piętrach najwyższych, wybuchnęły grzmoty oklasków i krzyków. W górze, na piętrach najwyższych, zmysły czarująca piękność jej i przepych stroju dokonały podboju zmysłowej i bogactwo wielbięcej tłuszczy.

— Witaj, Bereniko! Zdrowia i szczęścia Berenice! Sophos! (brawo) sophos! sophos!

Tak huczał w górze lud różnoplemienny, wrzeń chciwy, synowi Cezara przypodobać się żądny; dłonie tam klaskały, głowy falowały, ramiona miały się, powiewając w powietrzu różnobarwnymi chustkami. Ławki środkowe, napełnione rycerstwem,

z rzadka tylko wtórowały temu zapalowi tłumów; na dole, w trybunach i łóżach patrycyuszów, męskie i niewieście postacie pograżyły się w nieruchome milczenie. Zaledwie tu i owdzie dworak jakiś powitał wchodzącą powstaniem z miejsca i uprzejmym giestem ręki; prawie na plecy skrzywionego Cestyusza wspinając się, Kaja Marcya wydawała donośne okrzyki podziwienia; czoła filozofów i senatorów schmurzyły się, poważne niewiasty spuściły powieki, po ustach wykwintnisiów nawet i zalotnic mknęły wzgardliwe uśmiechy. Oklaski i krzyki w górze trwały jeszcze, gdy Berenika, w pół-leżącej postawie, zasiadła pośród szkarłatnych, złotem i perłami haftowanych poduszek, w otoczeniu liczego grona kobiet, w bogaty strój wschodni przybranych.

Z innej strony trybuny zasiedli jednocześnie z nią przybyli mężczyźni. Tu panowały wyłącznie ubiory rzymskie. Agryppa, w senatorskiej latiklawie, zimny, milczący, pozór miał Epikurejczyka, nie pozwalającego żadnym sprawom świata wstrząsać wykwintnym jego spokojem. Obok niego, lecz wcale do niego niepodobny, ukazał się Józef, Żyd, który, na znak hołdu dla panującej w Rzymie rodziny Flawiuszów, przybrał nazwisko Flawiusza — ex-rządca Galilei, pisarz sławny z dzieł pisanych po grecku, w których naprzemian schlebiał zwycięzcom i wysławiał zwyciężony swój naród, zło-rzecząc i oczerniając tych z pomiędzy rodaków

swoich, którzy śmieli podnieść rękę przeciw potędze Rzymu, budzącej w nim cześć szczerą i czolobitną. Dwoistość uczuć i charakteru malowała się wyraźnie w postaci i rysach Józefa.

Przyjaciół Agryppy, cieszący się łaskami królewskiej rodziny, zasiadł on w jednym rządzie z królem Chalcydy; za dwoma tymi ludźmi, najwybitniejszymi pośród przebywającej w Rzymie arystokracji żydowskiej, zasiadło i stanęło liczne grono bogatych i wpływowych Żydów, których najwybitniejszym typem był opasły i doskonałym zadowoleniem z siebie jaśniejący, w rzymską togę ubrany, złotem i klejnotami u piersi i rąk błyszczący bankier Monobaz. On i kilkunastu podobnych mu ludzi przedstawiali w Rzymie tę część narodu żydowskiego, która w ojczyźnie swej nosiła nazwę Saduceuszów. Posiadacze znacznych majątków, potomkowie starożytnych rodzin, przyswoili oni sobie do pewnego stopnia greko-rzymską oświatę, w obyczajach naśladowali zwyczajów połowy świata, korzyli się przed potęgą, rozdającą wszelkie zaszczyty i dobra, filozofowali trochę, ze szkoły Epikura czerpali wyłącznie naukę spokojnego używania rozkoszy ziemskich, w białych i klejnotami zdobnych rękach żwawo i biegle obracali ogromne bogactwa. Każdy z nich przywiódł tu z sobą synów swych, krewnych, skrybów, pomocników i pierwsze sługi swego domu.

Ogromny orszak, nie mniejszy od tych, które

dokoła patrycyuszów składali klienci i ich słudzy, zaległ obszerną trybunę Agryppy, a z pomiędzy niego, prostotą postawy i stroju, jako też cichym smutkiem oblicza, wyróżniał się Justus. Najmilszy mu snadź czy najważniejsze czynności u boku jego pełniący, zajął miejsce najbliższej Agryppy i z za festonów szkarłatnych opon zamysłonem okiem wodził dokoła. Nagle, uczucie zdziwienia i trwogi wstrząsnęło spokojnymi jego rysami, a z ust wyrwał się szybko stłumiony wykrzyk. Spojrzenie jego, zwolna rozglądające pstrą mieszaninę ubiorów i twarzy, spotkało się z postacią dobrze sobie znaną, którą dlatego może spostrzegł, że była mu drogą i że przyoblekały ją cechy, wyróżniające ją z otaczającego tłumu. Na jednej z najniższych, gminowi wyznaczonych ław wysoki i chudy człowiek w podartej sukni nie siedział, ale stał i tak pochylał się naprzód, jakby wnet, ruchem rozjuszonego tygrysa, rzucić się miał na zieleniejącą w głębokim dole arenę. Oczy jego zapadłe, z pod powiek zczerniałych i brwi zsuniętych wpatrywały się w łożę Agryppy i Bereniki, z wyrazem bezdennego żalu i naprzemian wścieklej nienawiści.

Z ust Justusa wyrwał się szybko stłumiony wykrzyk:

— Jonatan!

Czego przyszedł tu? Jakim sposobem, w jakim celu wdarł się pomiędzy tłum, wśród którego tyś się oczu poznać i tyś się ust wydać go może? Jaka

myśl, jaki szalony zamiar zrodzić się mogły w zgorączkowanej głowie człowieka, który tyle już widział krwi i mąk, tyle przeniósł rozpaczy i nędzy, że na wszystko ważył się był zdolny?

Z pobladłą twarzą, Justus myślał przez chwilę; potem z uszanowaniem pochylił się nad Agryppą i szepnął do niego słów kilka. Milczący Agryppa z obojętną łaskawością skłonił głowę na znak przyzwolenia; Justus wraz z kilku sługami opuścił trybunę, a po chwili, na jednej z ław, przeznaczonych dla gminu, dał się widzieć ruch taki, jak gdyby świeżo nadpływająca fala roztrącała tam pstre morze ludności, czyniąc pośród niej miejsce dla siebie. Słysząc tam było donośne głosy *designatorów*, usiłujących torować drogę komuś, kto, jako sekretarz króla Chalcydy, miał prawo wraz z towarzyszami swymi, zająć pośród pospólstwa miejsce poczesne.

Lecz nikt, ani gmin sam, nie spostrzegł tego, co się działo na gminnych ławach. Trzecia godzina dnia upływać zaczęła; Cezar nie przybywał jeszcze. Stary, chory, w życiu żołnierskiem stwardniały, pieniężnemi sprawami nadewszystko zajęty, Wespazyan pomp i obchodów publicznych nie lubił. Czyż przeto tysiączne tłumy w upalnym ścisku oczekiwać na niego mają? Czy przeto stać się nie ma zadość obyczajowi, który zabawy publiczne rozpoczynać nakazywał wnet po wschodzie słońca, i ważniejszym nad ów obyczaj przepisom, zalecającym

czcić dzień, poświęcony bogom, od samego jego początku? Na górnych piętrach czuć było stłumione warczenie zniecierpliwionych tłumów; niżej, twarze chmurzyły się niezadowoleniem i usta zamieniały się sarkastycznymi uśmiechy. W szeregach szlachty, senatorów, dworaków, filozofów, artystów, wykwintnisiów i hulaków, przeróżne ambicje, niechęci, urazy, próżności stanowiły materiał palny, w którym drobna iskra wzniecić mogła ciche, lecz niebezpieczne pożary. Sam patron dnia, Febus Apollo, na podniebnym szczycie obelisku swego gniewać się zdawał na ludzi za ociąganie się z oddawaniem czci jego świętu, i z siedmiopromiennej korony, kąpiącej się w słońcu, ciskał im w oczy groźne błyskawice.

Nagle, na ławach szlacheckich i w wielu senatorskich łóżach wybuchnęły huczne, przeciągłe oklaski; w zamian zaś gmin, warczący przedtem, umilkł i skamienieli dworacy. Na szczycie wyniosłej bramy ukazał się pretor. Białą togą, złotemi palmami usianą, wspaniale opłynięty, z berłem w ręce jednej, a białą chustką w drugiej, silny i śmiały Helwidyusz Priscus ukazał się na szczycie bramy, powitany oklaskami jednych, a przerażeniem milczeniem innych.

— *Sophos*, pretorze! Witaj, odważny! Zdrowia ci, dostojny! — z dołu ku górze wzbijał się snop głosów, zapalem brzmiących.

Blady i łysiejący Domicyan wściekle wejrzenia

rzucal ku szczytowi bramy; tu i owdzie, z ust ludzi, błyszczących wojskowem ubraniem, wybiegały grube przekleństwa; tłuszcza ocknęła się i zaszmrała.

— Cezar nie przybył jeszcze... Cezara niema... Cezara niema... W nieobecności Cezara! Możeż to być? możeż to być? możeż to być?!...

Mogło to być. Pretor rękę jedną oparł na srebrnym orle berła swego, drugą wyciągnął. Biała chustka, jak wielki motyl, na zieloną arenę upadła. W tej samej chwili, nieopisanem szyderstwem nabrzmiały głos Lamii wzbił się nad wszystkie gwary, wołając:

— Długiego życia ci, Helwidyuszu! długiego ci życia! długiego ci życia!

Fania szybkim ruchem srebrzystą zasłonę na twarz zarzuciła; schylony nad nią Artemidor szeptał:

— Małżonek twój odpowiedzieć ci kazał, domina, że nie godzien mieć syna ten, kto nie śmie uczynić zadość słuszości i prawu.

Słuszości i prawu stało się zadość. Na szczycie bramy, wojennie, tryumfalnie zagrały trąby, ażurowe jej odrzwia rozwarły się na oścież, wielotysięczny tłum, z zapartym w piersiach oddechem, znieruchomiał.

Przez rozwartą bramę, na rozległą, zieloną arenę powoli wjeżdżać zaczęły konne i zbrojne hufce, czterokonnymi, tuż za sobą postępującymi rzędami; wszystkie inne wyprzedzał hufiec najmłodszy, w któ-

rzym na trackich, małych, jak śnieg białych koniach jechali młodzieńcy, zaledwie z pacholęcego wieku wyrosli, w śnieżnych tunikach, ozdobionych purpurą, w zielonych wieńcach na odkrytych głowach, z pełnymi strzał kołczanami na plecach i lekkimi, krótkimi dzirytami w dłoniach. Zaledwie dorosli, smukli, wiotcy, pół-rycerze ci a pół-dzieci, silnie jednak i zręcznie dzierżyli na srebrzystych wodzach konie swe, które, z zalotnym wdziękiem stąpając, zdawały się nie dotykać prawie trawnika areny.

Za białym i lekkim tym hufcem ukazał się drugi, starszy i cięższy, połyskujący złocistą maścią koni, zjeżony długimi dzidami, niby rzeką stali pływający małemi tarczami i płaskimi misiurkami jeźdźców. Trzeci, na wzór Germanów, nie osłaniał niczem głów, ani piersi. Ramiona i piersi okrywały mu skóry wilcze; grubą skórą okryte były nogi; w rękach jeżyły się napięte łuki i ciężkie, długie, żelazne dzidy. Był tam jeszcze poczet, na hiszpańskich, zwinnych, o drgającej skórze koniach jadący, z małemi tarczami i hełmami z kunsztownie wyciskanej skóry, z krótkimi, zakrzywionymi mieczami u boku, a stalowemi lancami w rękach; i inny jeszcze, ostatni, którego afrykańskie, czarne jak noc, rumaki, stąpały poważnie, a silni, wysocy jeźdźcy potężnie wyglądali w pełnym szczero-rzymskim rynsztunku: w pancerzach, okrytych wzorzystym rznąętym bronzem, w hełmach wysokich z orlemi skrzydły, w sandałach, okrywają-

cych nogi sznurowaniem ze skórzanych tasiem, z ogromnemi, wklęsłemi, od ramion do kolan sięgającemi tarczami, i długimi, obosiecznymi mieczami, w złożonych i wyrzeźbionych pochwach. Każdy z pocztów tych miał dowódcę swego, który pojedynczo na czele każdego z nich jechał. Lecz zaledwie ten, który ostatniemu przywodził, ukazał się w rozwartej bramie, amfiteatr zahuczał, zagrzemiał, zawył huraganem oklasków i krzyków.

Na czarnym koniu, w złocistym pancerzu, z twarzą półokrytą hełmem, z którego ulatywać zdawał się złoty orzeł z rozpiętymi skrzydły, ogromną tarczę z wyrzeźbioną na niej Chimera, o lwiej głowie i ogonie żmii, jak lekkie piórko na dłoni trzymając, prosty, kształtny, wyniosły, jak błyskawica pomknął wzdłuż hufców, które na arenie wyciągały się długim sznurem i, na czele wszystkich stanawszy, złotą lancę swą wzniosł wysoko. Był to Tytus.

Umiarkowane na dole, namiętniejsze w środku, na górnych piętrach oklaski i krzyki szalały jeszcze, i jeszcze od grzmotu ich trzeszczały rusztowania budowy i kipieć zdawało się czyste, a coraz gorętsze powietrze, gdy olbrzymi wieniec koni i jeźdźców objął dokoła zieloną arenę. Złota lanca Tytusa znowu mignęła w powietrzu, wieniec rozrwał się, hufce uszykowały się w czterokonne sznury, i powolnym zrazu, potem coraz szybszym, lecz zawsze i rytmicznym krokiem, płynąć i wić się po arenie zaczęły.

Bez okrzyku, ni słowa, bez brzęku broni i prawie bez tętentu kopyt, wyciągnięte w sznury hufce konne i zbrojne płynęły wzajem ku sobie, rozmięły się, skręcały w różne strony zwijały się w koła i girlandy, krzyżowały wstęgi młodych głów w zielonych wieńcach z brązowymi potokami hełmów, lasy dziuraków i dzid z gęstwiną napiętych łuków. Lekkie i zalotne, to silne i groźne, wiły się po arenie i dokoła siebie, ze zwinnością ptaków, z giętkością węzów, z wdziękiem, harmonią i ciszą taką, jakby ruchy ich posłusznymi były czarodziejskiej, długiej, kędyś za światem śpiewanej pieśni.

Oklaski i krzyki zmilkły, zastąpił je szmer, podobny do szumu morza, lecz i ten przycichał stopniowo, aż roztopił się w ciszę, maconą tylko gorącymi oddechami tysięcy piersi ludzkich. Ciekawość, poszanowanie dla starożytnego igrzyska i tych, którzy w niem udział brali, pozamykały usta wszystkie, a szeroko pootwierały rozplomienione oczy. Ze szlacheckich i senatorskich siedzeń mnóstwo mężczyzn i kobiet pochylało się nad arenę, z pobludłymi od wzruszenia twarzami, szukając i ścigając wzrokiem w rycerskim tłumie najbliższych, najdroższych. Na zewnątrz amfiteatru panowała też cisza nieskazitelna. Dachy portyków okryte były tłumami, które, do wnętrza amfiteatru docisnąć się nie mogąc, na odgłos trąb, dających znać o rozpoczęciu się widowiska, zapadły w uroczyste milczenie i stały teraz na tle szafirów nieba, po-

dobne do ścian pstro malowanych, ku miejscu igrysk schylonych. Z szafirów nieba, pogodnych, ochłodzonych żeglującemi po nich stadami białych obłoków, cisza, ciepło i rześiste światło lały się na murawy, posągi i kwiaty pola Marsowego. Słysać było poważny szum Tybru i perliste szmery wodotrysków; dokoła cyrku Flamińskiego miedziane nagłówki kolumn płonęły ognistym wieńcem. U strze-listego zaś szczytu obelisku, potężne kształty boskiego młodziana rysowały się wyraźnie; lira jego, w słonecznych iskrach cała, ożywała, drgała, migotała i, zda się, że w ciszy tej namiętnej i uroczystej, słuch tylko wyteżyć trzeba, aby wnet, wnet usłyszeć, jak Febus Apollo na złotych strunach przygrywa pod niebem tańcem rycerskim, rozwijającym się ku czci jego na zielonem dnie ogromnej kotliny.

Kilka głosów przerwało uroczystą ciszę, wo-lając:

— Eneida! Eneida! boski Wergiliusz!

Na dźwięk imienia uwielbianego, dawno zmar-lego wieszczu, mnóstwo ludzi, na znak czci, po-wstało z miejsca siedzeń. To, na co patrzyli, było wiernem odwzorowaniem starożytnej zabawy, którą największy z wieszczów ich w epepei latyńskiej opiewał. Strofa to epepei rozwijała się przed nimi. Powstali na chwilę z grobów najodleglejsi ich przodkowie. Zgromadzenie całe, jak jedna istota,

pochyliło się nad areną i ze wzdętej piersi wyrzuciło olbrzymi, namiętny krzyk:

— Sophos!

I wnet umilkło znowu, lecz w zamian dno kotliny zakipiało ruchem, zagrzmiało tętentem, zadzwoniło brzękiem oręża i tarcz. Spokojny i uroczysty rytm przemieniał się w pospieszny, wojenny, burzliwy. Zamiast w ciszy i z wdziękiem splatać się i rozmijać z sobą, rycerskie hufce zjeżyły się dzidami, na ramionach wsparły wytężone łuki, tarcze ku piersiom lub głowom poniosły, spięły rumaki i pędziły ku sobie, upojone, zda się, oddechem boga wojny. Już, już, jak płomienne wichry zetrzeć się z sobą mają, lecz jeden z nich czyni odwrót szybki i wybawienia szuka w ucieczce. Inne, ścigając go, rozpraszają się także. Trackie koniki białe, niosąc biało ubranych jeźdźców, wydają się rozsypanem nad murawą stadem łabędzi. Inni podobni są do lwów płowych, w pogoni za zdobyczą, na wiatr puszczejących grzywy; tamci, na czarnych, potężnych rumakach, roznoszą pożary brązowych pancerzy i hełmów, nad którymi najwyżej unosi się złoty orzeł Tytusa, i z gęstwiny dzid stalowych złota lanca jego strzela nad wszystkie głowy... Na znak dany przez to błyszczące ostrze, hufce wracają z rozsypki, z szybkością myśli zbiegają się, szykują, koniom wsteczne dają obroty i pośród areny tworzą czworobok zbity, mur, w mgnieniu oka wystawiony z łbów koni i opan-

cerzonych piersi ludzkich. Nad murem tym wyrósł i nieprzebitą zjeżył się gęstwiną wysoki, ostry, ciemnymi błyskami migocący las dzid stalowych. Złoty orzeł z rozpiętymi skrzydły obleciał dokoła czworobok, i złota lanca zakolysała się znowu w powietrzu; mur w czworoboku rozłamał się i rozproszył się las połyskujących ostrzy; tarcze skórzane, stalowe, bronzowe, w rękach rycerzy wzniosły się nad ich głowy, ku którym napięte luki sypnęły deszczem strzał i pocisków.

Jak deszcz rzęsy, spadający na metalowe posłania, strzały i dziury dzwoniły po tarczach; od gęstej chmury ich ściemniała na chwilę arena, aż rozwidniła się, i dokoła niej ukazał się znowu wieniec koni i jeźdźców, nieruchomy, lecz, jak tęcza, igrający mieczem. Tak w greckim, pyryjskim tańcu, od którego może trojańskie te harce początek wzięły, dziewice igrały z lutnią, którą sobie wzajem rzucały z rąk do rąk.

Mężowie i rycerze lutnię zastąpili mieczem. Szeroki miecz Tytusa, rzucony, chwytny, podawany dalej, powietrzem niby leciał, z rękojeści, w dyamenty zdobnej, siejąc deszcz błysków krwawych, zielonych, błękitnych. Przeleciał olbrzymie koło i ani razu ziemi nie dotknął, aż w górę, do wysokości orła na helmie, wznosił go syn cesarski, a na znak ten, wieniec rycerski pękł, zadzwonił w tarcze i znowu konie trackie, jak śnieżne ląbedzie nad murawą, unosząc biało ubranych jeźdź-

ców, szły na spotkanie czarnych biegunów z orlemi skrzydłami; hiszpańskie rumaki, delikatne, wrażliwe, z drżącą skórą i parszczącymi nozdrzami, krzyżowały się z kosmatym zastępem skór wilczych i gniadym poczem, opuklerzonym stałą... I znowu cicho, bez okrzyków i bez brzęku broni, prawie bez tętentu kopyt, hufce rozmijały się, skręcały w strony różne, wily się po arenie i dokoła siebie, z wdziękiem, harmonią i powagą taką, jakby ruchy ich posłusznymi były czarodziejskiej jakiejś, za światem śpiewanej, pieśni...

Tak trwało długo. Czwarta i piąta godzina dnia upływała, a rycerze i rumaki, bez spoczynku i znużenia, z siły swej i zręczności składali hold bogu światła i piękna, dumie własnej i zabawie ludu.

Lud bawił się. Rozpoznawano w rycerskich zastępach znajome lub drogie twarze, wywoływano znane lub sławne imiona; oklaski krótkie i namiętne wybuchały, milkły, wybuchały znowu. Nie zagrzmiały, jak zwykle bywało, przy wejściu Cezara. Wespazjan przybył bardzo późno; lud przybycia jego prawie nie spostrzegł, i wtedy dopiero krótko, z roz-targnieniem powitał go, gdy Tytus, na widok ojca, skinieniem lancy do szyku przywrócił swe hufce i, wraz z hufcami, oddał Cezarowi pokłon wojskowy. Wiedziano, że syn ten i ojciec kochają się i wspierają wzajem. Niemaló ludzi spostrzegło w zamian jadowite spojrzenia, jakimi drugi syn Cezara ściagał starszego brata.

Wiedziano też powszechnie, że Domicyan nie-nawidził Tytusa, tego ulubieńca natury i losu, który od natury i losu otrzymał wszystko, co człowiek posiadać może: piękność czarującą, siłę, odwagę, talenta, najwyższą dostojność i bałwochwalczą miłość żołnierzy. Czego mu jeszcze niedostawać mogło?

Niedostawało mu tego może, do czego ma prawo każdy śmiertelnik prosty: nazwy prawej małżonki dla ukochanej kobiety i dośmiertnego z nią związku?

Trąby na szczycie bramy grały znowu wojennie, tryumfująco rozgłośnie, dając znać o kończącym się widowisku. Brzegiem areny, w długi sznur rozwinięte, hufce ciągnęły poważne, dumne, a tak świeże i niezmęczone, że tu i owdzie zaledwie krople potu spływały z pod zielonych wieńców na młodziutkie czoła, tu i owdzie biała piana plamiła czarną lub płową sierść koni, a niejedna głowa wznosiła się w górę, wzrokiem szukając znanych lub ukochanych twarzy, i niejedne usta z pod bronzowego hełmu przesyłały uśmiechy ku pochylonym nad areną, wruszonym, rozkoszą drgającym, ustom niewieścim.

Tytus przodem jechał. Zdjął hełm ze złotym orłem i wraz z tarczą trzymał go u boku, drugą dłonią dotykając zaledwie luźno puszczonej wody. Teraz lud dowoli napatrzeć się mógł twarzy jego, której piękność od krańca do krańca znanego świata stutrąbna sława głosiła. Po długich, rycer-

skich harcach, zadumę i niepokój baczne oko wyczytałoby na niej mogło. Zrośnięty jakby z czarnym swym biegunem, z postawą spokojną i silną, Tytus pochylał jednak sńiade czoło, jakby pod ciężarem palącej troski. On, wódz po wielekroć zwycięski, czy odniesie dziś zwycięstwo, którego od dawna pragnęło serce jego i inne jeszcze? Zwycięstwo nad wołą ojca, pobłażliwą dla niego zawsze, lecz tym razem surową; nad dumą patrycyuszów, niechęcią filozofów i licznych ich uczniów, nad kaprysami gminu, któremu panować miał, lecz który zarazem panował nad nim. Dokąd wiedzie hufce swoje? Złożył już wraz z nimi pokłon przed lożą Cezara, i drugi, odwiecznym zwyczajem nakazany, przed szeregiem sńieźnych tog senatorskich.

Trąby grają wciąż pieśni odwrotu; szeroka brama stoi otworem, lecz hufce rycerskie, z dowódcą swym na przedzie, ciągną jeszcze brzegiem areny. Wielotysięczny tłum wie dobrze, gdzie konia swego zatrzyma dowódca. Przez kilka dni ktoś po stolicy rozsiewał wieść, która jednych poiła gniewem, w innych zapalała gorączkę ciekawości i współczujące sympatyje. Nakoniec, czarny rumak stanął, jak wryty. Tytus osadził go przed trybuną Bereniki; za nim, także jak wryte, stanęły hufce jego.

Wśród purpurowych festonów, z poduszek haftowanych perłami i złotem, zwolna, rozkosznym i kornym ruchem, w całej wyniosłości rosłej swej kibici, opłynięta całem bogactwem stroju swego,

podniosła się i stanęła czarodziejka Wschodu. Któż kiedy zliczyć potrafił trawiące marzenia, niepokoje i żądze, z jakimi chwili tej oczekiwała? Kto kiedy zgadnie, czy teraz miłość albo duma wrzały w jej żyłach palącym warem? Pod skrętami złotego łańcucha, po cudownej jej piersi przebiegały namiętne drżenia; warkocze, jak czarne węże, owijały kibić, na śniadą twarz i szkarłatne usta spadł wyraz upajającej, pół-zmysłowej, pół-ekstazy rozkoszy. Głowę dyamentami usianą pochyliła nisko, podniosła ciemne powieki, i z pod firanki drżących rzęs, spojrzenie czarnych, pieszczących, pokornych oczu zatopiła w podniesionych ku niej źrenicach kochanka.

Patrzeli na siebie chwilę. Berenika powoli, w sennem jakby upojeniu, pochylała się nad rzeźbioną poręczą trybuny, a w dłoniach, nieśmiałym ruchem rozkochanej niewolnicy, podnosiła wieniec laurowy.

Końca tej sceny, końca którym być miało, według krążących wieści, ogłoszenie małżeństwa syna cesarskiego z królową Chalcydy, wielotysięczne zgromadzenie oczekiwało z oddechem w piersiach zapartym, z uczuciami rozmaitemi. Tu i owdzie tylko, w górze i na dole, biegly słumione, choć namiętne szepty, podobne do wązkich strumieni, przerzynających morze ciszy...

Wtem, jak huk gromu spadającego na ziemię, kędyś, z górnych pięter budowy, rozległ się krzyk:

— Przeklęta bądź, Bereniko, hańbo narodu swego! zdrajczyni! trucicielko dusz cór judejskich!...

Tu głos chrypliwy, wykrzywiający latyńskie dźwięki, lecz potężny siłą tą, którą daje bezamiętna, zajadła namiętność, urwał się na chwilę, jakby usta krzyżącego ręka jakaś zamknąć próbowała. Wnet jednak, bardziej jeszcze rozdrażniony, więc potężniejszy, niż przedtem, wybuchnął znowu:

— Przeklętym bądź i ty także, niszczycielu krajów cudzych, potworze, któryś spalił świątynię...

Teraz słyhać było w górze szamotanie się ciał jakichś, biorących się za bary, urywane krzyki, zbrojne kroki. Ale szaleniec, kędyś tam, w pstrym i ściśniętym tłumie, konwulsyą namiętności zdjęty, głosem ochryplym i przerywanym toczoną walką wołał jeszcze:

— Przekłęci bądźcie oboje przez silnego i straszego Boga! Przekłęci bądźcie przez niebo i ziemię! Przekłęci bądźcie przez wszystkich, służących sprawiedliwości! Przekłęci bądźcie przez każdą siłę wyższą na niebie i ziemi! Przekłęci... przekłęci... przekłęci!...

Ochryply, przerywany, wściekły głos oddalał się wciąż, oddalał się i słabł, jakby tego, z czyjej piersi wybuchał, uprowadzano coraz dalej i dalej. W trybunach, łóżach i na wielu szlacheckich ławach panowało milczenie, pełne złośliwej radości, przemocą niemal wydzierającej się na twarze. Wszystko, co z jakichkolwiek przyczyn, dla obecnego porządku

w Rzymie kroplę choćby jadu chowało w sercu, wszystko, co ze wzgardą spoglądając na obce narody, gardziło klejnotami okrytą przedstawicielką tego z pomiędzy nich, którym gardzono najbardziej; wszystko, co było w Rzymie zbuntowanem, dumnem, zawistnem lub urażonem, z obojętnością, wymowniejszą nad oklask, przyjęło obelgę, przez nieznane jakieś usta rzuconą na głowę cesarskiego syna i jego kochanki.

Wraz z otoczeniem swem milczał i tryumfujące spojrzenia ciskał Cestyusz, nienawidzący Judejczyków, których zwyciężyć nie potrafił; milcząc, lecz ironicznie uśmiechano się w łoży Eliusa Lamii, którego twarz, pod wesołą maską, miłostki syna cesarskiego rzeźbiły rozpaczą i gniewem; ponuro i głośno niemal śmiali się krewni i przyjaciele Marcyci Formilii, opuszczonej małżonki Tytusa. Lecz ponurą i groźną także stała się dobroduszna zazwyczaj, gruba, żołnierska twarz Wespazyana; Domicyan popędliwym giestem wyciągał ramię, wołając:

— Cezarze! rozkaż, aby jutro ścięto publicznie śmiałka tego!

Ale gdy giest i usta jego groziły, oczy śmiały się zjadliwą radością, ciosem, który brata jego dotknął, budzoną. Ciosem były dla Tytusa nie tyle krzyki i przekleństwa nieznanego zuchwalca, ile ten niemy poklask, którym przyjęła je znaczna część tych właśnie, których dziś ująć, zadziwić, dla celów

swych podbić zamierzał. Nie ugiął przecież głowy. Łagodny Tytus, którego ci i owi zwać już poczynali: „słodyczą ludzkiego rodu“, w gniewie, w żalu, uczuł się ulubionym synem pana świata, i spojzeniem piorunującego pół-boga wodził dokoła. Berenika zniknęła pośród orszaku Agryppy, który otoczył ją i szybko przed oczyma ludzi zasłonił.

Wszystko jednak, co działo się na dole, cichą sielanką było wobec tej burzy, którą huczały górne piętra gmachu. Tam żołnierze kochali Tytusa jako wodza, który po wielekroć wiódł ich ku zwycięstwu, a lud, olśniony pięknnością jego i dostojnością, gotów był umieścić go w rzędzie nieśmiertelnych bogów. Tam także najgłębsze wzgardy i najsrozsze urazy wrzały ku plemieniu judejskiemu. A nie byłże Judejczykiem zuchwalec, który wściekłemi słowy obraził pół-boga i, nadewszystko, przerwał zabawę wesolą, a palącej ciekawości tłumów zaspokoić się nie pozwolił? Wprawdzie i Berenika także Żydówką była. Ale nad śmiertelniczki wszystkie wyniosła ją miłość syna cesarskiego, zmysłowa piękność jej upajała oczy ludzkie, a biła od niej ponętna groza bogactw. Ten zaś obdartus, nędzarz, przypatrujący się widowisku na ławie gminnej, w sposób właściwy pospólstwu judejskiemu, przekręcający latyńskie słowa, — kim jest?

— Jest to Żyd! Żyd! Żyd! — donośnie wołał Sylwiusz, właściciel haftarskiej fabryki na Awentynie. — Niech mi boski Apollo lirę swą z obelisku

wnet na głowę rzuci, jeżeli nie poznałem w nim jednego z haftarzy, mieszkających za Tybrem!...

— Nie, wcale nie; mylisz się, Sylwiuszu — przekrzyć przyjaciela usiłował perfumiarz Wentury. — Żydem jest on najpewniej, ale nie haftarzem. Przysięgam, że jest to jeden z tych, którzy na *Transtiberim* wyrabiają perfumy!...

Przez tłum, deptąc po ludzkich nogach i potężnymi pięściami roztrącając ludzkie ramiona i plecy, przebijał się setnik olbrzymiego wzrostu, rozgniewany, z ust wyrzucający grube przekleństwa.

— Gdzie on jest? — krzyczał. — Czy schwytano go i uwięziono? Spostrzegłem go z daleka.. Kim on jest? Widziałem go już kiedyś! Widziałem go już kiedyś! Gdzie ja go widziałem?...

Mnóstwo głosów naraz mówiło:

— Nie pochwycono go i nie uwięziono!

— Człowiek jakiś stał za nim i usta zamykać mu usiłował...

— Żyd jakiś także, ubrany w togę...

— Przywiódł ze sobą ludzi wielu...

— Wparli się pomiędzy nas, jak byki pomiędzy owce... i rozsiedli się dokoła niego...

— Gdy, roztworzywszy pysk, wrzeszczał głupie przekleństwa, ciągnęli go wstecz, ale opierał się im... Chudy, jak przepiórka, która trzy dni nie jadła, a silny, jak ty, Pedanusie...

— Otoczyli go tak, że nie mogliśmy pięściami

naszemi do boków jego dotrzeć, ani z ramion naszych uczynić mu łańcuchów...

— Ciągnęli go... obronili... uprowadzili...

— Gdzie ja widziałem, na Herkulesa! gdzie ja wściekły pysk ten kiedyś już widziałem? — olbrzymią pięścią uderzając się po spoconem czole, powtarzał setnik.

Wtem zwinnie, jakby kości nie posiadał, wywinął się z tłumu i przed setnikiem stanął do pasa mu zaledwie wzrostem sięgający człowieczek, w brudno-czerwonej bluzie, pół-ryży a pół-łysy, ze śladami sandałów na bosych prawie nogach. Żółte, małe oczy z kocią przebiegłością ku grubej twarzy olbrzyma podnosząc, zawołał:

— Gdzie i kiedy wściekły pysk ten widziałeś, Pedanusie, powie ci o tem Silas, lektykarz z tamtej strony Tybru. Widziałeś go na czele judejskiego wojska, zbuntowanego przeciw Cezarowi... Wrogiem on jest Cezara i Bogów... Żydem zaciekłym, który chciałby usmażyć cię, Pedanusie, i zjeść na wieczere sabatową... Zbiegiem on jest, którego dawno już ścigają władze rzymskie...

— Pamiętam! — krzyknął Pedanus — na Herkulesa! przypomniałeś mi wszystko, lektykarzu, podobny do glisty! Widziałem go na czele przekłetych buntowników, u boku Jana z Giszali... Zawsze tam był, zawsze był u boku tego lamparta azyatyckiego... sam jak lampart!...

— Przekleństwo mu! — zawył tłum — przekleństwo zbuntowanemu plemieniu jego!

— Gdzie on mieszka, lysa głowo? gdzie on ukrywa się, glisto! Gadaj, oberwańcze! roztwórz brudny pysk swój, Syryjczyku! Prowadź nas... niech go w pokutnej ofierze zarzniemy na ołtarzu Apollina... Prowadź nas!... niech go skrępowanego oddamy mściwej dłoni Tytusa...

VII.

O ile w dniu Apollina ulice i rynki Rzymu opustoszonemi były z ludności, gromadzącej się dookoła Septów i cyrku Flamińskiego, o tyle nazajutrz mrowiły się one i huczały milionowym tłumem, uczującym i bawiącym się pod odkrytem niebem. Na licznych rynkach, noszących nazwy: rybiego, wieprzowego, wołowego, drzewnego i t. p., ogromne stoły gięły się pod stosami grubego pieczywa i gotowanych lub pieczonych mięsów. Z metalowych kraterów, czyli zbiorników win, mnóstwo łyżek odpowiedniego kształtu lało w kubki i czały mocny trunek, rozcieńczony płynnym miodem i napelniający powietrze ostrym zapachem korzennych przypraw.

Do stołów tych, zastawionych przez Cezara, którego skąpstwo i chciwość zniknęły wobec potrzeby bawienia i karmienia ludu, przystępowali ludzie różnych stanów. Rynki i ulice roiły się ludnością, złożoną z licznych klientów wielkich domów, noszących zbiorową nazwę pasożytów; ze świeżych

wyzwoleńców, którzy jeszcze nie mieli czasu otrząść się z nędz niewolnictwa; z wolnych najemników, używanych do różnych robót w fabrykach, sklepach, na ulicach, w porcie; z niewolników, którym łaskawość panów ich nie wzbraniała rzadkiej zabawy; z mnóstwa żołnierzy i setników.

Tłum ten zwiększały jeszcze liczne, nazwę *collegiów* noszące, zgromadzenia rzemieślników różnych zajęć: haftarzy, perfumiarzy, piekarzy, szewców, krawców i t. p., a mieszały się do niego także kupcy, pośledni adwokaci, szukający tu sposobności popisywania się z wymową, ciekawość i łatwowierność tłumów wyzyskujący wróżbiarze, gwiazdziarze, kuglarze. Jakkolwiek w trzech naraz teatrach odegrywano dnia tego pantominy i ucieszne *atelany*, czyli farsy sceniczne, jakkolwiek tysiące ludzi przypatrywały się na polu Marsowem wystawionym na widok publiczny osobliwym zwierzętom: wężom ogromnym, nosorożcom, tańczącym słoniom i t. d., na Septach podziwiała siłaczy, linoskoków, szybko biegów, skoczków; to jednak nie było w Rzymie ulicy żadnej, którąby nie ciągnęły gromady mężczyzn i kobiet, nasyconych jadłem, upojonych, a co najmniej, rozweselonych trunkiem, z głowami ustrojonymi w zielone wieńce, z flecistkami na czele, z ulicznymi deklamatorami, mówcami, trefnisiarni, którzy, wspinając się na wyniesione nad poziom miejsca, przykuwali do siebie uwagę, budzili śmiechy, do grzmotów podobne. Wszystko to grało,

śpiewało, śmiało się i huczało w powietrzu upalnym, dusznym, wstrząsanem tylko od czasu do czasu dławiącymi powiewami wiatru, wiejącego z południa i wiodącego za sobą chmury i burzę. Szmaty chmur ciężkich sunęły pod niebem, przysłaniając od chwili do chwili słońce, lecz nie ochładzając żaru, którego piekące tchnienia roznosił ze spieczonych pustyń lecający Africus.

Forum Romanum gorzało. Roziskrzzone niebo lało blaski na świątynie, pałace i kurye rynku tego, noszącego właściwie nazwę Forum Civile, rynek obywatelski; w słonecznej spiece, która go napędzała, olśniewająco płonęły niezliczone przedmioty bogactwa, z których, na kunsztownie zbudowanych rusztowaniach, uczyniono wystawę publiczną. Był to wystawiony na widok publiczny skarbiec państwowy: zbiór łupów, zdobytych przez wojny zwycięskie, i kosztowności, zgromadzonych przez chciwość lub artystyczne zamięłowanie poprzednich Cezarów. W górze, nad rusztowaniami, tak jak i dookoła Forum, sztandary wojenne wysoko wznosiły w powietrze zdobiące je orły i gwiazdy. W dole, pstry, na wiele oddzielnych gromad rozbity tłum z podniesionymi głowami rozglądał się w nagromadzeniu bogactw, które poiło go uczuciem bezbrzeżnej dumy. Setki rozognionych oczu przesunęły się z kolei po stołach, okrytych naczyniami złotemi i usianemi obfitą rosą drogich kamieni; po łóżach, urabianych w kształty lwów, łabędzi lub

pawi, a wysadzanych kością słoniową, szyldkretem i dyamentami; po szachownicy, utworzonej z dwóch dyamentowych tablic, a której pionki zawierały w sobie pudy kunsztownie rzeźbionego złota; po ulanych ze srebra i złota posągach bogów, Cezarów i sławnych wodzów; po kilkudziesięciu koronach, uplecionych z pereł; po wielkiej grocie, niby obfitą rosą, osypanej perlami; po wzgórzu nade wszystko, będącem istotnem wzgórzem, ze złota ulanem, a na którego spadzistościach wiły się gałęzie winne, wyrastały jabłonie, pokryte liściem i owocem, biedz zdawały się orszaki myśliwskie, złożone z lwów, jeleni i ścigających je psów.

Te i inne tym podobne osobliwości i drogocенności, od czasów Pompejusza już i Cezara, więc od stu przeszło lat, stopniowo zgromadzały się w skarbcu rzymskim i wywierały na duszę rzymskiego ludu właściwe sobie czary. Ale dziś na Forum wznosiło się pośród innych rusztowanie jedno, które najliczniejsze ku sobie przyciągało gromady, bo wystawione na niem były przedmioty najmniej jeszcze znane, przed kilku zaledwie laty, po ostatniem słynnem zwycięstwie wojennem, do Rzymu przywiezione. Ostatniem słynnem zwycięstwem wojennem było ostateczne podbicie, od dawna już, lecz warunkowo podległej Rzymowi Judei. Rusztowanie, największą ciekawość budzące, okryte było łupami, które zwycięski Tytus przed kilku laty przy-

wiół w darze Rzymowi z obalonej w gruzy Jerozolimy.

Wyosobnione nieco z pomiędzy innych, wznosiło się ono w pobliżu wielkiego nagromadzenia łomów marmurowych, z których w tej porze właśnie budowano trymfalny łuk Tytusa.

Łuk skończonym jeszcze nie był, ale o tryumfie kochanki Bereniki wymownie opowiadały ludowi przedmioty, którym przypatrywał się on z ciekawością najżywszą. Były to przedmioty, którymi naród, daleko stąd osiadły, przez długie wieki istnienia swego, przez długi szereg pokoleń, z miłością, z czcią, z milionami trudów i nadziei zdobił i wzbogacał to, co mu najdroższem i najświętszem było: świątynię Boga swego, ognisko, ku któremu zbiegały się wszystkie strumienie życia narodowego. Były tam kobierce stubarwne, puszyste, ceny nieobliczonej; opony haftowane misternie, futra, malowane szkarłatną farbą; był tam ogromny zbiornik wody, z metalowych zwierciadeł urobiony; wielki stół kościelny z drogocennego drzewa, z ciężką balustradą złotą; świecznik siedmioramienny z bajeczną obfitością osypany złotemi liliami i owocami. Nad tem wszystkim, u szczytu rusztowania, stał w blasku słonecznym jaskrawo malowany, olbrzymich rozmiarów obraz, przedstawiający tryumfalny wjazd Tytusa do Rzymu po odniesionem zwycięstwie. Za wozem tryumfatora cisnęły się radosne tłumy, szły zwycięskie wojska i ciągnął poczet wo-

jennych jeńców, zgębionych, pół-nagich, z łańcuchami u nóg, z pętlami na szyjach. Nad obrazem, u samego szczytu, paliły się złote litery, składające napis: „Judea zwyciężona, Judea podbita“.

Smutnej wystawie tej przypatrujący się ludzie wesołymi byli. Grube palce wyciągały się w górę, wskazując to i owo, języki uderzały w podniebienia, wydając dźwięki, podobne do smakowania wybornych potraw; ruchliwe wyrostki rozpościerały u nosa dziesięć palców rąk, dając przez to drwiące oznaki wzgardy dla podbitego ludu; Sylwiusz, haftarz z Awentynu, ramieniem obejmował szyję niższego wzrostem perfumiarza Wenturego i obaj promienieli radością i dumą. Popchnął ich i roztrzącił przeciskający się przez tłum setnik Pedanus.

— Czego ciśniesz się, balu, i ludzi po drodze rozbijasz? — krzyknął obrażony Sylwiusz.

— Taranie do tłuczenia kamieni! o mało ramienia mego plecami swemi nie zgmiotłeś! — cienkim i zaperzonym głosem zawtórował przyjacielowi ufryzowany i woniejący perfumiarz.

Dwu wykrzykom tym zawtórowało wiele innych. Za Pedanusem inni jeszcze setnicy i prości szeregowcy niemilosiernie deptali nogi ludzkie ciężkimi stopami, ubranemi w szamerowane sandały, a silnemi ramiony roztrzącali ludzkie karki i plecy. Wyrostek jakiś, który właśnie przed chwilą, w weselu serca, przesyłał drwiące giesty ku przedstawionej na obrazie gromadzie jeńców wojennych,

obu rękoma pochwycił się za ucho i z głośnym płaczem przypadł ku ziemi. Nieusuwającego się prędko z drogi jeden z żołnierzy poczęstował żartem, od którego z ucha nieszczęśliwego malca pociekła krew. Łajania i przekleństwa ozwały się w tłumie. Kobieta jakaś, tuląc w objęciach zranionego chłopca, przeraźliwie wyrzekać zaczęła na zuchwalstwo żołnierzy, którzy niedawno męża jej, ogrodnika, zrabowali z wiezionych do Rzymu jarzyn, a dziś zranili jej dziecko...

— Czy na zuchwalców tych obywatel rzymski sądu i kary już znaleźć nie może?

— Mnie śmiał potrącić, mnie, Sylwiusza, którego roboty zdobiją pałac samego Cezara!

— Plecy moje długo pamiętać będą pięść twoją, Pedanusie, ale, na Herkulesa! jutro szambelanowi, którego wiernym klientem jestem, zaniosę flakon perfumy cynamonowej i błagać go będę, aby skargę moją na ciebie wniósł przed oblicze boskiego Cezara!

— Jeżeli uczynisz to, Wentury, dowiedziesz tylko, że głowa twa daleko mniej waży od łuta cynamonu. Powinieneś wiedzieć, że od dawna już na szali sądów rzymskich setnik posiada wagę stu pudów, a spokojny obywatel — jednej setnej łuta...

Głos jakiś poważny, smutny i ironią nabrzmiały, przynosząc wszystkie inne, zawołał:

— Niewdzięczne duszel!

Obejrzano się. Człowiek, który dwa te wyrazy wymówił, wysmukły był i zgrabny, lecz rysom jego przypatrzeć się było trudno, bo ocieniał je głęboki kapiszon płaszcza. Nie w tem dziwnego nie było. Mnóstwo ludzi kryło głowy przed słonecznym skwarem pod kapiszonami lub kapeluszami o szerokich brzegach.

— Co ten skrzeczy? Mów dalej! Czy cię matka dwa tylko wyrazy wymawiać nauczyła? — śmiejąc się, wołano dokoła.

Człowiek w kapiszonie powtórzył znowu:

— Niewdzięczne dusze!

Pedanus podjął się wytłómaczyć zagadkowe słowa nieznajomego. Zwrócił się twarzą ku zgromadzeniu i wskoczył na łom marmuru. Z dala wydawać się mogło, że olbrzymia postać jego, w sznurowanych sandałach, metalowym pancerzu i z krótkim mieczem u boku, stała na głowach ludzkich. Potężną pięść nad głowy te wyciągając, krzyknął:

— Obywatel rzekł prawdę. Przez psie mordy wasze szczeka dusza niewdzięczna. Łajecie uczciwego żołnierza, gdy wyjmie on z waszego garnka garść gotowanego bobu, albo, przechodząc, przycisnie wam koniec delikatnego paluszka! Czyż żaden geniusz, opiekujący się rozumami ludzkimi, nie powiedział wam nigdy, że gdyby nie ten uczciwy żołnierz, nie posiadalibyście tego, co posiadacie?

W tłumie ozwały się śmiechy i wołania:

— Niech mię Jowisz bóstwom podziemnym odda, jeżeli wiem, co posiadam!

— Nie posiadam nawet jednego srebrnego naczynia!

— Co ja posiadam, setniku? co ja posiadam?

— Pokaż mi własność moją, setniku, a synowski pocałunek złożę na twojej pięści!

— Całuj, ślepe szczenię! — odkrzyknął Pedanus. — Alboż te góry złota, perel i dyamentów, na które patrzycie tutaj, nie są własnością waszą? Do Rzymu należą one, a wy jesteście obywatelami Rzymu, *ergo*, waszem to wszystko jest!

— Dobrze! — zaśmiał się ktoś — gdy głodnym będę, wykaszę szmaragd z tego oto stołu i najem się nim do syta, a gdy moja Klelia o nową suknię dokuczać mi będzie, ubiorę ją w tę perłową grootę...

— Nikczemna duszo! — zawołał inny setnik, na niższym złomie marmuru u boku Pedanusa stojący — czy nie możesz najeść się i przyodziać dumą Rzymianina, któremu wszystkie narody świata dań tę złożyły!

— Prawdę rzekł! Pudens rzekł prawdę! Wszystkie narody świata nam dań tę złożyły. Jest ona własnością naszą! — zawołało mnóstwo głosów.

— I naszą nieśmiertelną chwałą!

— I słodyczą oczu waszych, które w dzień święte widokiem bogactw tych poić się mogą do syta!...

— Powiedziałeś, Pedanusie! powiedziałeś, Pudentie! Zdrowia i wiecznego życia Cezarowi, który nam na nie patrzeć pozwala!

Pedanus parsknął śmiechem, od którego, zdało się, że drgnęło potężne rusztowanie.

— Czemuż, trzodo barania, i nam także zdrowia i wiecznego życia nie życzysz! Naszym-że to potem i naszą krwią chluby te i pociechy wasze kupione. Któż je zdobył, jeżeli nie nasze męstwo? Kto barbarzyńców azyatyckich do stóp waszych rzucił, jeżeli nie nasze miecze?

Pełne zapału krzyki rozległy się w gromadzie. Wszystkie głowy przytwierdzająco kiwały, wszystkie oczy, rozgniewane przed chwilą, z poszanowaniem i miłością zwracały się ku potężnym postaciom senników. Sylwiusz przepchnął się ku Pedanusowi i, wyprężając ramię, delikatnie pociągał go za brzeg konchy usznej.

Wentury, z flakona, wyjętego z za sukni, wylał trochę perfumy na włosy jednego z żołnierzy; kobieta, która przed kilku minutami płakała nad skrważonem uchem syna, podnosiła rozpromienione oczy i uśmiechała się rzędem śnieżnych zębów.

— Nie gniewam się już na was, żeście wóz męża mego zrabowali z jarzyn i owoców... — mówiła. — Gdy przechadzać się za miastem będziecie, wstąpcie do domu ogrodnika Tacyusza. Żona jego, Balbia, uczęstuje was mleczywem i winogronami z własnej winnicy...

— I, przez wdzięczność za zabijanie synów wszystkich narodów świata, z rozkoszą pozwolę wam zakrwawić drugie ucho syna swego! — donośnie odezwał się znowu wysmukły i zgrabny człowiek, ubrany w płaszcz z kapiszonem.

Nikt jednak tym razem na odezwanie się jego uwagi nie zwrócił. W tłumie sykano:

— Milczeć! milczeć! setnik mówi!

Pedanus mówił istotnie. Szeroko rozmachując potężnymi ramionami, wskazywał na rusztowanie, pokryte łupami, przyniesionymi z Judei. W przycichającym gwarze, niby urywane ryki, słychać było słowa jego:

— Jeżeli mniemacie, że to były sobie wesole tańce, jesteście stadem osłów. Powiadam wam, że bronili się, jak lwy wściekłe... Tarany i bale, którymi rozbijaliśmy ich mury, psuli i palili. Z trzystu machin wyrzucali na nas kamienie i groty... osypywali nas deszczem strzał, owiniętych w płonące pakuły... oblewali nas kipiącą wodą i oliwą... Wszystko to czynili, i więcej jeszcze... wypadali na nas we dnie i w nocy... nie dawali nam jednej minuty bezpiecznego snu i odpoczynku... Aha! gdybyście ich wtedy widzieli!... wykulibyście tyle posągów, ilu było żołnierzy rzymskich w tej walce z rozjuszonymi bykami i lampartami... Jan z Giszali nie był człowiekiem. Powiadam wam, że nie był on człowiekiem takim, jak wy, i nawet jak my, to jest naprzykład ja albo Pudens... Na własne

oczy widziałem, jak z głowy jego wylatywały płomienie i siadały na głowach jego żołnierzy... Powiadam wam, że był to czarownik. Kiedy raz z góry Oliwnej stoczyli się na nas, jak piana hydry lernejskiej, Fulminata nawet, czy słyszycie? najwytrawniejsza z czterech legii Tytusa, Fulminata, w której setnikami są Pedanus i Pudens, nie ustała... w szyku, ale cofnęła się, i gdyby nie Tytus, którego boski głos usłyszawszy, przestawaliśmy zawsze słyszeć samych siebie... możebyście teraz nie wytrzeszczali oczu na łupy judejskie i nie rozdzielali gąb, słuchając słów Pedanusa... Przeklęte plemię! Ile razy wspominam o dniu tym feralnym, który na moment przyćmił sławę Fulminaty, tyle razy czuję straszny apetyt pożarcia choć jednego z tych wrogów Cezara i Rzymu.

Tak mówił Pedanus, a gniew i srogość, coraz bardziej pokrywające dobroduszny z natury wyraz grubej jego twarzy, szybko, jakby magnetycznie, udzielały się słuchającej go gromadzie.

— Przeklęte plemię! — zawołał ten sam głos, który wprzód z żartobliwą ironią mówił o wykąszeniu w chwili głodu szmaragdu z judejskiego stołu i ubraniu żony, Klelii, w grootę perłową. — Przeklęte plemię! Chciałbym zemścić się za Fulminatę i w zębach schrupać jeden jego ułamek!

Widocznie najsceptyczniejszych nawet zrazu ogarniał zapal. Ci, którzy bliżej Pedanusa stali, śmiali się. Z twarzy setnika widać było, że opo-

wiadać zaczął coś zabawnego. Wszyscy słuch wy-
tężyli. Gdyby ktokolwiek tam mniej był zajęty opo-
wiadaniem setnika, spostrzegłby, że czoło wysmu-
kłego człowieka, ubranego w płaszcz z kapiszonem,
okryte było krwistym rumieńcem, a w ciemnych
oczach jego świeciły łzy.

— Powiadam wam — powiedział Pedanus — że
bogowie sami na widok ten ze śmiechu braliby się
za boki!.. Było to tak: Tytus przemówił do nas..
święte dreszcze zjęły nam ciała i dusze... Fulmi-
nata leci na *ich* spotkanie... Wichur nigdy szybszym
od niej nie był... Konnica przeciw konnicy, wpa-
damy na nich, ścieramy się twarz z twarzą, pierś
z pierśią, miecz z mieczem... Łoskot, huk, krzyki,
jęki, walenie się na ziemię cielsk końskich i ludz-
kich — nie słyszymy nic... Ogłusza nas wstyd
wczorajszy, wściekłość szkarłatem okrywa przed
nami wszystko... Konie i twarze wrogów, stojące
za nimi mury oblężonego miasta, niebo, ziemia..
wszystko... czerwone... Powiadam wam, że w tej
godzinie bogowie dla nas cały świat krwią umalo-
wali... Nie wiem, ile łbów ściałem, ile piersi prze-
biłem, ile tułowi odrąbałem... Wtem czuję, że ze
mną samym źle... Jeden z nich naciera na mnie
z zajadłością piekielną. Sto razy miecz mój doty-
kał jego piersi i sto razy odbił on go i swój ku
mnie obrócił. Patrzę: mrówka, czy pantera? Mały,
cienki, mizerny (z głodu wychudły, bo głód stra-
szliwy panował już w ich murach), do ramienia

mi wzrostem nie sięga, istna mrowka!.. a silny pomimo to, a rozjuszony, sprężysty i obskakujący mię dokoła, jak pantera! Eheu! myślę sobie, czy ja się dam zjeść owadowi temu? Bogowie mię natchnęli! Miecz przerzuciłem w lewą rękę, a prawą schwyciłem go za udo, i nie mielibyście czasu wymówić *Salve!* — a już z konia go ściągnąłem. Lekkiż był! Ręka moja czuła, że wnętrzości jego były puste. Tu już i cofać się oni przed Fulminatą naszą zaczęli, a ja, judejskiego rycerza mego za nogę trzymając, ku Tytusowi go pełnym pędem konia mego niosłem. Pędziłem, a jeńcem moim, niby skryb trzcinką, wciąż go za nogę trzymając, w powietrzu wywijalem. Ktokolwiek spojrział, wybuchał śmiechem, ale zato z siły i pięści Pedanusa nikt odtąd nie zaśmieje się nigdy...

Słuchacze śmiali się nie z siły i pięści Pedanusa, aż nadto widocznej, ale z przedstawionego przezeń obrazu rycerza judejskiego, którym setnik rzymski, za udo go trzymając, niby skryb trzcinką, w powietrzu kręcił...

— Zuchwalstwo ich granic nie znało — równie grubym, jak u Pedanusa, głosem zawołał niżej nieco stojący Pudens. — Niechaj Pedanus potwierdzi prawdę tego, co opowiem. Staliśmy naprzeciw ich wojska, czekając hasła do boju. Poruszyć się nie można... Niechaj Pedanus potwierdzi, jaka to męka nie móżdż poruszyć się bez rozkazu i bezczynnie słuchać zuchwałych wyzywań ich i żartów...

Wyzywali i żartowali... żartowali z nas, że tak już długo oblegamy miasto i nie dokazać nie możemy... Wtem jeden z nich, ten, którego widzieliśmy zawsze u boku Jana z Giszali, wypada na przód. Wysoki, chudy, czarny, z trzęsącej się gęby ciska na wojska nasze grad obelżywych wyrazów i wyzywa... wyzywa: „Niech który z rycerzy waszych stoczy ze mną pojedynczą walkę... Pójdź, pójdź, Rzymianie! uderz się pierś w pierś z Judejczykiem... niech ramionami memi choćby jednego z was do serca przycisnę!” Niech Pedanus potwierdzi, że tak wyzywał. Słucham, wściekam się, ale stoję, jak wryty. Karność! nikomu bez rozkazu poruszyć się nie wolno! Mniej wytrzymałym i karnym był Priscus, młodzieńcy syn siostry mojej, Serwili... Rok jeszcze nie upłynął, odkąd włożono na niego tożę dojrzałości... wnet potem został żołnierzem... dziecko! Niech Pedanus potwierdzi! Wypadł z szeregów... nie wytrzymał... zerwał się... na Judejczyka leci... spotkali się, starli, walczyli krótko... Priscus mój padł zakrwawiony, przeszyty na wylot mieczem Judejczyka... Niech Pedanus potwierdzi, jak białym i pięknym, jak odważnym i dobrym był syn mojej Serwili... dziecko! Jam nie żonaty... Służąc Rzymowi, nie miałem czasu usłać sobie gniazda... Priscusa chciałem za syna sobie przybrać... Siostrę miałem jedną... tę... Serwilię... uczciwą i słodką kobietę, która, gdym w Rzymie przebywał, karmiła mię doskonałym bobem i wraz ze mną wspomi-

nała rodziców naszych... Z żalu po synie prędko poszła w krainę cieniów!... Niech Pedanus potwierdzi...

Pedanus nie potwierdzał. Pięścią olbrzyma ocierał łzami zwilgocone oczy. Głos Pudensa, który stawał się coraz żałośniejszym, i rysy jego, wykrzywające się do płaczu, rozrzewniły wrażliwą gromadę słuchaczy.

— Gdybym była na miejscu Serwili — cisnąc do piersi wyrostka ze skrwawionem uchem i ukazując białe zęby, krzyknęła Balbia — dopóty pomiędzy Judejczykami szukałabym owego, dopóki bym go nie znalazła, oczu mu nie wykluła, języka nie urznęła i pazurami serca nie wydrapała!...

— A gdybyś, Balbio, matką była Judejczyka tego, którego Pedanus, kręcąc za udo w powietrzu, niósł Tytusowi, cobyś uczyniła? — donośnym głosem zapytał człowiek w płaszczu z kapiszonem.

Nikt go nie słuchał. Gromada, słuchająca opowiadań setników, wrzała.

— Jakto! — najgłośniej krzyczał haftarz Sylwiusz — i żaden z was nie pomścił biednego Priscusa? Zuchwalstwo Judejczyka uszło bezkarnie?...

— Pomściła go strzała Pudensa — zawołał Pedanus. — W towarzysza Jana z Giszali cisnął strzałę... którą ugodzony, padł na ziemię...

— Zabity! — z uczuciem jakby niewysłowionej ulgi westchnął tłum.

Pudens ścisnął pięście i rozpaczliwym ruchem wyciągnął ramiona.

— Niech Pedanus potwierdzi, że jest to plemię czarowników! Zabójca mego Priscusa padł, ugodzony strzałą moją... a jednak widziałem go wczoraj!...

— Gdzie? kiedy? mów!

— Wczoraj, na Septach... Ten sam, który z bluźnierczej gęby cisnął obelgę na boskiego Tytusa i wspaniałą Berenikę... Był to on, ten sam... Niech potwierdzi Pedanus...

— Powiadam wam, że był to ten sam... — potwierdził Pedanus. — Zabitym go mniemaliśmy, wczoraj ożył... dziś znowu może Harpie pociągnęły go do podziemnego państwa...

— Żyje! — piskliwym głosem krzyknął ktoś w tłumie.

Człowiek, ubrany w płaszcz z kapiszonem, zadrdzał. Nikt na niego nie patrzył. Uwaga powszechna zwróciła się na człowieka w brudno-czerwonej bluzie, z głową pół-ryżą, pół-łysą. Pedanus, patrząc na niego z wysokości swojej, zawołał:

— Witam cię, glisto! Wczoraj już rozmawiałem z tobą. Żyje, powiadasz?...

— Żyje! — podnosząc wzrok ku olbrzymowi, odpowiedział Silas.

— Gdzie jest? kędy ukrywa się zabójca mego

Priscusa? Prowadź nas tam, oberwańcze, a sprawimy ci taką nową tunikę, jakiej nie widziały od urodzenia żółte twoje ślepie! — wołał Pudens.

Ale Silas skrył się już za szerokimi plecami Babasa i uwieszoną u ramion siłacza ciemnicą Egipcyanką, Chromią.

Przypomnienie wczorajszego wydarzenia na Sęptach było strzałą, owiniętą w płonąca materję i w tłum rzuconą. Wszyscy naraz zagadali, wszyscy uderzyli w oburzenie nad zniewagą, wyrządzoną synowi Cezara, i obrazą wspaniałej Berekini, w gniew na zuchwalstwo nędznego cudzoziemca, który znieważył majestat ludu rzymskiego.

Z grupy, utworzonej przez Syryjczyków, nad którą wzrostem wynosił się Babas, a którą ożywiał zjadliwy chichot Chromii, piskliwy głos donośnie zawołał znowu:

— Nazywa się on: Jonatan!

Była to druga strzała, w płonąca materję owinięta i w tłum rzucona. Mnóstwu ludzi imię to przypomniało mnóstwo rzeczy. Niejedne uszy słyzały o nim po wielekroć, niejedne oczy szukały go po świecie. Był to jeden z wodzów judejskiego powstania, jeden z najcięższych przestępców przeciw władzy nad światem Cezara i Rzymu. Ten to był, który, po wielekroć raniony, z ran swych wyleczał się zawsze i znowu obok Jana z Giszali przeciw wojskom rzymskim stawał. Ten to był, który, tułaczem już nędznym będąc, zdołał jeszcze

w Egipcie zebrać kilkotysięczną, zbrojną gromadę i wzniecić tam przeciw władzom cesarskim bunt, szybko utopiony we krwi buntowników, lecz świadczący o niepokromionem zuchwalstwie potwora tego. I ten potwór, ten czarownik, którego doścignąć nie mogły ani strzały, ani zbiorowe mordy, ani sturęczne władze wielkiego państwa, znajduje się w Rzymie i śmie... śmie... śmie publicznie urągać majestatowi ludu rzymskiego, złorzeczyć ukochanemu przez lud i wojsko synowi Cezara i oblubienicy jego... Setnicy zeskoczyli z łomów marmurowych, i zbici pośród Forum w gromadkę, złożoną z połyskujących olbrzymów, toczyli pomiędzy sobą namiętą rozprawę. Na łomie marmuru stanął Sylwiusz i, powiewając malowniczymi fałdami togi, poruszając w powietrzu białą ręką, na której błyszczał pierścień z ametystem, przemawiał długo w zgiełku i wrzawie, aż ściągnął na siebie uwagę powszechną i sprowadził względną ciszę. Z giestem pretora i miną polityka, roztrząsającego sprawy ważne, przemawiał:

— Rozważcie to, obywatele, w światłych umysłach waszych! oni jedni opierali się tak długo potędze naszej. Egipt, Syrya, Azya Mniejsza, Galia, Hiszpania dziękują już fortunie za to, że połączyła je z Rzymem, inni warczą, lecz korzą się przed potęgą naszą... rozważcie to, obywatele, przed potęgą naszą, zatem moją, Wenturego i twoją także, Tacyuszu, i twoją, Nigerze, i twoją, Balbio, i twego

małego syna, Balbio! Ci tylko, mizerni, tak długo stawiali nam czoło, i teraz jeszcze, zwyciężeni, bluźnią bogom naszym, Cezarowi i nam... Ale czy oni są naprawdę zwyciężonymi? Rozważcie to, obywatele, w światłych umysłach waszych, czy zwyciężonymi są ci, którzy zachodzą nam drogę wszędzie: w porcie, na rynkach, w portykach, i uczciwym obywatelom rzymskim odbierają zysk z ciężkiej pracy i możliwość wyżywienia swych rodzin...

Tu niby z pod skrzydła, z pod ramienia Sylwiusza wysunęła się ufryzowana główka Wenturego, który, rozpościerając ramiona, zawołał:

— Sylwiusz rzekł prawdę! Odkąd rozmnożyli się oni za Tybrem, nie sprzedają połowy tej ilości perfum, jaką sprzedawałem dawniej... Sylwiusz rzekł prawdę!

— Prawdę rzekłeś, Sylwiuszu, prawdę rzekłeś! — odpowiedziało mnóstwo głosów, których większość należała do robotników, pracujących w fabrykach Sylwiusza i Wenturego. Naśladując klientów wielkich panów, rzęsistymi nawet oklaskami osypali oni mowy swych pracodawców.

Oprócz nich zresztą znajdowało się w słuchających gromadach wielu innych najemników, którzy ubogi lub nawet nędzny mieli pozór. Ci w każdej okoliczności przypomnieć radzi to, co obchodziło ich najwięcej, wołać zaczęli, że dwanaście asów dziennego zarobku nie starczy im na wyżywienie

się i utrzymanie rodzin i że patronowie powinniby płacić więcej.

— Jakże uczynić to możemy — z giestem, wyrażającym rozpacz, odpowiedział Sylwiusz — skoro sami ze stron wszystkich doświadczamy najsroźszych ucisków? Nie dość, że patrycyusze prowadzą na własną rękę mnóstwo fabryk i wyroby swe, dokonywane przez niewolników, taniej od nas sprzedawać mogą, trzebaż jeszcze, abyśmy we własnej stolicy naszej udręczani byli przez cudzoziemców!... Rozważcie to, obywatele...

Potem słodkim, jak miód, czułością nabrzmiałym głosem, zawołał:

— Czy przystaniecie na to, obywatele, aby uczciwi Rzymianie obsiedli most żebraków, a cudzoziemcy rozpierali się z bogactwami swemi w grodzie przodków naszych?... Rozważcie to w światłych...

— Most żebraków! most żebraków! — z pod ramienia mówcy jękliwie przerwała ufryzowana głowa perfumiarza — rozważcie to w światłych głowach waszych!

— Na Kastora! — zawołał wysoki i chudy *Mercenarius* — gdy patronowie obsiądą most żebraków, my dzieci nasze chyba w Tyber powrzucamy!...

— Jeżeli wprzód na wieczerzach sabbatowych nie pozjadają ich Judejczycy!

Ostatnie słowa wymówił człowiek, który dotąd

w milczeniu przysłuchiwał się wszystkim mowom i rozmowom. Stał on u stóp *rostry*, publicznej mównicy, plecami oparty o jeden z okrętowych przodków, z których składał się wysoki jej piedestał. Bogatą suknią okryty, na ciemnej twarzy miał wyraz przebiegłości, właściwy niewolnikom wielkich rodów, pełniącym u boku panów swych czynności rządców domu, pochlebców, tajemnych agentów w ciemnych i często niebezpiecznych sprawach. Poznano w nim ulubionego niewolnika, rządcę domu, pochlebcę i tajemnego pełnomocnika Cestyusza, byłego dowódcy wojsk rzymskich w Judei.

W mgnieniu oka ciekawość publiczna opuściła Sylwiusza, a zwróciła się ku najstarszemu słudze wielkiego pana. Otaczało go kilku innych jeszcze ludzi, którzy naraz albo z kolei przemawiali, wtórowali słowom swego zwierzchnika, albo je uzupełniali. Wszyscy oni byli z panem swym w Judei, znali dobrze ten kraj i zamieszkujące go plemię. Opowiadali też rzeczy, od których słuchacze bledli z przerażenia, albo drżeli z gniewu. Jakto? Pieką ciała cudzoziemców i zjadają ich wnętrzności?! cześć oddają osłej głowie, kozłowi i takiemu bożkowi, którego wnętrze napełnione jest ogniem! W ogień ten rzucają na ofiarę dzieci! Bożek ten nazywa się Moloch. Modlą się też do cielęcia, ulanego ze złota. Posiadają czary i zaklęcia, któremi cudzoziemców nawracają na swoją wiarę. Mnóstwo jest w Rzymie ludzi, którzy wiarę ich przyjęli. Czy

lud rzymski spokojnie patrzeć będzie na opuszczone bóstwa swoje?... Poprzedni Cezarowie nieraz już przeciw Azyatom tym świętości Rzymu bronili. Klaudyusz wypędził ich z Rzymu. Cezar Wespazyan łagodny jest i zatrudniony innemi sprawami, ale nienawidzi ich, i po tem, co wczoraj zaszło na Septach, opuści pewno na nich karzącą prawicę...

Na Forum rozległy się syczące szmery:

— Cezar ich nienawidzi! Czy słyszycie? Cezar ich nienawidzi! Sługa Cestyusza wie, co mówi! Mówi on, że Cezar ich nienawidzi!

Wysmukły, zgrabny człowiek, w płaszczu z kapi-szonem, szybko teraz opuścił błyszczący niezmiernemi bogactwy, huczący wrzawą roznamiętnionych tłumów rynek obywatelski. Z trudnością niejaką przecisnąwszy się przez gęsto zaludnione ulice Tuskulańskie, minął rynek drzewny, okryty pijącą i hulającą tłuszczą, okrążył wielki cyrk, nad którym akrobata, podobny do jaskrawo opierzonego ptaka, wieszal się po wysoko rozciągniętej linie, i wązkami przejściami wstąpił na Awentyn, gdzie ażurem kolumnady i barwami fryzu, przez Artemidora malowanego, jaśniał portyk Cestyusza.

Tu ciszej znacznie było, niż gdzieindziej. Na krzyżujących się dokoła portyku ulicach nie zasta-wiono stołów z ucztami i nie hałasował uczujący lud; w portyku zaś przechadzało się kilku ludzi, z których jeden, najwyższy i najbarczystszy, brodę

miał siwiejącą, płaszcz ciemny, twarz spokojną, choć gęsto zbrózdzoną. Przechodzień, idący z Forum, przystanął i słuch wyteżył w stronę przechadzających się ludzi. Zatrzymali się też oni wkrótce w pobliżu jego. Młody i świeży głos zapytywał:

— A teraz, Muzoniuszu, powiedz nam, czym jest odwaga?

Plecami wsparty o kolumnę, z ramionami skrzyżowanymi u piersi, stoik odpowiedział:

— Odwaga, Epiktecie, jest cnotą, uzbrojoną w obronie sprawiedliwości. Nie jest ona potworem, który rzuca się w porywie chciwości i barbarzyństwa, dla nasycenia chuci i pychy, lecz wiedzą o prawach ludzkich, nauczającą odróżniać to, co znosić wypada, od tego, co cierpieniem być nie powinno. Serce Sparcyaty gorzało tylko dla zwycięstw. Tak samo dzieje się z pysznym. Chce on być pierwszym, chce on być jedynym, a wznieść się tak nad innych nie może, bez zranienia sprawiedliwości i zdeptania dobra. Z takim walcząc, odważnym szermierzem sprawiedliwości będziesz...

Chwilę panowało milczenie. Potem ktoś znowu zapytał:

— A czym-że, mistrzu, w samej istocie swej jest dobro?

— Składają się na nie cztery pierwiastki: miłość ludzi, miłość prawdy, miłość wolności i miłość harmonii.

Wysmukły przechodzień, który, z jedną stopą

postawioną na podstawie kolumny, łokieć na kolanie, a czoło na dłoni opierał, podniósł głowę i zawołał:

— Słowa twoje, mistrzu, jak muzyka niebieska grają w ciszy tego portyku i jak balsam kojący cieką w zgiełku, który napełnia dziś to miasto. Ale, Muzoniuszu, gdy ty szlachetnych młodzieńców tych nauczasz tu miłości dla ludzi i prawdy, tam, na Forum, wilki i żmije leją w duszę ludu rzymskiego jad pychy i nienawiści!

Muzoniusz i otaczający go młodzieńcy obejrzeni się, ale przechodzień, który wyborną łaciną, z lekka tylko zaprawną cudzoziemskim akcentem, słowa te wymówił, spieszenie już skręcał na jedną z ulic, ku Tybrowi wiodących. Po chwili milczenia, w grupie, stojącej w cieniu portyku, ozwał się głos młodzieńczy, lecz ironią i popędliwą goryczą brzmiący:

— Ktokolwiek był przechodzień, który przemówił do nas, prawdę powiedział. Obejrż się, Muzoniuszu. Gdy my, w chłodnej tej ciszy, pijemy wraz z tobą niebieski napój filozofii, dokoła nas wrą szaly zwierzęce, lud obżera się, opija, hula i wydaje okrzyki na cześć tych, którzy przemieniają go w trzodę wieprzy i wilków. Gorycz i oburzenie wzięły wodze myśli moich i pytam cię, mistrzu: dlaczego tak wąską i niezaludnioną jest droga, po której za tobą idziemy?

Muzoniusz łagodnym wejrzeniem objął głowę wątpiącego młodzieńca, i głosem, w którym czuć

było spokojnie uśmiechającą się duszę, odpowiedział:

— Jest ona, Juwenalu, wysoką i nieśmiertelną. Zdjęty gniewem na zbrodnie i głupoty ludzkie, wiedz o tem, że ród ludzki nie kończy się na nas i że pochodzący jego wiek ten nie zamknie. Z pod niebieskiej jasności i ciszy filozofia swoje prawdy swe w dusze rzadkie, wybrane, które zwolna i z trudem roznoszą je po przestrzeni i czasie. Myśmy kapłani jej i szerzyciele. Do nas to stosować należy wiersz Enniusza: „Niechaj nikt łzami grobów naszych nie skrapia, bo żyjemy wiecznie, z duszy do duszy latając“. Gdy namiętności kipią, przemoc uciska, głupota szaleje, nie cofajmy się z szeregu szermierzy za prawdę i dobro, lecz, jak na skale wysokiej i nieśmiertelnej wsparci, w przyszłość świata zapatrzeni, czoła na gromy i fale wystawiając, przy zasadach stójmy!...

Wśród oddalonych szumów, które z rynków i ulic taranami niby były w upalne powietrze, słowa Muzoniusza niebieską muzyką grały w cichym i chłodnym portyku, balsamem gojącym lać się zdawały na ziemskie wrzawy i szwały. Młodziutki Juwenal do ust, z których zniknął sarkastyczny i gorzki uśmiech, poniósł skraj płaszcza ukochanego mistrza; głębokie i cierpiące oczy Epikteta napęłniły się blaskiem natchnienia; Tacysz z zamyślonem czołem i energicznymi rysami zawołał:

— Pójdźmy, mistrzu, na Forum, aby na wła-

sne oczy zobaczyć to, o czem mówił nam ów przechodzień!

Lecz do grupy rozmawiających zbliżał się spiesznie młody mężczyzna, w białej tunice i w srebrnej opasce na kruczych włosach. Był to Artemidor. Z głębokiem uszanowaniem skłonił się przed Muzoniuszem, rówieśników zaś przyjaznem obrzucił spojrzeniem.

— Helwidyusz i Fania proszą cię, mistrzu — rzekł — abyś co najprędzej przybył do domu ich, w którym, zanim upłynie godzina, przyjmować będą odwiedziny Domicjana, syna Cezara.

Oczy stoika zaświeciły, jak u rycerza, zwywanego do boju; wkrótce jednak na wysokiem czole jego drgnęły i pogłębiły się zmarszczki. Wzniósł nieco ręce, spojrzeniem utonął wysoko.

— Domicjan w progach córki Trazea... twarzą w twarz z Helwidyuszem...

Tu dając się porwać płomiennemu charakterowi swemu, który filozofia na wodzy trzymała, ostudzić go nie mogąc, zawołał:

— Jest-że dzień choćby jeden, którybyśmy w spokoju i bezpieczeństwie wielkim myśлом i rozważaniom poświęcić mogli? Bądźmy gotowi, o ukochani! bądźmy gotowi na to, że każda godzina dla niejednego z nas feralną stać się może.

Odeszli.

Przechodzień, który przed chwilą do Muzoniusza przemawiał, był już daleko. Ulicą, która z bramy

Ostyjskiej ku Tybrowi wiodła, spuścił się z Awentynu, przeszedł pod cienistym sklepieniem łuku Germanicusa, przebył most i znalazł się w żydowsko-syryjskiej dzielnicy Zatybrza. Tu cisza panowała głęboka. Ludność syryjska wyciągnęła na miasto ku ulicznym zabawom i ucztom, Żydzi zawiesili zwykle swe zajęcia. Możliwe myśleć, że, uczuwszy powiew burzy, przypadli ku ziemi, oddechy nawet zapierając w piersiach. Dzielnica miała pozór taki, jakby zamieszkująca ją ludność wymarła.

Izdebka, zbudowana nad dachem Menochima, pełną była ludzi, którzy gorączkowemi stopy deptali podłogę, ubitą z gliny, wapna i popiołu, a turbanami dotykali prawie belek sufitu. Niewielu ich było, a jednak ścisk był taki, że popychali się i nadeptywali wzajem. Przez szybę z pęcherza wdierało się niewiele światła, powietrza brakło również; strugi potu ciekły z pod turbanów na twarze zorane, prerażone.

Przechodzień, przybywający z Forum, szybko po wązkich schodach wbiegł na taras i wszedł do izdebki. Wszedłszy, natychmiast płaszcz z kapiszonem na ziemię z ramion zrzucił; z pod niego ukazał się wykwintny strój rzymski, od którego ponury Symeon i kilku innych ze wstrętem odwrócili oczy. Ale Menochim rzucił się ku przybyłemu i chciał ręce jego całować.

— Justusie! zbawco Jonatana mego...

Nie dał mu dokończyć. Ani na wdzięczności

pełne uściski Menochima, ani na podejrzliwe spojrzenia innych nie zważając, sekretarz Agryppy prędko opowiadać zaczął o wszystkim, co widział i słyszał na mieście, o tem także, o czem dowiedział się w domu zwierzchnika swego. Sroga burza wisiała nad tułaczą gminą. Cezar i synowie jego, arystokracja żydowska i część patrycyatu rzymskiego, żołnierze, kupcy, lud, wszystko to zawrzało przeciw przybyszom gniewem i nienawiścią, które nigdy istnieć nie przestawały, ale teraz, rozżarzone, wybuchnąć mogły.

Jak strasznym mógł być wybuch taki, świadczyły o tem edykta poprzednich Cezarów, skazujące ludność żydowską na ryczałtowe wygnanie z Rzymu, i świeże sceny mordów i pożog, które już po upadku Jerozolimy napelniały nieraz Antyochię, Aleksandryę, Cezareę. Nadewszystko życie Jonatana srodze jest zagrożonem. Wiedzą dziś już wszyscy, że żyje on i gdzie przebywa. Lecz bezpieczeństwo gminy całej wisi także na włosku, nad którego zerwaniem wiele rąk pracuje.

Obecni pobladłe i drgające twarze jednomyślnie zwrócili ku Jonatanowi, stojącemu nieruchomo w pobliżu okna. Stał, ramieniem o ścianę wsparty, a profil chudej twarzy, gęsto obrosłej, ostro i posępnie rysował się na złotawej od słońca szybie z pęcherza. Menochim przysiadł w kącie izdebki i, skurczony, twarz ukrył w dłoniach. Inni zapytywali:

— Po co Jonatan uczynił to, co gminę całą na niebezpieczeństwo narażało? Po co obudził drzemiące stada jastrzębi? Dlaczego od wczoraj milczy, jak gdyby usta jego zamknęła pieczęć Pańska? Dlaczego wciąż w ziemię patrzy, jak gdyby wstyd go obarczał, on, który przedtem śmiałem okiem ryce-rza w oblicze ludu swego spoglądał?

Justus, stojąc przy nim, łagodnie namawiał, aby postępek swój usprawiedliwił przed tymi, którzy za niego ponieść mogą srogą odpowiedzialność i karę.

Jonatan milczał, jak grób. Na twarzy jego, zwykłą mu wprzód hardość i popędliwość zastąpił wyraz głębokiego upokorzenia. Najmniej przenikliwe oko wyczytałoby na niej mogło dojmujące uczucie wstydu. Ci, którzy z tłumnymi zapytaniami zwracali się ku niemu, nie śmieli dotknąć go żadnym obelżywem słowem. Nie był-że on jednym z najzaciętszych obrońców ojczyzny i świątyni, przyjacielem Jana z Giszali, męczennikiem sprawy świętej? Lecz bojaźnią zdjęte, rozjątrzone piersi ich wrzały gniewem. Ponury Symeon, rzucając ręką w stronę Justusa i ukazując rzymski strój jego, krzyknął:

— Zdrajcą jest ten! Jeżeli chcemy, aby zlitował się nad nami Pan, przepędźmy z pośród siebie tych, co przyodziali się w skórę edomską. Precz ze zgromadzenia wiernych!

Justus zbladł, a potem oblał się szkarłatem. Nie

miał czasu odpowiedzieć, bo pomiędzy niego a Symeona rzucił się Goryasz. Twarz Hillelisty gorzała rumieńcem oburzenia.

— Za jaką winę — krzyknął — łzysz młodzieńca tego, który już nieraz służył nam radą i pomocą, a wczoraj osłonił przed wrogiem rycerza Syonu?

— Na uszy własne słyszałem — wołał Symeon, jako mówił, że w greckich i rzymskich naukach mieści się wiele prawd wielkich i że źle czynimy oddalając się od nich...

— Mówił może prawdę... — nieśmiało wtrącił w tłumie ktoś z młodszych.

Kłótnia zawrzała. We wrzawie jej zarysowały się wyraźnie dwa prądy, ciekące w tem morzu nieszczęścia. Jeden płynął nienawiścią bez granic; drugi smutkiem wielkim, lecz nie gaszącym pochodni rozumu.

— Szamaistą jestem i szczycę się tem! — wołał Symeon. — Szamaistą jestem, który wściekł się przeciw narodom cudzym i dla którego wszystko greckie i rzymskie jest jako psie ścierwo, zarażające winnicę Pańską. Mędrców naszych wielbię, tych, którzy w Jabue głoszą: „Z każdej litery wyciągnąć korzec przepisów, a z tych przepisów utworzyć płot, któryby Izraela od innych oddzielił narodów“.

Goryaszowi w zapale sprzeczeki turban osunął się na tył głowy, a z pod niego rude kędziory

opadały na spocone czoło. Śmiał się z szyderstwem, źle przystajacem do łagodnej twarzy.

— Dzięki mędrcom naszym — mówił — którzy dniami i nocami przemyśliwają nad tem, co uczynić czystem, a co nieczystem, narody obce słuszność mają, twierdząc, że wkrótce słońce samo czyścić zechcemy, aby bez grzechu módz na nie spoglądać!...

— Zdrada! przeniwierstwo! odszczepieństwo! Zdrada! Zdrada! — wołało głosów kilka.

— Biada ci, ludu mój! — wszystkie inne przenosząc, zabrzmiał u okna głos młody i donośny — rozjątrzony i podejrzliwy, będziesz ty odtąd straszniem imieniem zdrajcy piętnować każdego z synów swoich, który ci kroplę świeżego napoju poda w naczyniu nowem, albo przestrogą prostować spróbuje drogi twoje!

Był to głos Justusa. Wnet zdyszane piersi okrążyły go murem ciasnym, a kilkanaście ramion groźnie wyciągnęło się ku niemu.

Zgiełk nieopisany powstał. Zapominając o bezpośrednio grożących niebezpieczeństwach, ludzie ci płonęli wieczną gorączką nieszczęśliwych.

— Precz z grona wiernych, służalcze Agryppy! Miotło Edomitów! Trądzie na ciele Izraela! Zuchwały plwacz na świętości nasze! precz stąd! precz!

Kilka rąk chwytalo go za ramiona i darło na nim rzymską tunikę; jedna ciemna ręka, z kur-

czowo drgającymi palcami, ręka Symeona, którego oczy paliły się dzikim ogniem fanatyzmu, zbliżała się ku jego obnażonemu gardłu. Sekunda jeszcze, a szaleństwo, powstałe z nieszczęścia, urodziłoby zbrodnię. Lecz w tejże chwili Jonatan obudził się, jakby ze snu. Było to obudzenie się lwa. Do lwa podobny rzucił się ku zagrożonemu i zasłonił go przed napastnikami pierśią swą i rozpostartymi ramionami. Na zgnębioną i zawstydzoną przedtem twarz jego wróciła śmiałość i duma. Oczy ciskały błyskawice, zbieleły usta drgały.

— Z dala! z dala od niego!... — zawołał głosem, w którym ozwały się echa wojennych rozkazów — jam człowiek czynu, nie słów... W boju i bólu zapomniałem, co czyste jest, a co nieczyste... i o mędrcach waszych w Jabue nie mówiły mi nic wichry pustyń i bałwany mórz przebywanych... To tylko wiem, że kocham Judeę, a bolące rany moje mówią, że człowiek ten kocha ją także... On, brat mój... dobry!

I dziwnie miękko ramiona zaokrąglił dokoła piersi Justusa, a rozpalone oczy, w twarz przyjaciela patrzące, omglily się taką czułością, z jaką może niegdyś, niegdyś, w niewinnych dniach pacholeństwa, patrzyły w purpurowy kielich róży, którą z ogrodów Cezara przynosił Mirtali...

— Dobry... — powtórzył ciszej. — Ja nie wiem, kto z tych ludzi prawy jest, a kto nieprawy... mnie do ich sporów — nic. Wiem tylko, żeś przyjacie-

lem moim od dni dziecinnych i że skrzywdzić cię nie dam...

Nie dam! — powtórzył jeszcze, na Symeona i stronników jego patrząc, a głos jego rozległ się znowu w ciasnych ścianach izby wojennym rozkazem.

Obecni osłupieli zrazu, potem cofnęli się. Znieważać rycerza i męczennika nie śmiał i nie chciał nikt. Niektórzy z zawstyżeniem pochylili głowy; inni żuli gniew w warczących ustach. Goryasz, twarzą ku ścianie zwrócony, płakał; Menochim, skurczony w kącie, zmordowanem okiem patrzył na dwóch przyjaciół, których postacie, w cień usunięte, zlewały się w jedną. Wśród czarnego, jak noc, zarostu, białe zęby Jonatana groźnie jeszcze błyskały.

Wtem, pośród chwilowej ciszy, z jednego z kątów izby ozwał się głos bardzo stary, łagodny i proszący:

— Pozwólcie, bracia, aby najpokorniejszy z was, ale latami najstarszy, przemówił do was.

Słowa te wyrzekł Aron, bardzo stary dziad bladej i smutnej Eli, najmilszej przyjaciółki Mirtali. Niedawno jeszcze roznosił on po mieście wonności, wyrabiane w fabryce Goryasza, i wraz z Mirtalą stawał z towarem swym w portyku Cestyusza. Teraz jednak wielka słabość woskową żółtością oblała mu twarz zdrobniałą, cierpiącą, otoczoną białym jak śnieg zarostem. Turbana na głowie udźwignąć

już nie mógł; śnieżne włosy spływały mu z pod okrągłej mycki na chudą szyję i pomarszczone czoło. U kolan jego leżał sękaty kij, na którym złożywszy trzęsące się ręce, z szyją wyciągniętą, łzawemi oczyma po zgromadzeniu wiodąc, mówić zaczął:

— Kiedy sprzeczeki waszej słuchałem, Przedwieczny podszeptał uchu memu przypowieść, zapisaną w jednej ze świętych ksiąg naszych...

Wszyscy umilkli i słuchali. Na wąskich ustach Arona zaigrał uśmiech przebiegły. Wzniósł nieco ręce i, czyniąc ruch liczenia na palcach, mówił dalej:

— Cztery rzeczy na ziemi są małe, a mędrze od najmędrzych. Mrówki, lud słaby, które we żniwa przygotowują żywność sobie; zajaczk, gmin nie silny, który jednak w skałach łożyska sobie czyni; szarańcza, króla nie mająca, lecz chodząca hufcami; pajak, lichy owad, a jednak mieszkający w pałacach królewskich.

Umilkł i, przebiegle uśmiechając się, z pod czerwonych powiek wzrokiem po obecnych wodził. Ci, z wyrazem zapytania w oczach, na niego patrzyli. Po chwili z głębokim namysłem w głosie kończył:

— Klótnie, tak jak i rozkosze, potężnych rzecz. Lud słaby ma, jako mrówki, pilnie zgromadzać żywność sobie, aby mu sił do życia nie zabrakło; niech, jak zające, wytrwałem pukaniem, twarde skały przekuwa dla siebie w bezpieczne łożyska.

Gdy, jak szarańcza, bez ziemi jest i króla, niech spójnym hucem chodzi. Niech tak, jak pająk brzydki i gardzony, przedzę swą wszędzie rozsnuwa, aby miał o co zaczepić się w tym królewskim pałacu, który Przedwieczny zbudował dla wszystkich narodów — silnych i słabych.

— Niech się tak stanie! — uroczystym chórem odpowiedzieli obecni i cicha uroczystość spłynęła na wszystkie twarze zmordowane i płonące, lecz które słowa starca postawiły przed obliczem długiej, trudnej, krwawej przyszłości.

Ale Aron miał jeszcze coś do opowiedzenia. Starym był bardzo i pamiętał wiele, pamiętał dzień nieszczęsny, w którym z rozkazu Cezara Klaudyusza wygnano z Rzymu wszystkich zamieszkujących w nim Żydów. Opowiadał o nędzach i rozpaczach strasznej owej pory. Któż zgadnie rozpacz mrówek, gdy ciężkie koło przebiegającego wozu mrowisko ich rozgniecie i drobny ludek rozpędzi we wszystkie strony świata? Nikt nie zważy brzemion i smutków, które unosi z sobą rój człowieczy, z siedliska swego w szeroki świat pognany...

Być może, iż pod ciężkimi turbanami włosy obecnych na głowach ich powstawały. Przy opowiadaniu Arona kolana i ręce ich drżały.

— Zwołać wszystkich starszych gminy! narażać się! Do kogo udać się po obronę i ratunek? Jak zażegnać gniew Cezara i Rzymian? Co czynić?

Z wołaniami i zapytaniami temi opuszczali

izdebkę tak, jak gdyby w tej chwili już gonila ich kosa śmierci; spiesząc się, nadeptywali sobie wzajem na pięty. Menochim powlókł się za nimi; Aron, wspierając się na sękatym kiju, wyszedł ostatni.

Justus i Jonatan pozostali sam na sam. Sekretarz Agryppy pochwycił ręce przyjaciela i zarzucił go pytaniami:

— Obce ludy, Jonatanie, miewają wielkich mężów, roniących wielkie słowa. Jeden z nich rzekł: „Miłość ojczyzny jest tak ogromną, że ją nie trwaniem naszego życia, lecz troskliwością o jej życie mierzymy“. Ona to cię upoiła! Nią uniesiony, nie mierzyłeś jej trwaniem życia swego i swoich.

Jonatan słuchał z odwróconą twarzą, aż z porwczym giestem zawołał:

— Przestań, Justusie! nie powiększaj wstydu mego! pierwszy to raz sprzeniewierzyłem się sprawie świętej! przebacz, Judeo! pierwszy raz oddałem pokłon cielcowi namiętności własnych!

Czoło przyciskał do ściany, blade usta przygryzał do krwi, cicho i ponuro szeptał:

— Ułomnym jest człowiek, z niewiasty zrodzony...

Potem, nie zmieniając postawy, prędko mówić zaczął:

— Jakoż mówić miałem, że uczynił to przez nienawiść wroga, kiedy usta me otworzyła miłość dla kobiety? Miałem łąć podle, albo otwierać

skrytości upadku swego?... Kiedy tu przybywałem, w późnej wieczornej godzinie widziałem dziewczkę, idącą u boku Rzymianina i toczącą z nim cichą rozmowę... W domu ojca naszego ujrzałem ją i, jak w niebieskich podwojach, utonęły w niej oczy moje, lecz uczulem zaraz, Justusie, wiejącą od niej woń Edomu. Gołębie oczy swe odwracała ode mnie i myślała... o tamtym!... Kiedym trzymał jej rękę, wyrwała się i myślała o tamtym!... W Moade-El nie przybliżyła się ku mnie, jak inni, lecz stała z daleka, blada od grozy... Brzydzi się ona, Justusie, trądem nieszczęść naszych i myśl swą kapie w przeklętych rozkoszach Rzymu. Opuściwszy Moade-El, przez noc całą okiem niezmruczonem patrzyłem w niebo, pytając Przedwiecznego o zagadkę mąk moich... Z oberż syryjskich cichem powietrzem leciało ku mnie imię Bereniki... O, truciicielko!... przed świtem byłem już za Tybrem. Nie szedłem sam. Niósł mię duch! Nie wiedziałem, co uczynię. W głowie mojej nie było nic, prócz szumu, grzmiącego: biada! Nie myślałem o Judei, ani o zniszczonej chwale Przedwiecznego... myślałem o tej mojej... nie mojej!... Kiedy tamta... jak zmija, złotą łuską okryta, podniosła się na spotkanie Edomskiego kochanka, nie widziałem jej... nie widziałem jej... przed oczyma stała mi moja... i do Rzymianina swego wyciągała ramiona... Wtedy krzyknąłem... pierś miałem pełną jęków i klątw...

Justusie, początek czynu mego nie w miłości ojczyzny był, lecz — kobiety!

Łkał głośno, spłonioną twarz krył w dłoniach, z pod których ciekły łzy, aż ugięły się pod nim kolana i, czołem ziemi prawie dotykając, prędko szeptać zaczął:

— Ułomnym jest człowiek z niewiasty zrodzony... przebac, Judeo! nie gaś, Przedwieczny, ogni-stego słupa, za którym szedłem dotąd krwawą moją drogą!

Smutnie i pobłaźliwie słuchał Justus wyznań przyjaciela i z cicha mówić zaczął. Mówił, że noc całą spędził na przygotowaniach do uciezki tego, kto dziś już pojmanym zostać może; że w przystani stoi Łódź, gotowa wypłynąć ku Ostyi, gdzie przyjaciele, uprzedzeni o wszystkim, przyjmą go i wnet umieszczą na pierwszym statku, który port morski opuszczać będzie...

— Na morze! na morze! — zawołał nakoniec — na nową tułaczkę i nędzę... ale innego wybawienia niema!

Jonatan powstał.

— Nie! — odpowiedział stanowczo — nie odejdę z domu tego sam.

— Jakto? w okolicznościach tak groźnych chcesz uprowadzić z sobą dziewczeczkę?

— Chcę ją stąd zabrać, jako małżonkę moją.

Daremniemi były długie namowy Justusa.

— Zginiesz — mówił.

— Wraz z nią! — ponuro odrzekł Jonatan.

— Pójdź do łodzi!

— Więc... doradzasz mi, abym ją pozostawił
objęciom Rzymianina?

Zaśmiał się gorzko.

Justus załamał ręce, zbiegł ze schodów i w izbie
dolnej kilka razy zawołał:

— Mirtalo! Mirtalo!

Otwierając wązkie drzwi, wiodące na ulicę, po-
wtarzał jeszcze:

— Mirtalo! Mirtalo!

Nadaremnie. Ta, której wołał, była daleko.

VIII.

Była ona u szczytu wzgórza Awentyńskiego, na którym, otoczony śnieżną kolumnadą, stał dom pretora.

Nie bez trudności przebywała drogę, bo ciągnące ulicami, wpół-pijane gromady, wstrzymywały ją i zaczępiały grubijańskimi słowy. Milczącej jednak i spiesznie usuwającej się z drogi nikt nie uczynił nic złego. Młodziutka zresztą głowa jej i zgrabna kibić okryte były przed skwarem i tłumem białą oponą, jakiej niekiedy używały judejskie kobiety. Trwogi nie czuła żadnej. Myśl jej czem innem zajęta była, niż niebezpieczeństwem, jakieby ją spotkać mogło. Po obronę i ratunek szła do tych możnych, dobrych, mądrych... Alboż oni sami nie cierpią także? Ileż razy widziała błądź bólu i gniewu, oblewającą twarz pretora? Ileż razy z oczu Fanii, w jej obecności, padały łzy! Muzoniusz, tak jakoś nieokreślenie, lecz tak dziwnie do Menochima podobny! A on? On także jest tam

pewnie... Wstawi się za nią i za ludem... Zobacz go! Jakto? zobaczy go? dziś! zaraz! O słońce szczęścia, dobywające się z ponurej nocy! Piekło opuszczała, raj był przed nią. Drżała pod białą zasłoną, na której iskrzył się haft srebrny... Leciała, a za nią leciał, na skrzydle białej zasłony, rój srebrnych iskier.

Przed drzwiami domu pretora stanęła. Panowały tam ciżba i zgiełk. Kilkudziesięciu Numidów potężnych, czarnoskórych, przybranych w złote ozdoby, stało w posągowej nieruchomości, na ramionach dźwigając lektyki, podobne do małych domów, wyłożonych, w kość słoniową i szkarłatny zdobnych. Dokoła lektyk mnóstwo służby różnych przeznaczeń, w białych sukniach, wyszywanych złotem, skracalo sobie czas próżniaczego oczekiwania rozmową i dorywczeimi zabawami. Niektórzy, na chodniku usiadłszy, grali w rzucanie monet, które na jednej stronie przedstawiały głowę panującego Cezara, na drugiej przód okrętu. „Głowa, czy okręt?“ rozlegały się wołania, i monety z metalicznym dźwiękiem padały na bazaltowe płyty chodnika. Inni, pośrodku ulicy, bawili się w odgadywanie zagadek i w ściganie zalotnymi żartami przechodzących kobiet. Przed drzwi pobliskiej, wytwornie zbudowanej oberży, wybiegła młoda Greczynka, w żółtej sukni, czerwonym pasem wysoko przewiązanej, i pomiędzy kolumnami jońskimi stanawszy, wabiła ku sobie służbę cesarską rozkosznym uśmie-

chem i błyszczącą amforą, którą na dłoni do wysokości głowy swej wznosiła.

Wszystkim wiadomo było, że białe, złotem wyszywane tuniki stanowiły barwę cesarskiego dworu, której, prócz Cezara i synów jego, nikomu w Rzymie używać nie było wolno. Niedawno jeszcze rozpowiadano sobie o srogiej obrazie, jaką zapłonął był Domicyan, gdy Salwidyenus, jeden z najmniejszych wykwintnisiów czasu, ośmielił się służbę swą przyodziać w strój podobny. Domicyan to właśnie nawiedzał dom Helwidyusza. Jego to słynni z siły swej Numidzi, jak czarne kolumny, podpiekali lektyki, bogactwem kapiące; jego to służba złotymi haftami zalewała ulicę; jego liczna świta napelniała część wchodowego podwórza domu i połowę *atrium*, czyli pierwszej od wejścia sali, której drzwi szerokie były w tej chwili na oścież rozwarte.

W tej chwili *atrium* przedstawiało obraz wspańiały i tłumny; przez kilka rzędów lekkich kolumnad, nad którymi w ciężkie festony podniesiono kwieciste kobierce, wzrok nurzać się mógł w szeregu komnat dalszych, których światła i cienie krzyżowały się po kunsztownych sprzętach, mozaikowych posadzkach, malowaniami okrytych ścianach, długich szeregach posagowych wyobrażeń bohaterów i bogów. U końca perspektywy tej, długą galerią biegł pełen kwiatów perystyl, zamknięty rzędem żółtych kolumn, które, jak słupy ogniste, gorzały w słońcu, na tle gęstej zieleni ogrodu. Czwo-

rokatnym tylko otworem w dachu oświetloną salę, noszącą nazwę *atrium*, napełniało półświatło. Pośrodku zbiornik wody stalową szybą błyszczał w wieńcu zieleni, za nim, na marmurowym ołtarzu płonęła zwolna wiązka wonnego drzewa, a dookoła płomyków, wydzielających pachnące dymy, stały różnej wielkości posągi, wyobrażające bóstwa domowe, patronów i patronki spraw i uczuć rodzinnych. Dookoła domowego ołtarza tego, u stóp bóstw domowych, zasiadała w tej chwili rodzina i skupili się przyjaciele pretora. Było to grono dość liczne, pośród którego najprzód rzucała się w oczy posępna postać starej Aryi; w czarnych zasłonach, na wysokiem krześle siedzącej. Naprzeciw niej Fania roztargnionym gościem pieściła krucze włosy siedzącego u kolan jej małego syna. W pobliżu dwu tych kobiet, na tle brunatnych tog klientów domu, otoczony uczniami swymi, stał Muzoniusz; Artemidor ramieniem obejmował szyję sarkastycznie uśmiechającego się Juwenala; młodziutki Tacytus, z posępnie ściągniętymi brwiami, wpatrywał się w tłum, napełniający przeciwległą połowę sali, na który też głębokimi oczyma swemi smutnie spoglądał blady i cichy, tylko co z pęt niewolnictwa wyzwolony, Epiktet.

Przeciwległą połowę sali napełniał dwór Domicyana: dostojnicy wojskowi w błyszczących strojach, szambelani w barwie dworskiej, senatorscy i szlacheccy synowie, z utrefionymi włosy, wonie-

jący, różnobarwni, do niewiast zalotnych podobni. Był tam ponury zawsze i wojenne porażki swe względami młodego Cezara osłonić usiłujący Cestyusz; był także, w wieńcu ze świeżych róż na głowie, ładny Stella, przy sposobności każdej cytujący wiersze słynnych poetów; był jeszcze butny hulaka i wykwinłoś, Salwidyenus, i ulubieniec Domicyana, Metius Karus, i wielu innych jeszcze ludzi, którzy napelniali Rzym rozgłosem uczt i orgii, zuchwalstwem zbytków, dziwactwem zniewiesciałych strojów.

Stali tam oni w postawach rozmaitych: miękko chyląc zwieńczone głowy na jedwabiami okryte ramiona przyjaciół, leniwie wspierając się o kolumny, zamieniając się z sobą krótkimi szeptami i uśmiechami. Stella ukazywał Cestyuszowi białe swe palce, skarżąc się, że je okrył pierścieniami, zbyt ciężkimi na dzień tak upalny; Salwidyenus zmysłowe wargi przykładał do ucha młodego prefekta pretoryanów, z cynicznym błyskiem oczu wskazując na stojącego za panem swym ślicznego Greczynka, Heliasa; lecz prefekt pretoryanów nie mógł oderwać oczu od czarnej postaci Aryi, budzącej w nim przesadną trwogę, i jednemu z szambelanów zwierzał się po cichu, że wolałby spotkać się z gromadą dzikich Kattów, niżli z widokiem tragicznej tej niewiasty; na co odpowiadając, szambelan chmurnie szeptał, że źle go dręczą przeczucia, gdyż, wychodząc dziś z domu, zawadził o próg stopą, z której spadł

sandał. Większość zresztą ludzi tych nieruchomości stała, uważna na każdy ruch pana swego; pośród wojskowych stał czasem dźwięknęła, albo przez otwór w dachu spuszczejący się promień słońca zaświecił w bronzach pancerzy i pozłocił różane wieńce.

Pomiędzy dwiema grupami temi, wyosobnieni nieco stali naprzeciw siebie dwaj ludzie: pretor Rzymu i syn Cezara.

Wysoki Helwidyusz przerastał o wiele Domicjana, którego niewielką postać malowniczo opływała purpurowa chlamida grecka. Twarz jego, niezdrową bladością okryta, dwoistą była. Gdy wprost na nią patrzano, posiadała rysy piękne i łagodne, z profilu zaś przywodziła na pamięć drapieżnego ptaka. Głowę miał napół już ogołoconą z włosów, postawę skromną i na cienkich wargach uśmiech przymilenia.

Śmiała twarz pretora zdawała się z bronzu wykuta, tak nieruchomymi były energiczne jej rysy w chwili, gdy witał gościa, którego przybycie od rana już przez gońca dworskiego oznajmionem mu było.

— Pozdrawiam cię, Domicyanie! Czem służyć sobie rozkażesz, dostojny gościu mój?

Z powiekami skromnie spuszczone i przymilonym na ustach uśmiechem, Domicjan wskazał gościem stojącego tuż za nim Metiusa Kara i łagodnym, przyciszonym głosem odpowiedział:

— Jeżeli raczysz, znakomity Helwidyszu, udarować spojrzeniem tego oto przyjaciela mego, przyczynę, która mię tu sprowadziła, łatwo odgadniesz. Przybyłem, aby osobiście prosić cię o łaskawy dla niego wyrok w procesie, który wytoczył on przeciw Polli Argentaryi, wdowie po niegodnej pamięci buntowniku, Lukaniu. Proszę cię, dostojny, abys nie wahał się pomiędzy najmiłszym przyjacielem moim a rodziną tego, którego imię ohydą zaprawia język każdego z prawych obywateli Rzymu.

Najwyższy w państwie sędzia, którego wyroki publicznie pętać próbowano, z jednostajnie wciąż nieruchomymi rysy i uprzejmym głosem odpowiedział:

— Proszę cię, panie, abyśmy mogli o Lukaniu nie mówić wcale. To, co byś o nim powiedział, milemby mi nie było; moje o nim słowa obraziłyby ciebie. Przyjacielowi twemu, Karusowi, Helwidysz Priscus szczęścia życzy, ale pretor nie ma pamięci dla imion i stosunków ludzkich. Wyrok w sprawie Karusa i Argentaryi wydadzą przez usta moje prawa ojczyzny naszej i sprawiedliwości.

Na twarz syna cesarskiego zwolna wstępować zaczął blady rumieniec. Za nim, w świcie, szeptano:

— Przepowiadaliśmy boskiemu Domicyanowi odmowę zuchwalca tego. Powiedział: „Twarzą w twarz stojąc ze mną, śmiałość swą utraci..“

Domicyan skromną wciąż zachowywał postawę, a uśmiech jego pieśczośliwym niemal się stawał.

— Jakaż jest wina moja przed tobą, dostojny i znakomity, że tak srogo postępujesz sobie ze mną i z przyjaciółmi moimi? — żałośnie zawołał.

W świetle zaszemrały śmiechy.

— Na głowę Gorgony! Od zapytania tego skamienieć można! Syn Cezara pyta o winę swą tego, któremu w snach i na jawie bzdurzy się jeszcze o wiekach przedcezarowych!

Prefekt pretoryanów, waleczny żołnierz i przebiegły dworak, głośno prawie przemówił:

— Spytajmy o winę tę filozofa Muzoniusza... Jakże rozczulająco opowiadał on niedawno o dyktatorach dawnych, którzy w ręce ludu składali władzę swą, ilekroć miły lud ten obedrzeć ich z niej zapragnął!

Domicyan mówił dalej:

— Młody jestem i wiem, że skromność przystoi małym jeszcze zasługom moim. Skromnie więc i z uszanowaniem synowskiem przychodzę do ciebie, ozdobo Rzymu, a ty prośbie mej odmawiasz!

Z jednostajnym wciąż uprzejmym spokojem Helwidysz odpowiedział:

— Gdyby, Domicyanie, żądanie twe słusznem było, spełniłbym je z ochotą; ale, wymagając pogwałcenia sprawiedliwości od tego, który stróżem jej być powinien, wymagasz rzeczy, obrzydłej bogom, zarówno jak ludziom...

Domicyan podniósł nieco ramiona, które, białe i nagie, wydobywały się z ponsowych fałd chlamidy, i głosem rozżalonym zawołał:

— Bogowie mi świadkami, jak niesprawiedliwie krzywdzą mię najdostojniejsi obywatele ojczyzny mojej! Widzę, Helwidyuszu, że ani odrobiny łaski twej nie posiadam. Nie uznajesz mię nawet godnym tytułu Cezara, który, jako synowi boskiego ojca mego, nosić mi przystoi. Jak niańka małą dziecinę, nazywasz mię imieniem mojem i, jak pedagog niedorostka, uczysz, co obrzydłem jest bogom i ludziom. Wolałbym, znakomity, abyś mię więcej kochał i nie odmawiał mi tego, co moje. Łagodny przecież jestem i uraz chętnie zapominający. Słusznie stosować mogę do siebie wiersz nieśmiertelnego Homera...

Tu, z doskonałą retoryczną precyzyą, zadeklamował po grecku:

„Krew przecież nie kipi tak u mnie, by o nie wrzała, gniew mój hamuję rozumnie...”

I rozpromieniony rozkoszą, którą mu własna deklamacya sprawiała, ciszej dodał:

— Kochać cię, Helwidyuszu, nie przestanę i ojca mego skłaniać nie będę, aby boskim podpisem swym uświęcił edykt, skazujący cię na wygnanie z Rzymu, lub... ze świata; ale, rozważ! i wyrokiem swym dobra, pozostałe po obrzydłym Lukaniu, z rąk Argentaryi w ręce przyjaciela mego przenieś! Przy ostatnich słowach sarkastyczne tony dźwięk-

nęły w łagodnej jeszcze mowie jego, rumieniec zwiększał się, ale nie zmniejszała się skromność postawy. W pokornem jakby oczekiwaniu odpowiedzi, ramiona u piersi skrzyżował i głowę pochylił. Na odpowiedź nie czekał długo.

Ze zsuniętymi łukami brwi, spokojny przecież, Helwidyusz powtórzył:

— Wyrok ten, Domicyanie, wypowiedzą przez usta moje prawa ojczyzny naszej i sprawiedliwości.

Starcie się dwu tych ludzi żelaznej woli wywołać musiało zgrzyt ostry i groźny; wydał go zrazu orszak dworski, którym, jak gdyby wicher zakołysał. Stał tam dźwięknęła. Podniesiony, leniwy głos Stelli dobitnie zadeklamował wiersz z Odyssei:

— „Czekając na rozkaz twój, chowamy milczenie“. Ktoś energiczniej podchwycił:

„Gdy tak rozważa w sercu i na rozum bierze,
Niech go wał morski rzuci na skalne wybrzeże“.

Ktoś inny jeszcze zaśmiał się szydersko i cisnął jeden wyraz:

— Szaleniec!

Ale Domicyan sam wyglądał teraz wcale inaczej, niż wprzód. Krwisty rumieniec, nietylko oblał mu czoło i policzki, lecz spuścił się na obnażoną szyję i zabarwił blade ramię, dumnym giestem wyciągające się z pośród fałd chlamidy, spiętych klamrą z tęczowym opalem. Opal mniej iskrzył się

od źrenic jego, pierś mu wznosiło wrzenie krwi gwałtownej. Po krótkiej chwili milczenia, głos jego wybuchnął i rozległ się w ścianach sali, dumny i szyderski:

— Dziecku, ssącemu pierś matki, pozazdrość, Helwidyuszu, rozwagi i przezorności! Wybrałeś się, Helwidyuszu, na wojnę z bogami, i szczególnej tylko pobłażliwości ojca mego zawdzięczasz, że dotąd jeszcze nie jesteś pastwą bóstw podziemnych. Tyś to długo prawił w senacie, aby przybywającemu do Rzymu Wespazyanowi jak najmniejsze składano hołdy, bo czołobitność wywołuje tyranję. Tyś to wymownie nauczał senatorów, jako powinni prawną ustawą zakresić granice wydatkom pana świata. Tyś to, na spotkanie jego przez senat wysłany, przemówił do niego śmiało: „Wespazyanie!“ A cóżes to uczynił w święty dzień Apollina? Otworzyłeś arenę igrzysk w nieobecności wszechwładnego! Po stokroć winnym się stałeś obrazy majestatu, tej najcięższej ze zbrodni ziemskich; a jakże dziś mnie w ścianach tych przyjąłeś? Gdzie są kwiaty i wonie, lutnistki i śpiewacy, którzyby objawili mi radość twoją i wdzięczność? Zuchwała odmowa, oto wszystko, czem obdarzyłeś mnie, który, jako jagnię przed lwem, korzyłem się przed tobą. Mądrymi byli zaprawdę poprzednicy ojca mego, i gotów jestem w każdej chwili składać ofiary na ołtarzach Tyberyusza, Klaudyusza i Nerona, którzy

z takich, jak ty, zielsk jadowitych oczyszczali ziemię...

Helwidysz z coraz bardziej bledniejącą twarzą i zaciśniętymi usty przyjmował miotane na niego obelgi. Snadź postanowił milczeć. Wszak nieraz już wyrzucano mu, i on sam sobie wyrzucał, zbytnią porywczosć. Milczał więc, lecz milczenie to takim mu snadź było udęczeniem, że pytający wzrok podniósł zwolna na twarz Muzoniusza, jakby pomocy lub rady wzywał u przedstawiciela wysokich idei ludzkości. Stoik, płaszczem owinięty, ogniasty wzrok wzajemnie w twarzy jego utkwil, i gdy Domicyan mówić przestał, po wielkiej uciszonej sali rozległ się głos Muzoniusza, równie jak jego donośny i jakby tryumfującym uśmiechem zaprawny. Na Helwidysza patrząc, stoik mówił:

— Jeśli ci rzekną: „Okuję cię w kajdany!“ a ty szanujesz tylko cnotę swoją, odpowiedz: „Okuj mię; w kajdanach twych pozostanę jeszcze wolnym“.

Ostatnie słowa utonęły w zgiełkliwym gwarze, który wzniósł się w dworskim orszaku. Oczy zapłonęły, usta wybuchły zjadliwym śmiechem, palce wyciągały się, wskazując filozofa, który, bez cienia niepokoju, wodził po łączących go ludziach, więcej litośnym, niż pogardliwym wzrokiem. Nagle wszyscy umilkli, wszystkie oczy utkwily w jednym punkcie, w jednej raczej czarnej linii, która zarysowała się na tle złotego ogniska, nad otaczającym je wieńcem bóstw domowych.

Z poręczowego krzesła swego zwolna podniosła się Arya, i na podnóżku, który wysoki wzrost jej wyższym jeszcze czynił, stanąwszy w czarnych obsłonach, wyprostowana, ku Domicyanowi ramię wyciągnęła. Głosem takim, że usłyszeli go najdalej nawet stojący, wymówiła:

— Umarli pozdrawiają cię, synu Cezara!

Ona sama wyglądała tak, jakby przybywała z krainy cieniów. Coś naksztalt przesądnej trwogi zmaciło na widok jej rozszerzone źrenice i zamknęło drgające złością usta Domicyana. Tragedya powiała od niewiasty tej, której oczy zapadłe z pod siwych brwi gorzały, jak pogrzebowe pochodnie.

— Umarli pozdrawiają cię przeze mnie, synu Cezara! — powtórzyła. — Wiesz dobrze, kim jest ta, która przemawia do ciebie. Gdyś był dziećciem, nianki straszły cię pewnie historią rodu mego. Czy widzisz za mną hekatombę, z kości najdroższych moich wzniesioną przez tych, których w domu tym wysławiać śmiałeś?

Ponure rysy jej drgnęły, lecz wnet blademi dłońmi zgarnęła na pierś czarne zasłony i zawołała:

— Nie będę płakać przed tobą, młody Cezarze. Nie sprawię ci rozkoszy patrzenia na lzy dostojnej matrony rzymskiej. Ale z tronu boleści moich zawołam, abys opuścił dom ten, któremu obecność twoja urąga. Nie z różdżką pokoju przybyłeś tu, ale z biczem obelgi i groźby. Wyjdz!...

Zgiełk wybuchnął. Jedni z dworaków grozili,

inni trwoźnie szeptali, że augurów zapytać trzeba, jaką wróżbą jest dla młodego Cezara dzisiejsze spotkanie się z tą ponurą, starą kobietą.

— Złe geniusze obłąkały ją...

— Rozszczekała się, jak Hekuba, gdy, po utracie dzieci przemieniła się w sukę!

— Wygląda tak, jakby dzisiejszej nocy opuściła Hades!

Prefekt pretoryanów zadzwonił mieczem.

— Na Herkulesa! czyliż wystarczy krakanie jednej baby, aby w nas strach zabobonny obudzić!

Wystarczało. W fałdach chlamidy Domicyan drżał. Ile w drzeniu tem było gniewu, ile trwogi? Wiedzieli o tem ci, którzy znali go z blizka. Gwałtownikiem był i tchórzem. Drżąc jednak, zjadliwie śmiał się i rwącym się w piersi głosem wołał:

— Żegnaj się ze światem, pretorze, bo krótko już patrzeć na niego będziesz! Żegnaj się z Rzymem, Muzoniuszu, ty mało Minerwy, bo jutro wygna cię z niego edykt Cezara! Żegnajcie mi na zawsze, opuszczeni przez bogów!

Jak rzeka wezbrana, dwór cesarskiego syna, z panem swym na czele, wypływał z domu pretora, gdy u wyjścia z wchodowego podwórca drogę mu zastąpiła gromada strojnych kobiet i mężczyzn. Wiodła ją woniejąca, żwawa, w kwiatach i klejnotach cała, Kaja Marcya. Za rękę trzymała młodziutkiego chłopca, z delikatną, znudzoną twarzą, ze złotą kulą, na cennym łańcuchu wiszącą u szyi.

Oko w oko spotkawszy się z Domicyanem, wietrz-
nica rzymska rozsypała do stóp cesarskiego syna
pęk trzymany w ręku krokusów i lilii, i sama
z wytwornym wdziękiem na kwiatach przyklękając,
a piękne oczy ku niebu wznosząc, zawołała:

— Dziękuję ci, o Junono, żeś w zamian złotego
serca, z najpiękniejszym szmaragdem moim, które
w świątyni złożyłam, prośby mej wysłuchała. Od
dawna, słoneczny Domicyane, pragnęłam spojrzeć
z blizka na blask oblicza twego. Ujrzałam lektyki
twoje przed drzwiami pretora i bogowie natchnęli
mnie, abym dziś właśnie pragnienie swe ukoiliła.
Bądź uwielbiony, o nieśmiertelny! i zrządź mi ła-
skę, o którą błagać cię będę. Oto jest syn mój,
Hortensyusz, dziecko, któremu jeszcze złotej kuli
z szyi nie zdjęto...

W orszaku ozwały się ciche chichoty.

— Któryżto z czterech mężów pozostawił jej
na pamiątkę Ganimedka tego?

— Co ona chce, aby z malcem tym uczynił
boski Domicyan?

— Ładną jest jeszcze i, na Wenere, nie zląkł-
bym się jej, gdyby mnie spotkała w miejscu ustron-
nem...

Kaja nie słyszała nic. Cała dusza jej zebrała
się w oczy i tonęła w twarzy cesarskiego syna,
którą hołd otrzymany rozpogodził. Z ruchami wy-
twornego światowca, podniósł z klęczek ładną ko-

bietę i opiekuńczym giestem oparł dłoń na ramieniu niedorosłego jej syna.

— Z Hortensyusza mego, boski Cezarze, uczyn sobie sługę i niewolnika! — ze łzami zachwytu w oczach wołała Kaja; — niech ci on wino do czar nalewa i zapala ogień na ołtarzu twych bóstw domowych. Poświęcam go na twym ołtarzu...

Coraz więcej promieniejący, dymem pochlebstwa mile lechtany, Domicyan przestąpił próg podwórza, giestem skromnego eleganta zaprosiwszy wprzód Kaję, aby szła za nim.

Odeszli. Za plecami zamykających orszak szambelanów i paziów *ostyaryusz* zamknął drzwi domu, z za których długo jeszcze dochodził płynący ulicą, do odlatującego wichru podobny, tętent i gwar. Dom pretora załęgła cisza.

Klienci i przyjaciele domu, pomiędzy drzewami podwórza rozsypani, smutnie gwarzyli z sobą; gromadka młodych ludzi, w różnobarwnych tunikach, u jednej ze ścian sali zasiadłszy, z przelotnymi uśmiechami słuchała przyciszonej mowy Juwenalisa, który, z sarkastycznymi ustami i tragicznym płomykiem w oczach, puszczał wodze satyrycznemu natchnieniu, i w słowach, z których wiały gorycz i groza, wyśmiewał Domicyana, dworaków, płocze kobiety i bezmyślną tłuszcę.

Helwidysz zbliżył się do Muzoniusza.

— Mistrzu — rzekł — jeżeli w kajdanach wolnym jeszcze jestem, winienem to nauce stoików.

Wiek cały upłynął, odkąd, wśród niesłychanych nieszczęść i ucisków, wy jesteście doradcami i pocieszycielami prawych i niepodległych. Według wskazań waszych żyjemy; umieramy, przez was pocieszani. Dziś, Muzoniuszu, zobaczyłem z bliska czarną godzinę moją. Mam na ziemi ukochania wielkie, które wkrótce opuścić mi przyjdzie. Ojczyzna... przyjaciele, małżonka... dziecię... O mistrzu! dusza moja zakłócona! Weź ją i ukołysz duchem filozofii, aby spokój mędrca i wytrwanie obywatela zachować mogła!

Na siwej rzęsie Muzoniusza błysnęła Iza, lecz postawa jego spokojną była i cichy blask okrywał zbródnione czoło.

— Dlatego, że uczucia ludzkie w uroczystej chwili kołają ci w piersi — odrzekł — nie trwóż się o spokój i wytrwanie swoje. Dusza silna nie ma być przeto zimną i nieczułą. Stoicyzm nie nakazuje ci obojętności; nakazuje tylko zwycięstwo cnoty nad bólem i trwogą. Łabędzie, Helwidyuszu, śpiewając, umierają; nie wesołą przecież, lecz uroczystą strofą śmiertelna pieśń ich płynie ku słońcu...

Usiedli przy ognisku i, pochyleni ku sobie, rozpoczęli długą, cichą rozmowę.

W ogrodzie pretora było miejsce jedno, do którego nie dochodziły ani echa ulicznego zgielku, ani promienie upalnego słońca. Z gęstwiny bukszpanów i mirtów kilka palm strzelało wysoko, rozlewając dokoła cień rzeźwiący i chłodny. Krzewy, okryte

kwitnącemi różami, i puszysty kobierzec fijołków, napelniały powietrze upajającą wonią; w pobliżu, brylantową rosą osypując róże i fijołki, szemrała fontanna. Samotność panowała tu zupełna, a ciszę przerywały tylko szmery fontanny i dźwięki dwu rozmawiających głosów. Męski głos mówił:

— Nakoniec zobaczyłem cię, Arachne moja! Gdzieżeś tak długo była? Czemu nie przyszłaś, gdy cię wzywałem? Burzą oddycham, a ciebie, jak pogody, pragnę.

Na kobiercu fijołków leżąc, z głową na dłoni wspartą, łagodnym giestem pieścił włosy siedzącej przy nim dziewczyny i wzrokiem pił rumieniec, który wybijał się na twarz jej, jak liść lilii białą i delikatną.

— Dawno, dawno, dawno nie widziałam cię, królu mój — zaczęła ona. — Brat mój, którego w dzieciństwie za oblubieńca mi dano, uwieźć mię ma z Rzymu na zawsze... Wszyscy moi całowali miecz obrzydły, a dziś płaczą, jęczą i lękają się bardzo... Ale teraz wydaje mi się, że to był ciężki sen... Przedwieczny mię obudził i oto znowu z tobą jestem i na ciebie patrzę... Artemidorze!

Oczy miała pełne łez. Stęskniona miłość jej namiętnie wypowiedała się uśmiechami i słowy. We wzruszeniu, przechodzącym jej siły, chyliła splecione czoło i tuż przy jego piersi topiła je w chłodnej gęstwinie fijołków. Lecz na delikatnych ramionach jej spoczęły białe dłonie, i ruchem, peł-

nym pieśczoży, podniosły ją z nad kwiatów. Głębokie oczy malarza napelniały się upajającą rozkoszą.

— Nie schylaj twarzy — zaczął z cicha i z wolna, ale patrz w górę, dokoła i na mnie... Jak pięknym jest świat! Czy te gorące szafiry nie na to istnieją, aby przyświecać ludzkiemu szczęściu? Czy pyszne te róże nie są pochodniami, które natura zapaliła po to, aby płonęły na ołtarzach szczęścia?

Rój motyli unosił się nad kwiatami, w mirtach śpiewały ptaki; fontanna, szemrząc, sypała na trawy deszcze brylantowe...

— Słuchaj fontanny, Mirtalo! w śpiewie jej słyszę dźwięki czar, napelnionych winem, i szmery ust, złączonych pocałunkami!...

Kawalkiem rajy, spadłym na ziemię, wydawało się miejsce to, a tocząca się w niem rozmowa, strofą idylli, wplątana w krzyki tragedyi życia. Wszystkimi siłami swemi, dwie te istoty młodzieńcze i świeże, wrywały się z objęć tragedyi. Nie chcieli cierpieć. Szczęście i pogoda śmiały się ku nim z piękności natury, z rozkochanego uścisku ich dłoni. On, wychowaniec stoików, dalekim był od brutalnych uniesień, któremiby mógł ją zranić i spłoszyć. Z za wachlarzy palm promień słońca spłynął mu na krucze włosy i roziskrzył w nich srebrną opaskę. Wyciągał ramię ku kwitnącym krzewom i, zrywając róże, kładł je na głowie jej, piersi i sukni.

— Słuchaj, dziewczeczko! nigdy kobieta żadna nie przemówiła mi do duszy tak, jakoś ty to uczyniła. Nieraz ogarniał mię szal boga miłości, ale od spienionego kielicha prędko odwracałem usta. Pragnąłem duszy czystej i natchnionej, jak twoja, Mirtalo!

Ten sam płomień, który na jego głowie roziskrzył srebrną opaskę, w haftach opadającej zasłony jej zapalił roje iskier. Rumieniec jej z różami walczył o świetność; ogniste włosy strugi złota rozsypały po piersi i ramionach. Pochylił się i z wolna pociągał ją ku sobie.

Ale ona w tej właśnie chwili zbladła i, pokornie chyląc głowę, oparła się pociągającym ją dłoniom.

— Pójdę już... — szepnęła — zły sen mój powraca... — On z wolna powtarzać zaczął wiersz Horacyusza.

— Mądrą bądź! pij wino i długich nadziei nie żądaj od krótkiego życia. Gdy mówim z sobą, zawistny czas uchodzi. Chwytaj dzień, jak najmniej ufając przyszłości...

Pobladła więcej jeszcze i ręce z dłoni jego wysunąć spróbowała.

— *Carpe diem!* (chwytaj dzień) — powtórzył jeszcze, ale ciszej już niż wprzód; ręce jej z dłoni wypuścił i schmurzony wzrok utkwil w przestrzeni.

Daremnie, daremnie, jak dwa ptaki rozkochane w słońcu, uciec pragnęły z pod ciężkich chmur. Chmury

leciały za nimi; krzyki i płacze tragedii życia wdierały się w ich sielankę.

— Pójdę już.. — wstając, rzekła Mirtala. I, obie ręce ku głowie podnosząc, mówić zaczęła:

— Niech zlituje się nade mną Przedwieczny! Kiedy tam jestem, umieram, że tu być nie mogę. Tu będąc, tam lecieć pragnę. Dwa potężne anioły rozrywają mi serce... cóż uczynię?

Wyraz niewymownej męki okrył zbladłe jej rysy, ale wnet szepnęła znowu:

— Pójdę...

— Dokąd? — zapytał Artemidor.

— Do możnego pretora przysłałam, aby go o ratunek błagać...

Artemidor, z gorzkim na ustach uśmiechem, powstał także.

— Do możnego pretora po ratunek przysłałaś... alboż dla niego samego jest ratunek jaki? Kimże on jest sam, jeśli nie skazańcem, po którym wkrótce łzami wściekłości zaleją się oczy wszystkich go kochających?

W tej chwili za rozmawiającymi ozwał się głos pogodny i prawie wesoly.

— Kto rozmawia tu o pretorze i wszelkiej już odmawia mu mocy? Tyś to, Artemidorze? i ty także, wdzięczna dziewczeczko? Czego żądacie ode mnie? Czem będę jutro? Nie wiem... Ale dziś jeszcze pretorem Rzymu jestem. Kogo ratować mam i od czego? Czy ciebie, Artemidorze, od strzał Ku-

pidyna? Czy ciebie, dziewczeczko, od żaru, którym
płoną oczy tego ulubieńca muz?

W altanie, przed półokrągłą ławą, *hemicyclum*
zwaną, na stole, wspierającym się na słoniowych
nogach, stały w srebrnych naczyniach woniejące
owoce, złociste *kratery* napelnione winem, ciasta,
rozlewające zapach attyckiego miodu, kryształowe
czary z zamrożonem mlekiem, barweny (ryby) osy-
pane zielenią oliwek. Trzej młodzi chłopcy, z wło-
sami rozpuszczonymi na barwiste suknie, o palmy
wsparci, oczekiwali przybycia biesiadników, aby ze
stóp ich pozdejmować sandały i ze smukłych am-
for do czar nalewać różane i fijołkowe płyny.

Ale Helwidysz milczącym gościem oddalić się
im rozkazał, i wraz z rodziną i gośćmi swymi na
hemicyclum zasiadł. Mirtala u wejścia do altany
stała. Tuż przy niej wznosił się posąg Jowisza
wyzwalającego. Nieśmiałość i wzruszenie chyliły
nizko jej czoło, nad którym płonął wieniec z róż,
przez Artemidora spleciony. Chwilę milcząca stała;
przypominała sobie, że kiedyś ukochane usta mó-
wiły ustęp z poematu greckiego, w którym gość
błagający klękał u gościnnego ogniska. Uklęka
więc i, oczy łzami zasze wznosząc ku twarzy pre-
tora, ramionami objęła marmurowe stopy boga
wolności...

IX.

Dzień chylił się ku końcowi. Uliczne wrzaski ludu były ku niebu, ciemniejącemu dziś wcześniej niż zwykle. Ciemniało ono wcześniej niż zwykle, dlatego, że gotowała się pod niem jedna z tych burz niszczących, których zbliżanie się napępiało tłumy trwogą, w części płynącą z przewidywań słusznych, więcej jeszcze przesadzoną, bo przesadną. Po wystawach osobliwości wszelkich, którym przez dzień cały przypatrywał się lud, zdawało się, że niebo samo chce go zadziwić wystawą rzeźb i blasków swoich. Rzeźby te i blaski potężne były i, w nieporównanej świetności swej, ponure. Nad brzegiem Tybru wielki rynek rybi i parę sąsiednich ulic zalegały gęste tłumy, pstre od różnobarwnej odzieży, nieruchome od przerażenia, z jakim przyglądały się prologowi zbliżającego się dramatu natury.

Za Janikulskiem wzgórzem zachodziło słońce, a krwistą tarczę jego zasłaniać poczęła chmura olbrzymia, obejmująca widnokrąg czarnem półkolem.

Na spotkanie jej ze wszystkich stron widnokregu ciągnęły szmaty obłoków płowych, ckliwą bielą poplamionych, lub wzdętych żarzącą się czerwonością. Suchy *africus* dał z południa; od strony morza zalatywały słone powiewy, w których czuć było nawałnicę deszczową. Przez wiatry roznoszone wonie róż, łącząc się w powietrzu z zapachami ostrych korzeni i rozlanych win, tworzyły w dusznej spieceniu atmosferę, od której schły podniebienia i gorzały głowy.

Głębią półkolistej chmury, podnoszącej się z nad wzgórzy zatybrzańskich, słońce rozpalalo tysiącem kolorów i ogni, budując z niej wypukłe i jaskrawe góry, gmachy, zwierzęce i roślinne potwory. Snopy światel jaskrawych i mętnych błądziły w przestrzeni. Górująca nad stolicą, kapitolinińska świątynia Jowisza piorunującego, stała w płomiennej pożodze. Półokrągłe szczyty bram i luków gorzały również. W zamian pałace palatynu mglily się, jak uciekające w dal mary, płowe i mętne. Nad Marsowem Polem tumany porwanej z wodotrysków wody wicher skręcał w słupy, które z szumem przelatywały przez rzekę i, niby strachem gnane potwory, sunęły nad szerokimi drogami. Ogrody szumiały jak lasy; pod żółtymi falami Tybru słyhać było głuche warczenie wzdymających się wód. Deszcz przecież nie padał jeszcze; grzmotów, ani błyskawic nie było: owszem, wichry same ucichały czasem, kurzawy opadały, ogrody przestawały szumieć, a w ucisz-

nej przestrzeni Tybr tylko warczał i pod niebem chmury sunęły wciąż ku sobie, jasność dzienną szybko zmieniając w mrok, oświetlony przykrymi blaskami.

Nad brzegiem Tybru zgromadzone tłumy, w pół tylko trzeźwe, upajały się do reszty grozą nadprzyrodzoności, którą w rozpalone ich głowy leli gminni wieszczbiarze i gwieździarze. W ciężkie płaszcze owinięci, uroczystym krokiem od gromady do gromady przechodząc, wskazywali oni ludowi to, czego może nie ujrzaly własne jego oczy. Słynni z odgadywania wróżb, zawartych w zjawiskach przyrody, w poufnym stosunku zostający z całym obszarem nieba, przenikać umiejący gniew i łaskę bogów, wskazywali rzeźby i malowidła, jakimi chmury okrywały niebo i tłumaczyli ich znaczenie. Jedni z nich mieli oczy przebiegłe i chytre; snadź w dokonywaniu czynności swej widzieli własne korzyści. Na twarzach innych rozlewał się wyraz mistycznej ekstazy; wierzyli sami w to, co mówili. Mówili na punktach różnych; wszędzie pożerano ich słowa. Wskazywali, tłumaczyli, wyciągali ku niebu wskazujące palce.

— Patrzcie, Kwirycci! gdy na niebie ukaże się taka struga krwi, jak ta, która za ogród Cezara ścieka, bogowie tworzą straszne dla ludzi zamiary...

— *Eheu!* — wołał drugi; — widzicie te dwa ogniste, skrzyżowane miecze? Znak to niemylny,

że Apollo, za znieważenie święta swego, wzywa Jowisza, aby gromy swe spuścił na was...

— Eskulapie! Eskulapie! — wołał gdzieindziej głos, nabrzmiały trwogą; — spuść znowu na oczy moje łuski, które zdjąłeś z nich niegdyś! Niech znowu oślepną raczej, niż patrzeć mam na te czarne tarcze, z których środka sączy się krew... Gdy tarcze te uderzą o siebie, biada Rzymowi! Czy widzicie tarcze te, Kwirycci? czy je widzicie?

Wszystko widzieli: strugę krwi, ogniste miecze skrzyżowane, tarcze żelazne, sączące z siebie krew. Wszystko to widzieli i daleko więcej jeszcze, bo istotnie, z fantazyą niedoścignioną, przyroda malowała i rzeźbiła dziś niebo. W największej z chmur ścierały się z sobą dwa hufce rycerskie, i potem szybko przelały się w dwie chimery, trzęsące lwiami grzywami, a rzucające za siebie ogony płowych węzów. Z za chimer wysunął się Satyr, śmiejący się i rogaty, a z innej strony płynęła ku niemu girlanda białawych nimf. W tem, chimery, satyr, nimfy zniknęły, a cielsko chmury zbiło się w jedną olbrzymią górę, z której wyźłobionego szczytu buchnęły krwiste, z fioletem i bielą zmieszane, płomienie. Podobnem to było do wybuchającego wulkanu.

— Gore! — krzyknęło kilkadziesiąt głosów, w których czuć było najsroższą ze wszystkich obaw Rzymian — obawę pożogi.

Jednocześnie rozległ się w powietrzu przeciągły, metaliczny dźwięk. Skąd on pochodził? Z prostego

wypadku zapewne, zaszłego w jednym z pobliskich domostw, albo w jednej z zatybrzańskich fabryk. Ale tysiąc ludzi z krzykiem na klęczki upadło i ramiona ku niebu wzniosło. Jeden z wieszczbiarzy dobitnie, wśród powszechnego milczenia, tłumaczył, że dźwięk usłyszany pochodził od tarcz podniebnych, które w tej chwili uderzyły o siebie.

W pobladłym tłumie rozległy się wołania:

— Wielka Junono, któraś dobrowolnie z Wejów do Rzymu przybyła i wierzchołka Awentynu strzeżesz, obroń swe miasto!

— Najświętsza Izydo egipska, słabych niewiast opiekunko, ulituj się nad nami!

— Apollinie! łaskawy patronie pasterzy, nie daj zginać biednemu ludowi!

Rodzinne uczucia mocno i trwoźnie zakolały w piersiach.

— Ojczy! ojczy! gdzie jesteś? — wołał głos pacholęcy.

— Balbio! szukam cię! Kędy-żeś mi przepadła?

— O! dzieci moje! biegnę do dzieci moich, pozostałych tam... na Suburze!

— Nie pójdę z tobą, matko... nie opuszczę Klaudyusza mego, którego kocham!

Sylwiusz, haftarz z Awentynu, sceptycznie uśmiechał się z rozpraw wieszczbiarzy, i ramieniem obejmował szyję Wenturego, którego szczupłe ciało drżało jak w febrze.

— O, Sylwiuszu! — szeptał — kiedy lękam

się tak jak teraz, chciałbym, aby mię matka nie urodziła!

— Głupiś, jak tylko co urodzone dziecko! — sarknął haftarz, lecz mimo to czulej drżącego przyjaciela ramieniem ogarnął.

Wentury wytrzeszczonemi oczyma na chmury patrzył.

— Patrz, Sylwiuszu, patrz! niech mię bogowie opuszczą, jeżeli nad głowami naszymi nie widzę stada słoni!

— Głupiś jak pusta amfora! — powtórzył Sylwiusz i, korzystając z pomysłu przyjaciela, wskazujący palec ku obłokom wyciągnął.

— Stado słoni! — krzyknął — niech mię bogowie opuszczą, jeśli to nie jest stado słoni. Będzie nam dobrze, Kwiryaci, jak bestye te na głowy nam spadną. Jeżeli ślepymi nie jesteście, widzicie sami, z której strony lecą. Ze Wschodu lecą! przekłety Wschód! przekłeci przybysze ze Wschodu, którzy gniew bogów na nas ściągają!

Ścisk zwiększał spiekę i potęgował wrażenia. Tu i owdzie opowiadano dziwne wypadki, świeżo zaszłe, a najwyraźniej zwiastujące zbliżanie się wielkich klęsk. Wszyscy słyszeli, a teraz opowiadali o tem, jako, niedawno w Apulii urodziło się cielę z głową u lędźwi. W Arretium spadł deszcz kamieni. Straszniejszym jeszcze zjawiskiem bogowie nawiedzili Samnium. Spadł tam deszcz także, ale z poszarpanych kawałów mięsa. W Etruryi sześcio-

miesięczne dziecko zawołało w łonie matki: biada!
W Apulii dwie gorejące pochodnie w biały dzień
przeleciały nad lanem i żniwiarzami.

Pedanus, żołnierz zasłużony i nieporównanego
na wojnie męstwa, w tej chwili pobladły od trwogi,
zawołał:

— W rodzinnem mojem Bruttium podobno ba-
bie jakiejś kłosa pszeniczne wyrosły z nosa...

Cud ten, przez Pedanusa ogłoszony, śmiechu
nie obudził. Dziś z rana jeszcze, najłatwowiejsi
nawet śmialiby się z tego pewno; ale teraz, jedni
nie byli już zdolni wątpić o czemkolwiek, inni
wątpliwości objawiać nie śmieli. Nikt zresztą nie
wątpił o prawdziwości słów Pudensa, któremu nocy
dzisiejszej ukazał się we śnie siostrzeniec, Priscus,
i z płaczem wyrzucił niepomszczoną śmierć swoją.
Pudensowi istotnie śnić się to musiało, bo, rozpo-
wiadając o tem, usta krzywił żałością, a w oczach
mu pałała żądza pomsty.

Lecz straszniejszymi nad wszystkie sny i cuda
były wywoływane wspomnienia wydarzeń rzeczy-
wistych, a niedawnych. Niedawno, bo u końca pa-
nowania Nerona, bogowie nawiedzili Rzym burzą,
przedtem niewidzianą. W okolicach Rzymu szalała
trąba powietrzna, niszcząc domy, zboża, winnice
i lasy. Ziemia zatrzęsła się, morze wystąpiło z ło-
żyska swego i wzburzonymi bałwanami unosiło
wszystko, co znalazło się na drodze. W Rzymie
samym pioruny strzaskały mnóstwo posągów i za-

biły mnóstwo ludzi. Tyber rozlał i rzucił na miasto ogromną ilość syczących gadów...

Był to zapewne skutek wichru, który zadał znowu, ale na wszystkich głowach zjeżyły się włosy. Pomimo spieki zimny pot zraszał wiele skroni. W dali, w dali, płynąć poczęły dźwięki chóralnej, przeciągłej pieśni. Co to było? W stronie, z której zazwyczaj przybywały z Ostyi ładowne statki, po warczących falach Tybru, pod czarną chmurą, płynęła duża galera. Wzdęty jej żagiel, nakształt skrzydlatego skieletu, sunął po szarej przestrzeni; brzegi jej we dwa rzędy obsiadali ludzie, których wiosła z rytmicznym pluskiem opadały na wodę. Wioślarze, zbliżając się do portu, śpiewali, a przewlekła pieśń ich bezbrzeżną melancholią płynęła w burzliwej ciszy. Zagłuszył ją wnet daleki jeszcze turkot pierwszego grzmotu.

Pośrodku niebieskiego sklepienia wązki tylko pas błękitu widzialnym pozostał; zresztą zagasłe już, czarne i rude chmury ujmować zdawały się świat w dwie olbrzymie skorupy, które wkrótce zewrzeć się z sobą miały. Jedna z nich powitała drugą dalekim jeszcze grzmotem. Błyskawicy nie widział nikt. Wieszczyk jakiś krzyknął, że nie był to wcale grzmot, ale odgłos bębnow, które na ścianach świątyni Marsa, jak to nieraz już bywało, same przez się zahuczały, wróżąc tem klęskę. Tłumy, zalegające wybrzeże Tybru, szalały. Poblądłe usta bezprzestannie, namiętnie, dopytywały się o przy-

czynę wyraźnego gniewu bogów. Szczękające zęby i szeroko otwarte oczy rzucały na twarze ludzkie wyraz zwierzęcy. Ażeby nie zostać zmiądzonymi, zapragnęli zmiądzzyć kogoś. Kogo?

Tonem recytatywa, donośnie rozlegającego się wśród chwilowej ciszy, basowy głos jakiś prawil:

— W Cezarei wymordowano ich 20.000... W Antyochii Grecy i Syryjczycy, wszystkie ich domy zamienili w perzynę. W Egipcie, z rozkazu Cezara, świątynię ich, na wzór jerozolimskiej zbudowaną, zniesiono ze szczętem.

Na punkcie innym, ktoś, zdyszany od wściekłości głosem, podjął:

— Śmieli odgrażać się, że w czasie igrzysk spalą amfiteatr, z czterdziestu tysiącami widzów. W Aleksandryi to było. Świadców postawić moge.

Sylwiusz zaczął:

— Gdybyśmy na wzór Cezarei i Antyochii...

A ktoś inny podchwycił:

— Chóry niepokalanych dziewic, śpiewając święte hymny, wodą poświęconą skrapiałyby Rzym...

— Skoro czi nie oddają ani Cezarowi, ani bogom... komuż więc?

— Duchom podziemnym...

— Prysusie mój! niechaj w tej chwili głowa Gorgony w kamień mię zamieni, jeżeli dziś śmierci twej nie pomszczę...

Wszyscy razem mówili, podniecając się wzajem, modląc się i złorzecząc zarazem...

Czy to wybrzeże Tybru, tak strasznie szumiące w tej chwili, zalane było samemi tylko podłemi i okrutnemi duszami? Jak tkliwie jednak mężowie cisnęli tam do piersi przerażone małżonki i drżące córki, które z kolei wyciągały ramiona ku ukochanym swym, jakby pragnęły choćby zginać, lecz z nimi. Byli tam przyjaciele, obejmujący się ramionami, jakby jeden drugiego przed niebezpieczeństwem osłaniać zamierzał, i wrogowie, którzy, w uroczystej chwili, giestem zgody podawali sobie dłonie. Byli też tacy, którzy gorąco, szczerze, wzywali pomocy swych Larów domowych, ślubując im sute ofiary. *Collegia* rzemieślnicze, wspólnością pracy złączone, tłoczyły się w spójne gromady, a niewolnicy i najemnicy tulić się zdawali pod opiekuńcze skrzydła panów swych lub patronów, którzy pobłażliwie znosili ocieranie się ramion ich o swe ramiona, a kiedy niekiedy rzucali im nawet życzliwe słowa. Więc cóż? Dlaczego?...

W tem ktoś zawołał:

— Uciszcie się! patrzcie! oto bogowie zsyłają nam wróżbę: z nad Kapitolu zerwały się kruki!...

Z nad Kapitolińskiej świątyni, która górowała nad miastem, zerwało się istotnie stado czarnych ptaków i, ciężkim lotem, z krakaniem żalosem, ciągnęło w mrocznym przestworzu. Wszakże lot ptaków, to jedna z najświętszych dla Rzymian wróżb i wskazówek. W którą stronę zwrócą się kruki i gdzie opadną? Nad Awentynem zniżyły lot.

Osiąda może na świątyni Junony i wskażą przez to, że ta bogini ofiar od ludu żąda. Nie; to tylko burzą nabrzmiałe powietrze ociaża ich skrzydła. Wzbily się znowu wyżej... lecą... Na wybrzeżu grobowa cisza zastąpiła poprzednie wrzenie. Tysiące twarzy wznosiły się w górę; usta szeptały modlitwy, płaczące się z przekleństwami. Kruki, krakając wciąż, zawisły nad łukiem Germanika, lecz ciężkie skrzydła ich musnęły tylko półkolisty szczyt jego. Na wybrzeżu zahuczał krótki krzyk:

— Za Tyber polecą!

I znowu zapanowała tam cisza. Kruki leciały nad Tybrem nisko; słychać było monotony loskot ich skrzydeł, który jednak umilkł wkrótce. Jakby jednomyślnie, w linii pionowej, opadły na syryjsko-żydowską dzielnicę i pośród płaskich domów jej — zniknęły.

Nad Janikulskim wzgórzem błysnęło... Wnet potem na wybrzeżu wybuchnął olbrzymi krzyk:

— Za Tyber! za Tyber! za Tyber!

Po chwili, z pod łuku Germanicusa wypływało morze ludzi zdyszanych, giestykujących, potem oblanych i, pokrywając most, grzmiało:

— Za Tyber! za Tyber!

Jednocześnie naprzeciw mostu rozwarły się na oścież drzwi wielkiej oberży i buchnęło z nich na zewnątrz jaskrawe światło palących się w jej wnętrzu pochodni. W świetle tem banda syryjskich tragarzy, lektykarzy i lotrzyków wirowała i szu-

miała, naksztalt roju pszczół, aż na spotkanie tłumu przebywającego most puściła się w pochód. Pijani, rozhukani, ogromny Babas w zielonym wieńcu i wpólnaga Chromia z rozwianymi włosy, biegli przodem. On do Satyra, ona do Bachantki podobna, trzymali się za ręce, tańcząc w takt muzyki syryjskich flecistek, które, w kraciastych sukniach i z błyszczącymi tyarami na głowach, wydymając policzki, dmuchały we flety, albo, podnosząc nagie ramiona, klekotały metalowymi *sistrami* (rodzaj kastanietów). Silas, w czerwonej bluzie, dokoła flecistek tańczący, podobnym był zdala do rudego koźła; bezzębna Charopia, z chustą opadłą na plecy, skakała także, z czerwonej czary rozlewając wino. Za nimi cisnęło się mnóstwo rozhukanych postaci: ręce klaskały, głowy, w zwiędłą zieleń przybrane, kołysały się w pijanym szale. *Taberna meritoria* wyrzucała na świat napełniającą ją zwykle pianę. Tu już nie lękano się burzy, ani myślano o bogach; czułych nawoływań rodzinnych, ani nawet przesądnych modlitw nie było.

Tłum, zbiegający z mostu, i zgraja, wybuchająca z oberży, spotkały się i zmieszały z sobą. Wściekle krzyki zjednoczyły się z rykami śmiechów i z przeszywającymi tonami fletów. Dzielnicę, mrowiącą się u stóp Janikulskiego wzgórza, pokryły naraz dwie ludności: jedna opłynęła uliczki i rynki; druga, z jękami kobiet, płaczem dzieci i ramionami wyciągającymi się ku niebu, okryła płaskie dachy.

Co tam działo się, w tej nawałnicy ludzkiej? Czy i jak bronili się napastowani? Z czyich piersi wybuchały jęki przesywające, przekleństwa straszne, śmiechy, zmieszane z łkaniami, które utworzyły zgiełk wielojęzyczny, zagłuszający szum wicheru i rzeki? Co oznaczały wpadające w zgiełk ten stuki, brzęki, trzaski? Jakie hasła roznosiły przenikliwe tony fletów, które od chwili do chwili, jak strzały świszczące, zgiełk przesywały? Wszystko to tajemnicą nieprzeniknioną pokrywał niezmierny odmęt ciał i głosów ludzkich, i zmrok coraz gęstszy, zaciągany nad światem przez dwie czarne skorupy chmur.

Na jednym szczególnie z rynków, tym właśnie, gdzie stały domy Sary i Goryasza, toczyły się najzaciętsze napady i walki. Sylwiusz z haftarzami i Wentury z perfumiarzami swymi czynili zadość nakipiałym w nich oddawna gniewom i zawiściom; we wnętrzach domów rozlegały się trzaski łamanych skrzyń i brzęki rozbijanych naczyń. Szmaty materyi, ciężkich od okrywających je haftów, spadały na głowy ludzkie; rozlane wonności napelniały powietrze zaduchem odurzającym. Pedanus i Pudens, z gromadą ludzi różnego stanu, szukali człowieka, nad którym pomścić się rozkazywały im cienie zabitego na wojnie Pryskusa. Gromada Syryjczyków ciągnęła ku poblizkiej oberży krzyczącą i wydzierającą się im Miryam, najmłodszą córkę Sary. Za nimi otyła Sara, zapominając o pusto-

szonem domostwie swem, jak ciężki ptak z rozpostartymi skrzydłami, leciała, krzycząc. Kilku młodych ludzi, pośród których rzymskim ubiorem swym wyróżniał się Justus, walczyło przed domem Goryasza. Jeden z nich upadł; porwał go i w ramionach, rozszalały rozpaczą, unosił Goryasz, ten łagodny Hillelista, który teraz, z oczyma, świecącymi jak u wilka, krzychał:

— Zemsty! zemsty!

Nagle, w miejscu jednym, dał się uczuć ruch taki, jakby świeżo przybyła gromada ludzi rozepchnąć tłum i drogę sobie pośród niego torować usiłowała. Przybysze ci przedzierali się ku domom, dokoła których najzażarciej uwijali się haftarze i perfumiarze. Głosy jakieś poważne, dźwięczące mową wytworną, wyróżniać się zaczęły z pomiędzy grubijańskiej i wielojęzycznej wrzawy. Wyraźnem stawało się, że wszczynał się tam spór, a raczej zawiązywała się rozmowa dziwna, co chwila urywana, której początek nie wiedzieć jak i gdzie się zawiązał, w której, z jednej strony, czuć było wielkie wysilenie głosów, rozkazujących, proszących, twierdzących, z innej — rozlegać się poczęły grube żarty i śmiechy. Głos, donośny, spokojny, lecz nakazujący, w głębi tłumy przemawiał:

— Spór macie z mieszkańcami domów tych. Dobrze. Ale dwa są sposoby rozstrzygnięcia sporów: jeden przez rozum, drugi przez siłę... Pierwszy ludzkim jest, drugi zwierzęcym... Jesteście stadem bydła?

Kilka głosów zaśmiało się chórem. Jeden z nich zawołał:

— I tu także wleźć musiałeś, filozofie!... Skorzystasz tyle, ileś skorzystał, kiedyś naprzeciw wojsk Witeliusa, Rzym oblegających, wyszedł i paplał, że wojna zbrodnią jest a pokój — rozkoszą...

— Mówilem im i wam mówię — ciągnął w tłumie spokojny, lecz nakazujący głos — precz z gniewem! Nic on sprawiedliwego nie zrządzi, a niema dobra, jeno to, co sprawiedliwe...

W tej chwili, szeroką pierśią, jak taranem, drogę sobie otwierając, człowiek, który wszczął dziwną tę sprzeczkę, wybił się z pomiędzy tłumu i u drzwi domu Sary na wyniesieniu stanął. Na kruchem i pod stopami jego trzeszczącym, bo z rozbitych skrzyń i sprzętów złożonem, wyniesieniu tem, postać jego zarysowała się wysoka, w fałdzisty płaszcz owinięta, lecz rysów rozpoznać w zmroku nie było można. Znali go jednak i poznali tu wszyscy. Z wnętrza domu, przez okno, wychylił się Sylwiusz zmęczony, spocony, zziąjany, wściekły na tego, który mu w drogę wlaził.

— Niech cię Hades pochłonie, papugo Minerwy! — krzyknął — pocoś tu przyszedł, aby klekotać nam nad głowami swoje wieczne: Niema dobra, jeno to, niema zła, jeno tamto..

Ale inni w weselsze, niż Sylwiusz, usposobienie wpadli.

— Spać idź, Muzoniuszu! dobrej nocy ci, mało bogów!

On, nie na ludzi, lecz w daleką, burzliwą przestrzeń patrząc, mówił:

— Społeczność ludzka zginęłaby, jeżeliby jej członkowie nastawiali wzajem na życie swe i zdrowie...

Otoczający zaczęli bawić się na dobre.

— Słuchajmy go! — wołano — niech papla... Wentury cienkim głosem powiedział:

— W głowach własnych dosyć mądrości mamy. Co nam przyjdzie z przywidzeń chorego twego mózgu?

Członek szewckiego *collegium*, wypadkiem pomiędzy haftarzy zaplątany, przybliżył się do filozofa i, ręce za plecy zakładając, a wzrok ku twarzy jego podnosząc, z dumą zadowolonego z siebie szewca przemówił:

— Dlaczego, Muzoniuszu, taki blady jesteś i pomarszczony? Widać po tobie, że fortuna wyciąć ci musiała nie jeden tęgi policzek. Na cóż więc przydały ci się uczone twe wywody?

— Przydały mu się one na to — odpowiedział ktoś inny — aby ujmował się za cudzoziemcami, obrzydłymi Cezarowi i bogom...

Muzoniusz odpowiedział:

— Nie rozumiecie mię i drwicie ze mnie, ja jednak mówić nie przestanę.

Podniósł głos:

— Jaką jest natura człowieka? Czy każe mu ona dobrze czynić, a gdy nic już innego nie może, dobrze życzyć...

Z tłumu, wybuchającego śmiechem, młody człowiek, ze wschodnimi rysy, w rzymskim ubraniu, donośnie zawołał:

— Nie taką jest, Muzoniuszu, natura ludzka, nie taką jest, jak mniemasz, i w tem omyłka twoja! Mędrca z tłuszcza dziela przepaści, których nie zapełnią wieki!

Muzoniusz, usiłując wzrokiem przebić zmrok, odpowiedział:

— Usłyszałem duszę, która myśli! Kimkolwiek jesteś, wiedz, że stoik nie cofa się przed pośmiewiskiem tłuszczy, ani groźbami możnych. Nie rozkazuję mieczem i nie bałamucę cudami. Dziś więc nie zrzadzę nic. Ale przyszłość — moja. Przy zasadach stoję.

— Stój sobie, stój! — wołano — nie ujmie nam to z garnka ani jednego ziarna fasoli. Sam sobie wrogiem jesteś, bo słyhać jakoś, że lada dzień Cezar z Rzymu cię wygna. A może zarzucą ci sznur na szyję i do więzienia pociągną... Cóż ci pomogą wtedy twoje zasady?

Pedanus wystąpił z tłumu. Z rubasznym więcej niż złośliwym śmiechem olbrzymie pięści swe ukazywał.

— Kto z nas silniejszy, filozofie? kto z nas silniejszy? Mądrym jesteś, a ja cię przecież jednym

pstryczkiem z nóg zwałę. Nie potrzebuję mądrości twojej, wolę swoją siłę.

Trefniś jakiś zawołał:

— Filozofie! kto z nas więcej śmiał się w życiu? ty, czy ja?

Szewc podjął:

— Kto dłużej żyć będzie: szewc, czy filozof?

Gruby pasożyt śmiał się:

— Czyj brzuch pełniejszy, Muzoniuszu? mój, czy twój?

Mnóstwo ludzi z konwulsji gniewu i strachu wpadło w konwulsje śmiechu. Gruby śmiech ten huczał pośród płaczów, jęków, lajań, przekleństw, rozlegających się dokoła. Blisko kędyś, w uliczce, wypływającej z rynku, ozwały się flety i zapalczywy głos jakiś krzyknął:

— Pedanusie! Pudensie! śpieszcie! Syryjczycy znaleźli człowieka, którego szukacie! Oto prowadzą go i z nim razem czeczotkę jakąś!

W tej samej przecież chwili, z oddalonym, nieustannym hukiem grzmotu zmieszał się turkot kół i tętent koni, a most łączący Awentyn z Zatybrzem rozbrłysnął pochodniami, w których czerwonym świetle biegł raczej, niż szedł, długi orszak ludzi. Ktoś możny i licznym poczem otoczony śpiesznie przybywał. Kto? poco?

— Liktorowie! na Herkulesa! Są to liktorowie! poprzedzają bogaty wóz jakiś! Konie jak orły! Pa-

trycysz jakiś na wozie stoi... drugi wodze trzyma! Usuwajcie się! zmykajcie! z drogi! z drogi!

Sznur biało ubranych liktorów, z toporami w rękach, rozpędzał tłum i torował drogę dwukonnemu wozowi, otoczonemu mnóstwem pieszych ludzi, z których ilość pewna niosła palące się pochodnie. Szybkim pędem przebywszy most, na rynku, napelnionym ludzką ciżbą, orszak ten zwolnił kroku. Na wozie stali dwaj ludzie: jeden rosły i silny, w togę białą, złotymi palmami usianą, ubrany, dłoń wspierał na berle ze srebrnym orłem; drugi, młody, ze srebrną opaską na kruczych włosach, w rękach trzymał szkarłatne wodze. Do poręczy woza uczezione, u boku pięknego woźnicy, w postawie ptaka zrywającego się do lotu, siedziało śliczne chłopię, z greckim profilem i długimi włosy rozsypanymi po ametystowym chitonie.

— Pretor! pretor! — zaszumiał tłum i nagle umilkł. Nie powitali go urągowiskiem, jak Muzoniusza. W świetle pochodni wóz jego błyszczał bogactwem ozdób, hiszpańskie konie postępowały dumnie, a wodze ich trzymał malarz słynny... Władzy, bogactwu i sławie któż mógł urągać? Nie ci zapewne, do których teraz przemawiał Helwidyusz.

Kto wie, czy nie dlatego przeważnie przybywał on tutaj, aby po raz ostatni przemówić do rzymskiego ludu. Wkrótce zapewne usta zamkną się mu na wieki. Teraz więc serce jego wybuchało... Wybuchowało grozą, oburzeniem, żalem niezmiernym.

Śniada twarz jego w czerwonym świetle pochodni gorzała; z pod czarnych brwi ściągniętych oczy ciskały błyskawice. Nie był to tak, jak Muzoniusz, człowiek samotnych dumań, ale mąż czynu i boju. Głos jego, potężny i do szerokich przestrzeni nawykły, rozlegał się po rynku, słowa padały z siłą ciskanych kamieni. Mężem stanu był i patriotą. Ludowi przypominał wielką i wolną przeszłość jego. Z przeszywającym szyderstwem zapytywał: czy nie już więcej do czynienia nie ma prócz opychania brzuchów, upajania się trunkiem, drżenia przed bezmyślnymi baśniami i napastowania bezbronnych?

Przez chwilę głos jego pochłonęły szumy wiatru, ogrodów i rzeki, aż znowu wzbił się piorunujący:

— Za forum — cyrk, za trybunów — histryonów wam dano, z miejsca obrad zrobiono miejsce igrzysk, rynek obywatelski zmieniono w rynek świni. „Chleba i igrzysk!“ — wołacie i psiemi języki liżecie rękę, sypiącą na was jedyne te dobra, których pragnąć umieją ciemne wasze głowy! Krwi pragniecie, choćby niewinnej, a łaskę waszą posiadają ci tylko, którzy z was czynią trzodę bezmyślną i okrutną...

W tłumie rozległy się sarkania:

— Obelgi ciskasz! obelgi na biedny lud ciskasz, dumny patrycyuszu!

— Patrz, patrz! — wołał Sylwiusz — abyś ze słów swych dla szyi swej nie kuł topora...

Niezmaconem spojrzeniem objął Helwidysz morze głów ludzkich, wóz jego otaczające, i bólem drgnęły śmiałe usta jego.

— Nie urodzeniem dumnym, lecz prawością. Nie obelgi rzucam, ale ostatnie wezwania... Kto mi groził toporem?... Wiem, wiem o nim, Rzymianie! Nie straciłem rozumu! wiem, co czynię. Liktorowie moi i straż miejska rozpędzą was, jak bezmyślną zgrają... Nie przerobię was przecie i wcześniej umrę, ale w dziejach ojczyzny zapiszą jedno jeszcze imię, nieskalane służalczą względem purpury, ani względem błota!

Tu jedna z uliczek wypływających z rynku buchnęła muzyką i śmiechami, dziko mięszającymi się z przeraźliwym krzykiem kobiecym. Na odgłos krzyku tego, Artemidor rzucił wodze w ręce Heliasa, zeskoczył z woza i zbladłą twarz do pretora zwrócił.

— Pozwól mi, panie, wraz z liktorami twymi pośpieszyć... Głos ten poznałem... O, mściwi bogowie!

Nie skończył jeszcze, gdy na rynek wpadły: Chromia, Charopia, kilka innych kobiet i dwie flecistki z wydętymi policzkami dmące we flety. Rozczochrana banda ta, do chóru furji podobna, ciągnęła za podartą odzież wyrywającą się im dziewczynę. Na widok zbliżających się liktorów pierzchnęły. Dziewczyna, w podartej odzieży, z rozpostartymi ramionami i nieprzytomnym wzrokiem, przypa-

dła do wozu Pretora i, na klęczki padając, czołem uderzyła o rzeźbioną oś jego koła.

— Przyjaciele! — do orszaku swego zawołał Helwidysz — niech kilku z was do domu mego uprowadzi dziewczeczkę! Zemdlą, powiadacie? Wnieś ją na wóz mój, Artemidorze.

Omdlewającą objęły giętkie ramiona, a nad uchem jej schylone usta namiętnie szepnęły:

— Kochanko moja!

Otworzyła osłupiałe oczy, i gdy poznała chyłącą się nad sobą twarz malarza, uśmiech niewymownego szczęścia przewinął się po zbiegających jej ustach. Ale w tej chwili, przed wozem Pretora zjawiała się postać inna. Wyciskającą się z uliczki ciżbę ludzką, z Syryjczyków, setników i żołnierzy złożoną, wyprzedzał żyd stary, bosy, w podartej sukni, z turbanem zsuwającym się na plecy i odkrywającym siwe, rozczochrane włosy. Biegł zdyszany, wołając:

— Tam przyjechał pan możny... sam Pretor... on sprawiedliwość uczyni... On wam powie, że kłamiecie, jak psy... że to nie on, ale ja... ja... Menochim...

Zatrzymał się przed stojącym na wozie Pretorem i schylił się ukłonem tak giętkim i niskim, że czołem prawie ziemi dotknął. Wyprostował się prędko, i z językiem płaczącym się w ustach, mówić zaczął:

— Nie wierz im, najdostojniejszy! zlituj się, nie

wierz im, o możny! Łżą oni! On nic nie winien. On nigdzie nie był i nic złego nie robił... w domu siedział i tkał sobie! On tkacz... spokojny taki... Jagnię od niego łagodniejszym nie jest. Gdzie jemu do wojowania i podnoszenia buntów i do bluźnienia w amfiteatrze wielkości waszej i cesarzy waszych... Onby nawet nie potrafił tego... taki łagodny... I rozumu na to potrzeba, a on głupi sobie... Zwyczajnie tkacz prosty... cha, cha, cha, cha!...

Śmiał się, śmiał się. Bose nogi jego dreptały po piasku, ciało wyłamywało się w dziwne sposoby, a z oczu, obłąkanych rozpaczą, strumieniem lały się łzy. Przyskoczył do woza, wspiał się na palce i usiłował do ust swych ponieść skraj togi pretora.

— Powiem ci prawdę, najdostojniejszy — mówił — błagam cię, abys wierzył. Wielki! miej litość i uwierz w to, co powiem... On, to jest syn mój... to jest ten Jonatan, którego Syryjczycy z domu wyciągnęli, a setnicy przed oblicze twoje wiodą, nigdzie nie był i nic nie robił... To jest wielka omyłka... Za mnie go wzięto... Ja to chodziłem do Judei na wojnę... ja biłem się z wami u boku Jana z Giszali... ja w Egipcie bunt podniosłem, ja w amfiteatrze... Wszystko ja... ja... Menochim! A on nic! do niego to czysta przyczepka! Błagam cię, potężny, abys wierzył... Ale jakże tu nie wierzyć, kiedy to czysta prawda.. Rozkaż liktorom, aby mię skrupowali, a setnikom, aby puścili jego... Więźniem

swym uczynić mię, zamiast niego, a jak pies u stóp twych czołgać się będę, dopóki nie skonam... Dlaczegoż nie rozkazujesz liktorom wiązać mnie? Ach! ile ja tam w Judei żołnierzy waszych pozabijałem!... jak ja w amfiteatrze głośno krzychałem! A wy myślicie, że to on... ten niewinny... co zawsze w domu siedział i tkał sobie... cha, cha, cha, cha! Dlaczegoż, najpotężniejszy, nie rozkazujesz wiązać mnie? Nie wierzysz? Liktorowie! wiąźcie mię! litości! litości! wiąźcie mię, liktorowie!

Bose stopy jego dreptały i podskakiwały; biegł od jednej osi woza do drugiej; złożone ręce ku liktorom wyciągał. Podarta suknia obnażyła mu w kilku miejscach chude ramiona, światła pochodni migotały mu po twarzy, zmiętej i zalanej łzami. Nagle umilkł i, z osłupiałemi oczyma, trzęsąc się jak w febrze, na ziemi przysiadł. Przed wozem, Pedanus i Pudens, za oba ramiona trzymając, postawili Jonatana. Przytem mówili, gdzie widywali go i co uczynił. Z za potężnych ich pleców co chwila wyskakiwał Silas, wołając, że on to go wynalazł i władzom rzymskim wydaje. Wtórował mu grubym głosem Babas, i Chromia, przyskoczywszy z żywą gestykulacją ramion, srebrnemi obręczami świecących, potwierdzała słowa przyjaciół.

— Liktorowie! — Na Syryjczyków wskazując, zawołał Pretor — rozpędźcie mi te gady! Wy, setnicy, pozostańcie...

A do Jonatana krótko rzekł:

— Mów, Judejczyku!

Nigdy przedtem nie widywany u niego spokój oblewał postawę i twarz Jonatana. Jak nie wyrwał się przedtem z dłoni setników, tak teraz, z podniesioną głową, oko w oko na pretora patrzył. Na mgnienie oka w kruczym zaroście jego błysnęły białe zęby, co rzuciło mu na twarz wyraz dzikiej nienawiści, lecz wnet potem spokojnym głosem zaczął:

— Starzec ten kłamał przed tobą, pretorze, bo kocha mię bardzo. Wszystko zaś, co setnicy mówią o mnie, prawdą jest. Imię moje — Jonatan. Walczyłem z wami na wojnie: lżyłem was w amfiteatrze; nienawidzę was w sercu swoim. Gdyby mi Przedwieczny sto razy żyć pozwolił, sto razy czyniłbym tak, jako czyniłem. Oto wszystko. Każ ludziom swoim, aby prowadzili mię na śmierć.

Jakże podobnymi, jak dziwnie podobnymi z sobą były losy dwu tych ludzi: tego, który, stojąc na bogatym wozie, dłoń wspierał na berle i wyrok wydawać miał, i tego, który w podartej odzieży, nędzny i schwytany, wyroku oczekiwał! Nie dziw też, że Helwidyusz stał chwilę zamyślony, ze spuszczonei powiekami i skamieniałymi rysy, że ręka jego na srebrnym orle wsparta, podniosłszy się zwolna, opadła na niego znowu. Do przyjaciół, którzy z blizka go otaczali, rzekł z cicha:

— Starca i dziewczkę uprowadźcie do domu mego... Niech nie widzą...

Lecz ta, o którą troszczył się, wyrrywając się z ukochanych ramion, ku Jonatanowi poskoczyła.

— Ja z nim! — krzyknęła.

Ogromne włosy swe, od świateł pochodni złote, obu dłońmi zgarniała z twarzy, po której ciekły potoki łez. Pierś i ramiona jej z za podartej sukni świeciły bielą marmuru. Ku ciemnej ludności, która w zgębnionych lub błagających postawach, ze szmerem tłumionych płaczów, obsiadywała rynek i tarasy domów, ręce wyciągnęła.

— Z tobą nieszczęsny ludu mój — ja z tobą!...

Grube, rzadkie krople deszczu padać zaczęły i przyćmiewały światło pochodni. Wicher zaszumił i kędyś, blisko już, nad Janikulskiem wzgórzem, ogłuszająco zaturkotał grzmot. Z ucichającego grzmotu wyłonił się rozkazujący głos pretora:

— Liktorowie! więźcie człowieka tego!

Nie wymówił jeszcze słów tych, gdy Mirtala skokiem sarny rzuciła się ku pojmanemu i, szyję jego obejmując, na pierś mu upadła.

— Ja z nim! — krzyknęła znowu.

Ale tym razem poskoczył za nią młody Rzymianin ze srebrną opaską we włosach i już, już kibici jej dotykał, gdy w rękę Jonatana błysnęła stal... Było to jedno mgnienie oka. Wzrok topiąc w twarzy Artemidora, Jonatan w dzikim uśmiechu ukazał białe zęby i głucho wymówił:

— Jutro zamordujecie mię... lecz nie odejdę bez niej... Nie będziesz jej miał, Rzymianinie!

O! dziwna genealogio szalów z nieszczęść i zbrodni z krzywd ludzkich! Miecz bohatera sprawiedliwości utonął w piersi niewinnej, bezbronnej dziewczyny.

W tej chwili na środku nieba olbrzymie skorupy chmur zwały się z sobą szczelnie i uczyniły świat podobnym do ściśle zasklepionego garnka. Płomienie pochodni, gęstym dymem otoczone, chyliły się ku ziemi; wiatr nimi miotał i przygaszały je ciężkie krople deszczu. Wzamian niebo zapłonęło błyskawicami. Tysiące ognistych węzów wilo się po wydętych chmurach, oślepiające blaski lejąc na ziemię. W blaskach tych, zatybrzański rynek przedstawiał widok tłumny, lecz cichy, jak grób. Most na Tybrze okrywała, rozkazów oczekująca, zbrojna kalwakata żołnierzy. Groza, żalność, strach zawarły usta tłumów, które stały na rynku i klęczały na płaskich dachach. Wyosobniony, na niewielkiem wyniesieniu stał Muzoniusz. Kolana jego obejmował i twarz w płaszczu jego ukrywał młodzieniec w białej tunice. Moznaby rzec, że gromem życia rażony, przypadł do stóp filozofii, od niej wzywając pomocy. Stoik, wśród szalejących burz niebieskich i ziemskich sam jeden spokojny, czoło przecież miał bardzo blade i oczy pełne bezbrzeżnego smutku. Twarz i ramiona powolnym gięstem wznosząc w górę, zawołał:

— Światła niebieskie! Długoż, długoż jeszcze,
obrazom takim przyświecać będziecie?

Z przeraźliwym trzaskiem grom uderzył w wody
Tybru i po wzburzonych falach potężny grzmot
toczył się długo...

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

F
4097